

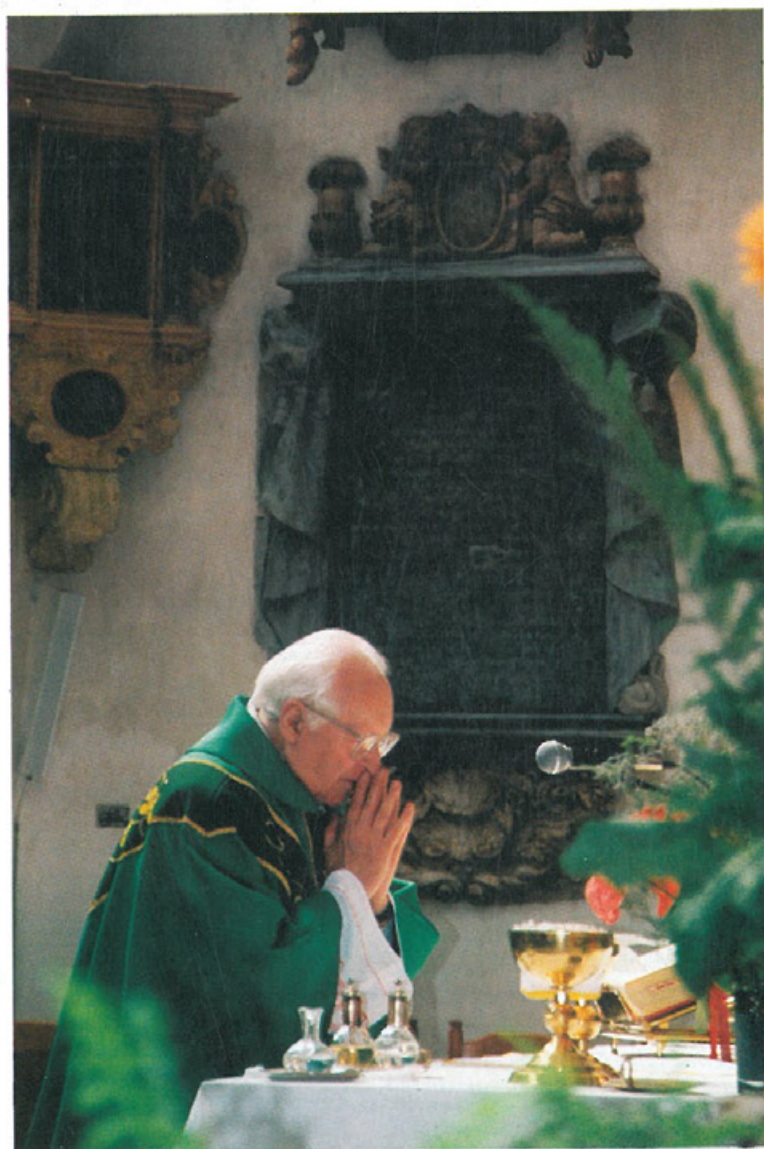


SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

STYCZEŃ-LUTY 1 (66) 2002

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOSNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH · WROCŁAW



fot. M. Rogalski

Kapelan TML i KPW ks. Janusz Popławski

Spis treści

STO LAT!	1
Przed rokiem 2003 (Przedruk z „Nowa Myśl Polska” z 6-13 stycznia 2002 r.)	1
WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO	
Zbigniew Umański – Kronika Kresowa	3
Phm. Rafał Rysza – Rajd do Lwowa instruktorów Dolnośląskiej Chorągwi Harcerzy ZHR 8-11 listopada 2001 r.	7
Wiesław Richter – Lwowska mozaika (cz. II)	9
Jerzy Masior – Jak długo – wiersz	11
Wywiad z p. Anną Damm, wrocławską piosenkarką pochodzącą ze Lwowa	12
Jerzy Masior – 17 stycznia 1945	14
Tomasz Cieszyński – Ku czci Lwowskich Profesorów	16
Ryszard Czoch – Si est dolor, sicut dolor meus (Lm 1, 12)	17
UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW	
Klementyna Dominas – Dziesięć lat istnienia Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Miliczu	18
Bogusława Romanowska, Stanisław Golański – Ziemia Limanowska przyjęła okruchy ziemi z cmentarzy	
Obróńców Lwowa, Katynia i Monte Cassino	18
O. Krystian Olszewski – Z życia Sanktuarium św. Jana	20
Halina Bogucka – Lwowska poezja i piosenka w Koszalinie	21
Maria Zaleska Czajkowska – Dzieci z Borysławia na kolonii w Suchej Beskidzkiej	22
Mieczysław Kostur – VII Świdwiński Konkurs Poezji i Piosenki Lwowskiej	23
Remigiusz Węgrzynowicz, Bolesław Nagay – Informacje z Oddziału TMLiKPW w Szczecinie	24
Teofila Solecka – Dziękujemy Bogu za miniony 2001 r.	25
Marian Wiszniewski – Kresowianin Osobowością Roku 2001	26
Janina Oparowska – Niezwykły jubileusz	27
Janina Oparowska – Na jubileusz – wiersz	28
Alfred Janicki – Noworoczne spotkanie Kresowian (Przedruk z „Węglińskie Gminne Sprawy” nr 32, styczeń 2002)	28
Mama z synem Zbychem Trojanowscy – Pastoralka Lwowska – wiersz	29
Wspomnienie o Dance Krupskiej	30
Zbigniew J. Zieliński	32
Alfred Janicki – IV „WIELKIE BAŁAKANIE”	32
Władysław Wilgusiewicz – Lwowanie na Politechnice Śląskiej (c.d.) II	33
Jerzy Zmarz – Rzymianin znad Półw. i	36
Tadeusz Ciupryk – Ocalony z lwowskich „Brygidek”	38
KRESOWE MIASTA	
Beata Oziębłowska – Tuligłowy	39
Monasterzyska – miasto mojego dzieciństwa – mówi Tadeusz Hnatów	
Opracował Kazimierz Kulas na podstawie rozmowy z Tadeuszem Hnatów	42
Kazimierz Kulas – Coś tam zostało... – wiersz	43
LWOWSKIE KOŚCIOŁY	
Zofia Żółkiewicz – Kościółek św. Zofii. Niedoceniony zabytek Lwowa	44
Listy do Redakcji	46
Alfred Janicki – Opowiadania Mamy...	47
NOWE KSIĄŻKI	
Jerzy Duda – Z przewodnikiem po ziemi tarnopolskiej	48
Józef Szocki – Henryka Kramarz. „Tadeusz Rutowski. Portret pozytywisty i demokracji galicyjskiego”	48
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	
Śp. Danuta Maria Krupska (1932-2002)	51
Władysław Łukaszyński – Pamięci ks. infułata Walentego Bala – kapelana Rzeszowskiego Oddziału TMLiKPW	52
Śp. Henryk Kogus (1921-2001)	54
Śp. Marian Macieboch (1910-2001)	54
Śp. Roman Koba (1916-2001)	54
Śp. Bogdan Pacewicz	55
Śp. Krystyna Ciesielska-Zawadzka (1938-2001)	55
Krystyna Ciesielska-Zawadzka – Marzenie o mieście rodzinnym – wiersz	56
Jadwiga Sibiga – Wspomnienie o Adamie Lewickim	56
Informacja	60
Poszukiwania	60
Errata do Nr. 6 (65) 2001 r.	60
Lista Ofiarodawców za miesiące XII 2001 r. i I 2002 r.	60

Podpis do zdjęcia na okładce: Mszę św. odprawia w kościele Garnizonowym we Wrocławiu ks. Janusz Popławski

Redaktor naczelny: Andrzej KAMINSKI

Redaguje Kolegium: Danuta NESPIAK, Jerzy PETRYŃSKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Zbigniew UMAŃSKI.

Właściciel tytułu i adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Raska 32/33, tel. 344-88-93; konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-99192-270-1-111

Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych. Nie płacimy honorariów autorskich.

STO LAT!



Msza św. celebrowana przez JE ks. Henryka kardynała Gulbinowicza i kapelana TMLiKPW ks. Janusza Popławskiego z okazji poświęcenia sztandaru Towarzystwa w kościele św. Rodziny we Wrocławiu w 1998 r.

KSIADZ JANUSZ POPLAWSKI, KAPELAN NASZEGO TOWARZYSTWA TO SYMBOL LWOWA I KRESÓW. Z OKAZJI 80 ROCZNICY JEGO URODZIN, POWSZECHNIE CENIENEMU I LUBIANEMU JUBILATOWI SKŁADAMY NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA ZDROWIA, ZDROWIA, ZDROWIA... NIECH BÓG OBDARZY CIĘ, DROGI NASZ KAPELANIE I PRZYJACIELU, WSZELKIMI ŁASKAMI! BĄDŹ NADAL NASZYM DUCHOWYM PRZEWODNIKIEM, NAUCZYCIELEM MŁODYCH POLAKÓW O POLSKIEJ HISTORII KRESÓW, ZIEMI NASZYCH PRZODKÓW.

ZARZĄD GŁÓWNY TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH, FUNDACJA KRESOWA

Przed rokiem 2003

(Przedruk z „Nowa Myśl Polska” z 6-13 stycznia 2002 r.)

Latem 2003 roku minie 60 lat od chwili, kiedy na rozkaz dowództwa OUN-UPA dokonano masowych mordów polskiej ludności Kresów Wschodnich. Pomimo upływu 12 lat od chwili zmiany systemu politycznego w Polsce, zbrodnia ta nie została oficjalnie ani potępiona, ani osądzona. Co gorsza, odnotować należy regres w stosunku do tego, co o tych zbrodniach mówiono w tzw. okresie minionym. Jest to jedyna masowa zbrodnia dokonana podczas II wojny światowej, którą różne siły starają się przemiłować lub zminimalizować. Dokonuje się to za aprobatą władz III Rzeczypospolitej, większości polityków i wpływowych mediów. Zbliżająca się 60. rocznica tych mordów jest być może ostatnią okazją, by tę sytuację zmienić.

Główną przyczyną tego stanu rzeczy jest przyjęty przez Polskę kurs geopolityczny, którego osią miało być tzw. strategiczne partnerstwo z Ukrainą. Po 1989 roku Polska przyjęła nie tylko prozachodnią orientację polityki międzynarodowej (postulat wejścia do NATO i Unii Europejskiej), ale połączone to zostało z próbą realizacji programu polityki wschodniej opartej na doktrynie symbolizowanej przez Jerzego Giedroycia i środowiska paryskiej „Kultury”. Z grubsza rzecz biorąc, koncepcja ta zakłada trzy rzeczy:

– Wyparcie wpływów Rosji z zachodnich terenów dawnego ZSRR poprzez wspieranie niezależnych bytów państwowych między Polską a Rosją.

– Zaangażowanie polityki polskiej w bezkrytyczne popieranie międzynarodowych aspiracji Ukrainy i Litwy na arenie międzynarodowej.

– Zredukowanie znaczenia polskości na dawnych Kresach Wschodnich RP do minimum, przy jednoczesnym poparciu mniejszości ukraińskiej, białoruskiej i litewskiej w Polsce.

W tej sytuacji postulaty wysuwane przez ruch kresowy, a dotyczące uznania prawdy o losie ludności polskiej na Kresach podczas II wojny światowej, trafiają na mur niechęci i wrogości, gdyż są niewygodne zarówno dla spadkobierców OUN-UPA, którzy stanowią w tej chwili trzon prozachodniej i antyrosyjskiej orientacji na Ukrainie, jak dla tych sił w Polsce, które sprzyjają takiej opcji. Wydaje się wszakże, że koniunktura geopolityczna dla tej orientacji stopniowo słabnie. Z jednej strony, doktryna strategicznego partnerstwa z Ukrainą nie dała Polsce, ale i Ukrainie, żadnych wymiernych korzyści. Jest to polityka ograniczająca się do pustych gestów i zakłęb, nie mająca przełożenia ani na stosunki gospodarcze, ani międzyludzkie. Po drugie, na Zachodzie (głównie zaś w USA) słabnie opcja antyrosyjska i w związku z tym rola Ukrainy jako sojusznika tegoż Zachodu. Automatycznie słabnie także rola tych ośrodków ukraińskich (z reguły postupowskich), które po wojnie wiązały się z polityką amerykańską, a przez ostatnie lata realizowały, już na Ukrainie, a także w Polsce, strategię geopolityczną Waszyngtonu.

Wśród czynników zewnętrznych utrudniających realizację postulatów ruchu kresowego wymienić również należy politykę Kościoła katolickiego wobec Wschodu, w tym wobec Ukrainy w szczególności. Polityka ta, zarówno w wymiarze ewangelicznym, jak i czysto ziemskim, nastawiona jest na umacnianie znaczenia grekokatolicyzmu i ukraińskości. Objawia się to m. in. w rugowaniu języka polskiego z życia Kościoła na Kresach, a także na ogólnej niechęci wobec wszelkich inicjatyw mających na celu osądzenie ludobójstwa UPA. Należy sądzić, że to drugie wynika przede wszystkim ze stanowiska Kościoła Greko-Katolickiego, który był uwikłany w popieranie UPA. Stolica Apostolska beatyfikuje i kanonizuje duchownych greko-katolickich, którzy padli ofiarą prześladowań stalinowskich i jednocześnie milczy na temat tych duchownych katolickich (ok. 200), którzy ponieśli męczeńską śmierć z rąk oprawców UPA. Środowiska proupowskie cynicznie posługują się też opinią Jana Pawła II, który podczas pielgrzymki na Ukrainę latem tego roku powiedział, że czas zakończyć okres wzajemnych polsko-ukraińskich waśni i zacząć budować przyszłość. Wysuwa się argument, że te środowiska kresowe, które domagają się prawdy o ludobójstwie dokonanym na Kresach działają przeciwko papieskiej idei pojednania.

Można z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że postulaty Kresowego Ruchu Patriotycznego nie znalazły wśród polskich partii politycznych prawie żadnego odzewu. Z reguły są one traktowane albo jako egzotyczne, albo jako zagrożenie dla przyjętej linii polityki zagranicznej. Ugrupowaniem najbardziej wrogim wobec postulatów KRP jest Unia Wolności, w szeregach której działa trzon polityczny Związku Ukraińców w Polsce. Symbolem takiej właśnie orientacji UW była wieloletnia obecność w kierownictwie tej partii aktywisty ZUWP Mirosława

wa Czecha, znanego gloryfikatora UPA. To politycy UW przeforsowali w Senacie uchwałę o potępieniu Akcji „Wisła”, a potem skutecznie torpedowali wszelkie inicjatywy ruchu kresowego. To także dzięki poparciu UW proupowskie lobby w Polsce pozyskiwało środki finansowe na działalność i ochronę polityczną.

Z kolei prawica solidarnościowa wykazała w tej kwestii zadziwiającą uległość wobec strategii lansowanej przez UW. Wynikało z tego, że formacja ta jest doktrynalnie antyrosyjska i antykomunistyczna. Stąd podatność na wszelkie, często opacznie rozumiane, hasła proukraińskie. Dlatego bardzo łatwo było ją przekonać, że środowiska kresowe to pogrobowcy PRL, nastawione antyukraińsko, a być może nawet działające na korzyść Rosji, która chce skłócić Polskę i Ukrainę. Taką interpretację całej kwestii podpowiadała prawicy solidarnościowej Unia Wolności i okazywało się to skuteczne.

Bardziej skomplikowane jest stanowisko SLD. Z jednej strony ugrupowanie to jest przychylnie nastawione do wielu postulatów KRP i w zasadzie zgadza się z naszą oceną UPA i Akcji „Wisła”, jednak z drugiej strony pozostaje w niewoli tzw. politycznej poprawności i paraliżowane jest przez ośrodek prezydencki, który jest jednym z głównych sojuszników proupowskiego lobby. To m. in. sprawia, że w lewicowej prasie trudno przebić się z prawdą o tragedii Kresów. Pewnym wyjątkiem jest miesięcznik „Dziś”. Jakby jednak nie patrzeć, to stanowisko SLD będzie dla nas w najbliższym czasie kluczowe, zważywszy na wynik ostatnich wyborów.

Pewnym rozczarowaniem jest postawa PSL, które, teoretycznie rzecz biorąc, powinno być najbliższe postulatów ruchu kresowego. Wszak na Kresach wymordowano prawie wyłącznie polską ludność wiejską. Mimo to zauważyć można przesadną ostrożność tego ugrupowania, a raczej jego kierownictwa, wobec omawianego problemu. Jest to wynikiem obawy tego ugrupowania przed podejmowaniem tzw. kontrowersyjnych kwestii. Dlatego dotychczasową współpracę KRP z PSL uważa należy za wysoce niesatysfakcjonującą, co nie oznacza zaprzestania dalszych prób współdziałania.

Pewną nadzieję na podjęcie współpracy dają nowe ugrupowania, które pojawiły się w parlamencie po tegorocznych wyborach. Chodzi tu o Ligę Polskich Rodzin i Samoobronę, przy czym od razu trzeba powiedzieć, że to drugie jest w tej chwili wielką zagadką. LPR na pewno może być sojusznikiem sprawy kresowej, choć nie należy wykluczyć przykrych niespodzianek. Wiąże się to z tym, że ugrupowanie to musi liczyć się ze stanowiskiem Kościoła hierarchicznego w tej sprawie, a to – jak wiadomo – budzi wiele naszych zastrzeżeń.

Reasumując ten problem, należy stwierdzić, że nowy Sejm – przynajmniej teoretycznie – daje większe szanse na podjęcie niektórych bolesnych kwestii, niż Sejm poprzedni. Przede wszystkim nie ma w tym Sejmie podpory proupowskiego lobby, czyli Unii Wolności, a Platforma Obywatelska, następczyni ideowa UW, nie wydaje się być tak zaangażowana po stronie proupowskiej, jak jej poprzedniczka.

Są to obszernie fragmenty referatu politycznego Kresowego Ruchu Patriotycznego wygłoszonego przez Jana Engeldarda w dniu 10 listopada ub. r. □

WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO

Zbigniew Umański

Kronika Kresowa

Rok ważnych wydarzeń

Witam Czytelników Kroniki Kresowej w nowym 2002 roku! Jak dotąd, nadal będę się starał odnotowywać w Kronice wydarzenia – w kraju i za wschodnią granicą – dotyczące b. Kresów, ich historii, polskiego dziedzictwa kulturalnego, współczesności, informować o działalności środowisk i organizacji kresowych. Tu i tam. W redagowaniu tej, jak się okazuje, poczytnej rubryki w „Semper Fidelis” liczę na pomoc informacyjną oddziałów i klubów TMLiKPW, a także Tow. Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Piszcie o swojej działalności, problemach, radościach i smutkach. Chcemy je dzielić razem z Wami.

Zanim zajmiemy się aktualnymi sprawami, przypomnijmy sobie ważniejsze wydarzenia 2001 roku, te które mają związek ze Lwowem i Kresami. Było ich wiele w pierwszym roku nowego tysiąclecia, a jedno było rangi historycznej: wizyta papieża Polaka we Lwowie. Jakże On jej pragnął, a my lwowiacy – tam i tutaj oczekiwaliśmy! Dzięki mediom, a mieszkający we Lwowie rodacy i pielgrzymi z Polski i wielu krajów bezpośrednio, towarzyszyliśmy Ojcu Świętemu w mieście „Semper Fidelis”. Niezapomniane chwile wzruszeń! Gdyby jeszcze odwiedził śpiące snem wiecznym Orleto...

Niewątpliwie dużym przeżyciem dla lwowiaków i kresowian były bardzo uroczyste obchody we Wrocławiu, w Warszawie i Lwowie, 60-ej rocznicy mordu profesorów lwowskich na Wzgórzach Wuleckich oraz kaźni inteligencji polskiej w Stanisławowie – przez tych samych hitlerowskich oprawców i ich ukraińskich nacjonalistycznych pomocników – w Czarnym Lesie.

Wydarzeniem rangi państwowej był II Kongres Polonii i Polaków z Zagranicy, który odbył się latem w Warszawie. Uczestniczyli w nim licznie przedstawiciele polskich organizacji i stowarzyszeń działający w krajach-republikach b. Związku Radzieckiego. Nasi rodacy zza wschodniej granicy zgłosili wiele zasadnych postulatów rządowi RP i jego agendom, Wspólnocie Polskiej, a także Kościołowi. Oczekują większego niż dotąd zainteresowania odradzającą się polskością na Wschodzie, działalnością polskich towarzystw i stowarzyszeń, których przybywa, pomocy w egzekwowaniu praw mniejszości narodowych, które nie w pełni są respektowane i uznawane. Domagano się udogodnień wizowych w kontaktach z Macierzą, ułatwień dla młodych Polaków chcących kształcić się w Polsce. I więcej liturgii po polsku w kościołach na Ukrainie, odbudowanych, przywróconych do życia przez rodaków tam mieszkających. Wszystkie te postulaty znalazły się w uchwale II Kongresu.

Niewątpliwie ważnym wydarzeniem politycznym dla naszego środowiska było powołanie na zjeździe w Warszawie Kresowego Ruchu Patriotycznego. W skład KRP, mającego charakter stowarzyszenia, nie partii

politycznej, weszło 30 organizacji kresowych, wśród nich nasze TMLiKPW (reprezentuje nas sekretarz generalny ZG Alfred Janicki) oraz kombatanckich. „Tylko jedność może zapewnić nasz wpływ na rzeczywistość polityczną i społeczną III Rzeczypospolitej oraz zwiększyć skuteczność naszej walki o prawdę historyczną, dziś tak zafalszowaną, szczególnie w odniesieniu do Kresów Wschodnich II RP” – powiedział Jan Niewiński, prezes Rady Naczelnej nowo powołanego Kresowego Ruchu Patriotycznego zamykając warszawski zjazd. Czy ta kolejna próba zjednoczenia powiedzie się tym razem?

Wydarzeniem wydawniczym 2001 roku dla kresowian było ukazanie się II-tomowej książki-dokumentu pt. „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945”. Jej przygotowanie i wydanie kosztowało Władysława i Ewę Siemaszków (ojca i córki) ponad 10 lat wyłożonej pracy. – Od tej pory nikt nie będzie mógł kwestionować faktów planowego i szczególnie barbarzyńskiego ukraińskiego ludobójstwa na 50-60 tysiącach wołyńskich Polaków – napisał w przedmowie do tej monumentalnej pracy prof. Ryszard Szawłowski. Czy sprawi, że trwająca od dwóch lat dyskusja historyków polskich i ukraińskich na ten temat – zainicjowana przez Światowy Związek Żołnierzy AK – okaże się bardziej rzeczowa niż dotychczas? Czy do stołu dyskusyjnego powrócą przedstawiciele Związku Ukraińców w Polsce, którzy obrażeni na fakty, przedstawiane przez polskich historyków, odeszli od niego w ub. roku? Przystaną im teraz zaprzeczać? Bez ich uznania niemożliwe jest przecież wybaczenie i pojednanie!

Wydarzeniem artystycznym były kolejne Dni Lwowa oraz Kultury Kresów w Warszawie (imprezy odbywały się w auli Jana Pawła II i na Zamku Królewskim). Poprzedziło je uroczyste odsłonięcie pomnika Juliusza Słowackiego w stolicy (miał stanąć przed wojną we Lwowie!), wystawy o tematyce kresowej, m. in. o Krzemieniu, seminaria, odczyty.

Kresowianie na Dolnym Śląsku, którzy wciąż stanowią największą grupę osiedleńczą w tym regionie, z satysfakcją przyjęli pojawienie się w ub. roku na ekranie TV Wrocław magazynu „Studio Wschód” (który zdobył sobie wkrótce wielką popularność), a na antenie Radia Wrocław stałej audycji „Kresowiacy”. Środowisko nasze dopraszało się o nie od lat. Zachęcamy do oglądania (w II i III programie TV) i słuchania, a red. Grażyna Orłowska-Sondej z wrocławskiej telewizji oraz dziennikarki E. Stanisław, O. Dankowiakowska i U. Lubecka z Radia Wrocław – do współpracy w przygotowywaniu magazynów kresowych o nas i dla nas.

Oplatkowe spotkania

O tych i innych wydarzeniach opisanych wyżej, wyjazdach na Wschód i spotkaniach z rodakami mówiono na tradycyjnych, noworocznych oplatkach organizowanych w oddziałach i klubach TMLiKPW. Dzieleno się wrażeniami, wspomnieniami, śpiewano kolędy... i liczone: ilu i kogo brakuje. Co tu ukrywać – coraz częściej odchodzą z naszego grona bliscy nam. Z każdym ro-

kiem jest nas mniej. We Wrocławiu na wspólnym opłatkach członków Zarządu Głównego TMLiKPW oraz Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” brakowało zawsze pełnej inwencji wiceprezes ZG dr Danuty Krupskiej. Osierociła także „Pokucie”, któremu oddana była, wraz z córką Bożeną, do końca swoich dni. Noworocznego spotkania opłatkowego w największym wrocławskim Klubie „Leopolis” po raz pierwszy nie prowadziła, jak zwykle od lat, pełna energii, tryskająca humorem inż. Janka Węglińska-Flis. Będzie nam brakować we Wrocławiu tych wspaniałych kresowianek... Kto je zastąpi, a w przyszłości nas i będzie kontynuować działalność TMLiKPW, przypominać historię i dorobek kulturalny Kresów, ludzi, obyczaje? – zastanawiano się.

Na szczęście niektórzy zastanowili się nad tym wcześniej i zaczęli wychowywać swoich następców. Jurek Masior w Nowym Sączu, Janusz Ragankiewicz w Lesznie uczą patriotyzmu kresowego poprzez śpiew, muzykę, poezję. Poszedł w ich ślady Fredek Janicki w Węglińcu, który edukację kresową rozpoczął od przedszkolaków („Bajbusy”), starszaków i uczniów podstawówki. Przyjeżdżcie na festiwale do Leszna, Węglińca, a przekonacie się, ilu młodocianych „kresowiaków” wychowali już te stare batiary! Ta daj Wam Boży jak najdłużej zdrowia, siły i chęci! Przykładów takich zapewne jest więcej. Np. w młodzieżowym rajdzie i konkursie wiedzy o Lwowie, jego zabytkach, ludziach, organizowanych przez wrocławski oddział TMLiKPW uczestniczy co roku ok. 100 dziewcząt i chłopców z różnych szkół. Jak pięknie napisane i ilustrowane prace przygotowują! Naszych następców szukajmy wokół nas! Zapraszamy na nasze imprezy, na wyjazdy do Lwowa, na Kresy. Wróć zauroczeni. I dumni, że są Polakami.

W warszawskim spotkaniu opłatkowym uczestniczyło ok. 100 stołecznych lwowiaków i kresowian oraz goście honorowi: Sekretarz Rady Pamięci Walk i Męczeństwa min. Andrzej Przewoźnik z małżonką, red. Irena Dziedzic, dr Garlicki – junior, b. dyrektor lwowskiego „Energopolu”, który odbudowywał Cmentarz Orłąt, Jan W. Winglek, pierwszy Konsul RP we Lwowie Włodzimierz Woskowski, przedstawiciele kombatanów oraz rodacy z miasta „Semper Fidelis”: Halina i Krzysztof Ruminiowie – społeczni strażnicy grobów „Orłąt”. Nie było tym razem nestora warszawskich lwowiaków Jerzego Janickiego oraz naszego Ryszarda Orzechowskiego, których zmogły choroby. Brakowało mi także przy Ewie Hollanek jej śp. męża Adama...

Honory gospodarza, a zarazem kapłana celebrującego tradycyjny Oplatek Kresowy pełnił Prezes Stołecznego Oddziału TMLiKPW ks. Janusz Popławski. Z uśmiechem witał przybywających, później z każdym łączył się opłatkiem, składał życzenia. Słowem: był uosobieniem witalności, radości życia, humoru, a przecież w tych właśnie dniach „stuknęło” Jemu 80 lat życia, o czym wówczas nie wiedzieliśmy! Kronika składa się z wspomnień, ale tym bardziej gorące, serdeczne życzenia i gratulacje – w imieniu własnym i wrocławskich lwowiaków. Sto lat! (nie za mało, Jubilee?)

Zespół wokalo-muzyczny „Anima” Andrzeja Grata grał i śpiewał lwowskie piosenki, recytowano pełne nostalgii wiersze Mariana Hemara o Lwowie, „przybijaliśmy” do sąsiadów... Radosny nastrój spotkania podniósł się, gdy minister Przewoźnik, przekazując warszawskim

lwowiakom i kresowiakom życzenia oraz symbolicznie, „jeszcze ciepły”, album pt. „Tam gdzie lwowskie śpią Orłęta. Cmentarz Obrony Lwowa 1919-2001” – wydanej przez ROPWiM – poinformował, że w rozmowach na szczęblu rządowym w Kijowie przyjęto wszystkie postulaty strony polskiej odnośnie zakończenia odbudowy tej nekropolii drogiej kresowianom i ustalono termin jej otwarcia. Oklaskami przyjęto tę wiadomość. Niestety, wkrótce okazało się, że to przedwczesna radość. Nationalistyczni radni lwowscy oprotestowali kijowskie porozumienie międzyrządowe i – kolejny raz – zablokowali datę otwarcia przez prezydentów obu państw (!) Cmentarza Orłąt w lutym br. (piszemy o tym w Kronice dalej).

Warto dodać, że w warszawskim spotkaniu opłatkowym uczestniczyła skromna grupa dziewcząt i chłopców – członków niedawno powstałego Koła Młodych Miłośników Lwowa w Gimnazjum nr 27 im. Orłąt Lwowskich. Sztafeta pokoleń kresowych wystartowała także w Warszawie. To cieszy.

Odnotujemy w Kronice, że Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” zorganizowała we Wrocławiu kolejne Spotkanie Opłatkowe, z poczęstunkiem, dla studentów pochodzenia polskiego zza wschodniej granicy, uczących się w uczelniach wrocławskich. Uczestniczyło ok. 60 osób. Wspólną zabawę zainicjował tańcem horo młodzieżowy zespół bułgarski. Uczestników spotkania obdarowano na odchodnym upominkami.

Jak co roku Fundacja Kresowa „SF” zorganizowała w grudniu ub. roku świąteczną pomoc charytatywną dla rodaków na Kresach. Wysłannicy fundacji dotarli z nią przed Bożym Narodzeniem do skupisk Polaków we Lwowie, Stanisławowie, Kołomyi. Urządzono wspólne spotkania opłatkowe, obłożnie chorych, niesprawnych odwiedzano w ich domach.

Kończąc temat spotkań opłatkowych redakcja „SF” dziękuje za zaproszenia do Częstochowy, Warszawy, Szczecina (gdzie TMLiKPW gościł młodzież i nauczycieli szkoły im. Orłąt Lwowskich z Wielgowa), Węglińca i innych miast oraz oczywiście do wrocławskich Klubów TMLiKPW. Pomimo chęci, nie byliśmy w stanie wszystkich odwiedzić, tym bardziej, że większość spotkań odbyła się w zbliżonym terminie. W kilku „opłatkach” uczestniczył wiceprezes Tow. Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, Bolesław Sudomlak, który przekazał od rodaków we Lwowie noworoczne życzenia oraz podziękowania za pamięć o nich i pomoc. Był serdecznie witany i przyjmowany przez wrocławskich, kłodzkich lwowiaków i kresowianów oraz b. mieszkańców Nawarii i okolic, Tłumacza.

Orłęta, napis, wybory

W grudniu ub. roku prezydenci Ukrainy L. Kuczma i Polski A. Kwaśniewski ustalili już brzmienie napisu na głównej płycie na Cmentarzu Orłąt i że oficjalne otwarcie nastąpi 20 lutego br. Tymczasem... w przededniu mających się odbyć we Lwowie polsko-ukraińskich rozmów na ten temat zostały one przez stronę ukraińską telefonicznie odwołane. Walerij Czereda, pełnomocnik komisji ds. upamiętnienia ofiar wojny i represji poinformował min. A. Przewoźnika, że strona ukraińska nie jest przygotowana do rozmów i spotkanie odwołuje. Terminu kolejnego spotkania nie ustalono. Oznacza to, że nie dojdzie do planowanego wcześniej na 20 lutego otwarcia Cmentarza Orłąt.

Rada Miejska Lwowa, która zarządza cmentarzem, kolejny raz zablokowała uzgodnione na szczęblu międzyrządowym w Kijowie porozumienia między stroną polską i ukraińską. Radni nie chcą „by cmentarz był, jak przed wojną, pompacyjnym panteonem chwały oręża polskiego”. Sekretarz lwowskiej Rady Miejskiej Bilous zarzucił polskim władzom, że w czasie rekonstrukcji cmentarza Orłąt Lwowskich na Grobie Nieznanych Żołnierzy ustawili miecze-szczerbce i chcą umieścić na pomniku nieuzgodniony napis. Zdaniem Bilousa strona polska narusza podstawy porozumienia polsko-ukraińskiego. Zamiast własnego komentarza zamieszczamy wypowiedzi w tej sprawie, które ukazały się na łamach prasy.

Andrzej Przewoźnik, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa: Realizujemy dokładnie to, co zawarliśmy w porozumieniu z rządem Ukrainy. W tej umowie jest ustalony napis na tablicy i zatwierdzony projekt pomnika z mieczami, które pełnią rolę krzyża. W lipcu 1998 r. wynegocjowaliśmy napis: „Nieznany żołnierzom poległym za niepodległość Polski” (lwowskim władzom nie podoba się słowo „niepodległość”). My nic ponadto nie chcemy. Ze strony lwowskich władz to kolejna próba zmiany napisu. Przypominam, że na ukraińskich pomnikach w Polsce znajdują się napisy „Poległym za niepodległość Ukrainy” i to nikomu nie wadzi.

Adrij Sadowyj, lwowski radny, dyrektor pozarządowego Instytutu Rozwoju Miasta: Jestem bardzo zdziwiony, że we Lwowie znów robi się kampanię przeciwko otwarciu Cmentarza Orłąt. Wydano na przykład oświadczenie podpisane przez lokalnych polityków i szefów organizacji społecznych, którzy występują przeciwko tworzeniu na Łyczakowie „panteonu chwały oręża polskiego”. Pod oświadczeniem podpisał się zarówno deputowany z partii socjalistycznej, jak i skrajni radykalowie oraz mnóstwo nikomu nieznanych działaczy społecznych z terenu. To ludzie, którzy próbują wypłynąć na szersze wody, korzystając z takich skandali. Obawiam się, niestety, że do wyborów parlamentarnych i mera 31 marca atmosfera w tej sprawie będzie się jeszcze pogarszać. Nie wierzę, że za rządów obecnych władz miejskich uda się doprowadzić do otwarcia cmentarza.

Marek Siwiec, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego: Termin uroczystego otwarcia Cmentarza Orłąt we Lwowie, który w grudniu wyznaczaliśmy między 18 a 20 lutego, nie został potwierdzony przez stronę ukraińską. Nie została też wyznaczona nowa data. Oczekujemy od strony ukraińskiej powiedzenia: jeśli nie 20 lutego, to kiedy? Bardzo szanujemy suwerenność i samorządność rady Lwowa. Nie posadzamy nikogo o złą wolę, ale warto to już zakończyć. Podkreślam, my jesteśmy bardzo wyrozumiali i bardzo cierpliwi, ale nieodbudowany Cmentarz Orłąt jest pomnikiem hańby, jaka miała miejsce na ziemi ukraińskiej za czasów radzieckich. Natomiast odnowiony cmentarz będzie miejscem pojednania, miejscem szacunku jednego narodu dla drugiego.

Skomentowanie wypowiedzi pozostawiamy Czytelnikom.

Pawłycko odwołany

Dmytro Pawłycko, ambasador Ukrainy w Polsce, został odwołany ze stanowiska przez prezydenta Leonida

da Kuczmę. 72-letni ambasador, poeta i polityk opuszcza Warszawę na rok przed zakończeniem kadencji. Nie są oficjalnie znane przyczyny dymisji. Czy ma to jakiś związek z jego, różnie ocenianą, działalnością w Polsce, wewnątrzukraińską kampanią przedwyborczą, której efektem jest zamieszanie wokół sprawy Cmentarza Orłąt Lwowskich i jego oficjalnego otwarcia przez prezydentów obu krajów? Nazwisko następcy Pawłyckiego także nie jest jeszcze znane.

E. Legowicz nadal prezesem TKPZL

4 grudnia odbyło się długo oczekiwane Walne Sprawozdawczo-Wyborcze Zebranie Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Uczestniczyli w nim przedstawiciele 18 oddziałów TKPZL w woj. lwowskim i goście z Polski: posłowie na Sejm J. Stefaniuk i T. Samborski, starosta legnicki M. Kasprzak, Inspektor Generalny Stowarzyszenia Współpracy „Polska-Wschód” J. Witek, pierwszy Konsul RP we Lwowie W. Woskowski, przedstawiciel Wspólnoty Polskiej B. Czech oraz przedstawiciele obecnego Konsulatu Generalnego RP we Lwowie.

Delegaci pozytywnie ocenili – wbrew wcześniejszym doniesieniom prasy krajowej – działalność Zarządu, a w szczególności prezesa Emila Legowicza. Dowodem tego był ponowny jego wybór, przeważającą większością głosów, na prezesa nowego Zarządu TKPZL. Kontrkandydata nie zgłoszono. Wiceprzewodniczącym pozostał także Bolesław Sudomlak. Oby gratulujemy ponownego wyboru na te ważne funkcje, a całemu Zarządowi życzymy pomyślnej działalności na rzecz rodaków tam pozostałych. Do problemów, z którymi boryka się Towarzystwo w swojej pracy, będziemy powracać.

Walne Zebranie TKPZL dokonało zmiany i uzupełnień w Statucie Towarzystwa. W uznaniu zasług posła Tadeusza Samborskiego w organizowaniu i niesieniu pomocy Polakom za wschodnią granicą, delegaci jednomyślnie obrali go honorowym ambasadorem TKPZL w Sejmie RP.

Goście z Polski byli pod wrażeniem atmosfery obrad. „Patriotyzmu to my powinniśmy przyjeżdżać uczyć się od Was, od Lwowa!” – powiedział poseł J. Stefaniuk delegatowi.

Order Przyjaźni dla A. Przewoźnika

Prezydent Rosji Władimir Putin odznaczył min. Andrzeja Przewoźnika – Sekretarza Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa – Orderem Przyjaźni Federacji Rosyjskiej. Odznaczenie zostało mu przyznane za wkład w rozwój przyjaźni i współpracy między Rosją a Polską.

– Po 60 latach od dokonania zbrodni (katyńskiej) przez reżim totalitarny udało nam się zamknąć tę mroczną kartę naszych stosunków. Otwarcie Cmentarza w Katyniu i Miednoje było możliwe dzięki wspólnym działaniom z panem Przewoźnikiem – powiedział ambasador Rosji w Polsce Siergiej Razow wręczając mu w imieniu prezydenta Putina Order Przyjaźni. Ambasador przypomniał, że Rada z równą starannością dba o cmentarze żołnierzy radzieckich w Polsce.

Gratulujemy zasłużonego wyróżnienia.

Dni Hemara

100-lecie urodzin Mariana Hemara, ostatniego romantyka nieromantycznej epoki – jak Go nazywano – uroczyste obchodzone w ub. roku we Lwowie – mieście, w którym się urodził, które kochał i został jego bardem. W Warszawie – do której się przeniósł ze Lwowa i związał z kabaretami: „Qui pro quo”, „Cyrylik Warszawski”, „Czarny Kot” i in., dla których pisał teksty satyryczne, do piosenek. I w Londynie – gdzie osiadł po wojnie, tworzył, prowadził kabaret dla polskiej emigracji i... tęsknił za Lwowem, do którego nigdy już nie miał powrócić.

We Lwowie Federacja Polskich Organizacji na Ukrainie zorganizowała Dni Hemara, na program których zostały się: sesja popularno-naukowa poświęcona twórczości Poety, spotkanie literackie, podczas którego wystąpił Teatr „Scena Galicjana”, prezentacja książek M. Hemara udostępnionych przez Bibliotekę Narodową w Warszawie. Polski Teatr we Lwowie przygotował spektakl wg sztuki Hemara „Wspomnij mnie”. Wyreżyserował go i zagrał główną rolę Zbigniew Chrzanowski. Wieczór poświęcony Hemarowi urządziła również p. Teresa Dutkiewicz, podczas którego zaprezentowała zbiór wierszy poetów kresowych pt. „Habemus Papam”, wydane go z okazji pielgrzymki Ojca Świętego do Lwowa.

W Warszawie wmurowano na ścianie domu przy ul. Senatorskiej 27 tablicę poświęconą słynnemu autorowi wierszy, piosenek, tłumaczowi. W tym miejscu, przed wojną, stała siedziba słynnego kabaretu literacko-artystycznego „Qui pro quo” (teksty Hemara były stale obecne w jego programie). Tablicę odsłoniła Władza Majewska, specjalnie przybyła z Londynu – aktorka w kabarecie Hemara, przyjaciółka poety, czuwająca nad Jego spuścizną literacką. Na uroczystości byli prezydent Warszawy oraz wiele postaci ze świata kultury i sztuki.

Wieczory hemarowskie odbyły się w wielu Klubach TMLiKPW w całym kraju, a krakowski kwartalnik „Cracovia-Leopolis” zamieścił w numerze 2/2001 b. ciekawe materiały, m. in. rozmowę z prof. S. Nicieją o lwowskim bardzie i jego twórczości.

Lwowiacy wciąż czekają

Spełniło się marzenie członków Klubu TKPZL w Złoczowie i jej prezesa Marii Niemirowskiej. W październiku ub. roku prezes „Wspólnoty Polskiej”, prof. A. Stelmachowski, odwiedził to kresowe miasto i dokonał aktu zakupu domu na siedzibę TKPZL i miejscowej wspólnoty polskiej. Uradowani rodacy powitali darczyńcę tradycyjnym chlebem z solą oraz... tortem, a dzieci polskie z sobotniej szkoły – śpiewem. Ks. proboszcz Leszek Paszkowski udzielił błogosławieństwa.

W kupionym domu będzie się mieścić sobotnia szkoła polska, siostry zakonne będą uczyć katechezy, będzie też miejscem spotkań religijnych.

Lwowiacy od lat czekają na taki dar „Wspólnoty”...

Doktorat H. C. dla rektora Politechniki Wr.

Rektor Politechniki Wrocławskiej, prof. dr hab. Andrzej Mulak, otrzymał tytuł Doktora Honoris Causa Uniwersytetu Narodowego „Politechnika Lwowska”. Zaprzysiężenie i wręczenie dyplomu Doktora H. C. odbyło się w b. podniosłej i uroczystej atmosferze w auli uczelni

lwowskiej, w obecności członków jej Rady Naukowej, Rektoratu, licznie zebranych pracowników oraz grona profesorów Politechniki Wrocławskiej. Wystąpił chór i orkiestra PL.

Rektor Politechniki Lwowskiej prof. dr hab. Jurij Rudawski przedstawił doktoranta, a prof. Bohdan Mandij scharakteryzował działalność i przedstawił dorobek naukowy prof. A. Mulaka. Dziękując za zaszczytny tytuł zapewnił on o dalszej współpracy między obiema uczelniami z pożytkiem dla nauki.

Korzenie nominata wywodzą się ze Lwowa, choć on urodził się już w Krakowie. Jego ojciec był profesorem Akademii Weterynaryjnej we Lwowie. Politechnika Wrocławska także korzeniami sięga Lwowa. Jej powojenną działalność zapoczątkowali profesorowie Politechniki Lwowskiej ekspatriowani ze Lwowa.

Byli studenci i absolwenci Politechniki Lwowskiej składają prof. A. Mulakowi gratulacje z okazji zaszczytnego wyróżnienia. Dołączamy nasze.

Śpiewało „Echo”

Po kilkuletniej nieobecności gościliśmy znowu, w okresie tradycyjnych spotkań opłatkowych, polski chór „Echo” ze Lwowa. Niestety, nie na zaproszenie Klubów TMLiKPW, bo nas po prostu nie stać, lecz za sprawą obchodów X-lecia wrocławskiego Portu Lotniczego. Lwowski chór uświetnił imprezy jubileuszowe. Lwowiacy i kresowianie, nie tylko wrocławscy, są wdzięczni dyrektorowi dr. E. Krawczykowi, że zaprosił go na kilkudniowy pobyt we Wrocławiu, bo skorzystali na tym: członkowie i sympatycy Klubu „Leopolis” – chór „Echo” zaśpiewał na ich noworocznym spotkaniu opłatkowym, wrocławianie – chór dał piękny Koncert Kolęd, Pieśni Lwowskich i Patriotycznych w Katedrze Wrocławskiej (nagrodzony brawami), telewizywie – bo „Echo” wystąpiło „na żywo” w lokalnym programie TV, po którym rozdzwoniły się telefony w hotelu „Polonia”, gdzie mieszkali chórzysci, z zaproszeniami, życzeniami od znajomych i wrocławskich lwowiaków. Ich śpiewu słuchał i okłaskiwał także Metropolita Wrocławski ks. Henryk Kardynał Gulbinowicz. – Tak gorącego przyjęcia nie spodziewaliśmy się – powiedział po koncercie w Katedrze dyrygent chóru Edward Kuc. Dziękujemy im za piękny śpiew, wzruszenie. W drodze powrotnej do Lwowa „Echo” zatrzymało się na godzinę w Opolu, aby tam w kościele zaśpiewać dla miejscowych lwowiaków, kresowiaków i opolan.

A wrocławianie już dziś dopytują się, kiedy „Echo” odwiedzi ponownie nasze miasto, a przy okazji i inne dolnośląskie, gdzie osiedlili się kresowianie? Odpowiadamy: jak znajdzie się sponsor. Zainteresowanym podajemy adres: Chór „Echo”, Rynek 17 Lwów, Ukraina, dyrygent – Edward Kuc. Telefon ++ 380-322-74-23-14. Trzymamy kciuki!

Z okazji zbliżającej się Wielkanocy życzą Czytelnikom Wesołego Alleluja i Smacznego Jajka!

Kronikarz

Phm. Rafał Ryszka

Rajd do Lwowa instruktorów Dolnośląskiej Chorągwi Harcerzy ZHR 8-11 listopada 2001 r.

W Dolnośląskiej Chorągwi Harcerzy Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej od listopada zeszłego roku trwa specjalna kampania, która ma na celu przybliżenie i „zasłużenie” na patrona chorągwi którymi będą Orleńskie Lwowskie.

Motywy decyzji Komendy Chorągwi o przyjęciu takiej propozycji była chęć wypełnienia dwóch potrzeb – naszych harcerzy i instruktorów jak i społeczeństwa pośród którego pełniemy naszą służbę.

Pierwszym i oczywistym uzasadnieniem takiego kierunku zainteresowań to naturalne więzi łączące Lwów i Wrocław jak i cały Dolny Śląsk. Drugim celem – wychowawczym i merytorycznym najważniejszym – jest potrzeba przybliżenia młodemu pokoleniu wzorców zachowań patriotycznych i zarazem bohaterskich. Świadomość swoich korzeni i harcerskich tradycji powinna jeszcze bardziej kształtować poczucie harcerskiej służby Bogu i Ojczyźnie.

W ramach Kampanii harcerze i instruktorzy oraz zuchy naszej chorągwi zdobywają okolicznościową sprawność „Semper Fidelis”. Dzięki niej poznają historię Orleń, rozwijają kontakty ze Lwowem i Lwowiakami, starają się być jak najbardziej pożyteczni dla otoczenia.

Jednym z elementów tej kampanii był Rajd Instruktorów chorągwi do Lwowa na obchody święta Niepodległości.

W czwartek wieczorem – 8 listopada 2001 – wszyscy spotkaliśmy się na wrocławskim Dworcu Głównym przygotowani do kilkudniowej wyprawy.

Było nas piętnaście – instruktorów i starszych funkcyjnych z dolnośląskich drużyn wędrowniczych i harcerskich – z Wrocławia, Strzegomia, Jeleniej Góry i Żarowa. Razem z nami jechał również nasz harcmistrz – członek wrocławskiego oddziału TMLiKPW i zarazem syn jednego z Orleń – druh Józef. Był On nieocenioną podporą wyjazdu.

Po całonocnej jeździe pociągiem do Przemyśla już po godzinie 9.00 rano przekraczaliśmy granicę państwa w Medyce. Niektórzy z nas – którzy pierwszy raz podróżowali za wschodnią granicę – doznali pierwszych „atrakcji” – obserwując kolejkę oczekujących na przekroczenie granicy, ogromne czapki pograniczników, reklamy i ogłoszenia pisane cyrylicą, „rozklekotane” Żygułi, Wołgi i Zaporozce. Byliśmy nie tylko obserwatorami – przekraczając granicę pieszo – „czynnie” przedzieraliśmy się przez kotłujący się tłum pod punktem ukraińskiej kontroli paszportowej. Był to swoisty „chrzest bojowy” – na samym początku wyprawy.

Jeszcze tylko wykupienie „ubezpieczenia”, przesunięcie wskazówek zegarków o godzinę do przodu i mogliśmy już wygodnie jechać do Lwowa lokalnym minibusem.

Celem naszej podróży we Lwowie była harcerska stanica – prowadzone przez znane harcerskie małżeństwo – państwa Adamskich. Od kilku już lat tworzą Oni

polskie harcerstwo we Lwowie – i szerzej – na Ukrainie zorganizowane w Związku Harcerstwa Polskiego na Ukrainie. To właśnie dzięki ZHR-owi kształcą oni swoich instruktorów, prowadzą swoje obozy na przedwojennych wzorach, odnajdują swoją bogatą tożsamość. To właśnie od ZHRu uczą się służby w czasie papieskich wizyt „Białych Służb”.

Po szybkim zakwaterowaniu i śniadaniu podzieliliśmy się na kilka trzyosobowych patroli i wyruszyliśmy na grę po mieście przygotowaną przez Komendanta Chorągwi – Druha Pawła Schindlera. Instruktorzy dostali zdjęcia, rysunki lub opisy charakterystycznych punktów i za zadanie mieli odnaleźć je i wykonać przy nich zadanie. Miejsca te były oczywiście związane z historią harcerstwa i Orleń Lwowskich.

Były to np. dawna siedziba Komendy Chorągwi Lwowskiej, Politechnika (gdzie miały miejsce krwawe walki w listopadzie 1918), Katedra, drukarnia która wydawała „Skauta” – pierwsze pismo dla harcerzy i inne miejsca. Zadania, które trzeba było wykonać były powiązane z historią ale zarazem miały dotyczyć naszej teraźniejszości. I tak – tam gdzie powstawał „Skaut” – instruktorzy mieli wykonać drugą stronę harcerskiej gazetki. W Katedrze Rzymskokatolickiej mieli za zadanie stworzenie współczesnej modlitwy harcerskiej, w innym miejscu – wykonać stronę tytułową mającej powstać *Kroniki Kampanii „Bohater”* dla swojego środowiska.

Przy okazji wszyscy poznali bliżej miasto i w następne dni można było bez przeszkód poruszać się po centrum „Lwiego Grodu”.

Wieczorem obejrzelśmy slajdy ze Zlotu ZHP poza Granicami Kraju, który miał miejsce w zeszłym roku w Kanadzie, a byli na nim nasi dwaj instruktorzy i druh Adamski. Komentarze, opowieści trwały do późnej nocy.

Następnego dnia – po śniadaniu – podzieliliśmy się na 2 grupy, które miały wykonać służbę, przygotowaną przez lwowskich harcerzy. Część z nas poszła na *Cmentarz Janowski* wcześniej zaopatrzona w łopaty,



Służba na Cmentarzu Janowskim (ściągnięcie warstwy ziemi i gruzu z mogił żołnierzy polskich – Grzegorz Pidanty, Rafał Ryszka, Damian Kowalik)

nosze i saperki. Mieliśmy za zadanie ściągnąć warstwę gruzu i ziemi, którą była przysypana kwatera żołnierzy polskich poległych w 1918 roku. Ziemię, gruz, śmieci ładowaliśmy na nosze i wynosili poza obręb grobów. Zabrakło czasu i fachowego sprzętu na wszystko co chcielibyśmy tam zrobić – udało nam się odsłonić nagrobki 3 poległych i wstępnie oczyścić z chwastów zalegającą górę ziemi.

Druga grupa udała się do dwóch starszych Polek mieszkających poza centrum miasta – wśród bezdusznego blokowiska – z zadaniem przygotowania drewna na opał na zimę. Po raz kolejny uderzyło nas ubóstwo mieszkających tam ludzi, a zarazem zaskakująca serdeczność i poczucie humoru. Ścieliśmy kilka drzew, porąbali na poręczne szczapy i poukładali w wyznaczonym miejscu, ale mieliśmy wrażenie że ważniejszy dla naszych gospodarzy był sam fakt naszej obecności, możliwość porozmawiania w ojczystym języku. Było to dla nas niezapomniane doświadczenie i przeżycie.

Popołudnie miało przynieść równie wiele ważnych przeżyć co dotąd. Z umówionego wcześniej miejsca pojechaliśmy tropem Orląt do pobliskich Winnik. Tam na cmentarzu pochowani zostali walczący o polskość tych ziem. Tam stoi pomnik ku ich czci. Po krótkiej modlitwie i pamiątkowym zdjęciu, wróciliśmy do Lwowa.

Wieczorem – zanim jeszcze zrobiło się ciemno – dotarliśmy na Łyczaków. Szybko zwiedziliśmy cmentarz i już o godzinie 18.00 miejscowy ksiądz z katedry odprawiał dla nas specjalną Mszę św. w kaplicy Cmenta-



Zdjęcie przy Lwie – symbolu miasta – na rogatkach Lwowa od strony Winnik. Lew z Cmentarza Orląt
Stoją w I rzędzie: phm. Grzegorz Pidanty, pwd. Marcin Zugaj, hm. Józef Wysocki, pwd. Bogdan Pluciennik, pwd. Adam Trela, phm. Mariusz Polarczyk, Damian Kowalik ćw., Jacek Poznański HO, pwd. Eugeniusz Wójtowicz

W II rzędzie: Tomasz Zięba mł., Zbigniew Sowiński ćw., Piotr Piechocki ćw., phm. Rafał Ryska, Łukasz Łabędź HO

rza Orląt Lwowskich. Wszyscy czuliśmy podniosłość i wyjątkowość chwili. We Mszy uczestniczyło – oprócz nas – kilku miejscowych Polaków, i Druh Adamski.

Po Mszy nastąpił najważniejszy moment Rajdu – uroczyste odnowienie przyrzeczenia harcerskiego. W świetle pochodni, u stóp mogił Orląt, każdy z nas wybrał sobie jednego z poległych wobec którego odmówił głośno Rotę przyrzeczenia. Po tej podniosłej chwili każdy zapalił znicz na grobie i wspólnie złożyliśmy wieńiec w imieniu Okręgu Dolnośląskiego ZHR przy pomniku Nieznanego Żołnierza. Całość dopełniło odśpiewanie modlitwy harcerskiej i kilka pamiątkowych zdjęć.

W takim odświeżonym nastroju zjedliśmy (obfitą) kolację i przespacerowaliśmy się po nocnym Lwowie. Po powrocie do naszej „bazy” – podsumowaliśmy sobie dzień 9 i zarazem wyjazd) na wspólnym kominku. Każdy opowiedział coś o grze, o wykonanych zadaniach, wrażeniach, informacjach dotyczących Lwowa, Orląt, początku harcerstwa. Spać poszliśmy grubo po północy.

W niedzielę rano mieliśmy wracać do Polski.



Cmentarz w Winnikach. Pomnik Obrońców Lwowa

Zdążyliśmy jeszcze szybko samochodem dotrzeć do Katedry Św. Jura i wejść na Wysoki Zamek. W mroźny, słoneczny, niedzielny poranek widok na okolicę był przepiękny. Polyskujące w słońcu wieże, bryły kościołów, opera, zarys dworca kolejowego, zielone plamy parków – warto było wstać tak wcześnie.

O 10.00 czekał na nas już ten sam kierowca który nas przywiózł z Medyki. Parę minut później wracaliśmy „na zachód”. Pociąg powrotny z Przemyśla do Wrocławia odjeżdżał o 12.00. Zdążyliśmy z kilkuminutowym zapasem czasu.

Cały dzień w pociągu umilaliśmy sobie rozmowami, odsypianiem nieprzespanych nocy, czytaniem, śpiewaniem przy gitarze. Wieczorem po pożegnalnym uścisku rąk rozjechaliśmy się do swoich domów.

Czytelników „SF”, którzy mają dostęp do Internetu zapraszamy do zobaczenia bieżących informacji z przebiegu KAMPANII „BOHATER” w naszej chorągwi jak i fotoreportaży z Rajdu do Lwowa. Te, jak i inne informa-

cje, można znaleźć na stronie internetowej Dolnośląskiej Chorągwi Harcerzy: <http://www.zhr.pl/harcerze/ch/dls/>.

Czytelników ze wszystkich oddziałów **Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich** jak i innych naszych sympatyków, zapraszamy w święto **3 Maja 2002** na wrocławski Rynek na uroczystość zakończenia kampanii „Bohater” i przyznanie sztandaru naszej Chorągwi. Na naszej uroczystości obecni będą harcerze ze Lwowa (ZHP na Ukrainie), władze naczelne ZHR, władze samorządowe.

Jeżeli ktoś chciałby – nawet symbolicznie – wspomóc i przez to przyczynić się do naszej Kampanii może to zrobić stając się donatorem na rzecz powstania sztandaru Dolnośląskiej Chorągwi Harcerzy ZHR. Wszelkie wpłaty prosimy kierować na konto Okręgu Dolnośląskiego ZHR:

PKO IV o / Wrocław 10205255 – 406378 – 270 – 1 -111 (z dopiskiem „Sztandar Chorągwi”).

Zdjęcia: hm. Paweł Schindler □

Wiesław Richter

Lwowska mozaika (cz. II)

VI. Wśród dawnych przyjaciół

Z ocalałego przekazu mojej Matki pozostało kilka nazwisk sąsiadów, z którymi przyjaźniła się, bawiła, chodziła do szkoły na Zniesieniu, w czasach kiedy żyła w zgodzie wielonarodowa społeczność tych ziem. Oto mozaika Rodzin: Papara – rodzina tatarska zamieszkała za mostem kolejowym, dalej Holeczkowie (z rodziny Horodeckich) – spolszczeni Czesi, osiedleni w gospodarstwie z sadem (naprzeciw domu kolejowego moich Dziadków), a wśród nich powiązania: siostra Holeczkowej „wyszła” za Semenę, Ukraińca, zaś Adela Holeczkówna była serdeczną przyjaciółką mojej Mamy. Następnie Skulscy – Ukraińcy zamieszkali naprzeciw Holeczków; wreszcie Pańczyszyny – również Ukraińcy, zamieszkali na dole, w pobliżu cerkwi, a wśród nich zapamiętane imiona: Sławka, Heleny, Marynki, Irki, Władka i Janka... Klimat tych lat, zwłaszcza z okresu licealnego, znaczących licznymi przyjaźniami, przekazała nam Mama wspominając i często śpiewając ładnym „drugim głosem” zapamiętane różnorodzone melodie, dumki, piosenki ludowe lub charakterystyczne. Takie jak te, które śpiewali wspólnie w dzieciństwie i młodości towarzysząc sobie na mandolinach, gitarach czy organkach, zapamiętane fragmentarycznie:

„Tak tycho, tak pusto,
Chocz sosen tak husło,
Ne czuły ni wtru w dibrowi...”

lub „Wzjawn by ja banduru,
Taj zagraw szczo znaw,
Poljubiw diwczinu,
I za szczo ne znaw...”

lub „Gdyby orłem być, lot sokoli mieć,
Skrzydłem orłem lub sokolem
Unosić się nad Podolem,
Tamtem życiem żyć.”

Z kontaktów ze znajomymi Żydami pozostała wśród wielu inna zabawna, charakterystyczna piosenka, prawdopodobnie z Mościsk, gdzie przez kilka lat mieszkaliśmy. Śpiewana była nie w znaczeniu



1-sza Komunia Św. w kościele OO. Bernardynów we Lwowie – 10. 06. 1945 r. Od lewej: W. Richter (autor), od prawej: Janek Sikorski, Andrzej Bogucki i in., w środku: nasz katecheta.

pejoratywnym, ale jako ciekawostka folklorystyczna dla ówczesnego środowiska.

„Salci kozy dojała, ach waj bum,
Lajbisiowi pić dała, ach waj bum tarasa,
Ach waj bum!
Lajbiś nie chciał młiczki pić, ach waj bum,
Tylko chciał do taty iść, ach waj bum tarasa,
Ach waj bum!
Taty chwycił go za nos, ach waj bum,
I wycisnił wszystek sos, ach waj bum tarasa,
Ach waj bum!”

VII. W oczekiwaniu na Gwiazdkę...

Złoto i czerwień jesieni gasły nieuchronnie aby ustąpić bielom i srebrom okresu grudniowego, poprzez misterium przygotowań, zakupów, a zwłaszcza radość wykonywania ozdób do przystrojenia drzewka, oczekiwań na Św. Mikołaja i Aniolka... Do dzisiaj ocalała koperta z adresem: „Do Św. Mikołaja – Niebo”. Adres zwrotny: „Wiesiu R. z ul. Halickiej”. Zawierała kiedyś wykaz upragnionych podarunków, a kładło się ją pomiędzy szyby okienne. A wcześniej wędrowki z Mamą po sklepach wzdłuż Halickiej, Placu Bernardyńskiego, na słynny Plac Teodora w poszukiwaniu kolorowych bibulek, staniolu, koralików, słomek, włosów anielskich itp. światełek do ubrania drzewka. Nie ogarnę już myślami tych przekolorowych cudniek, w wykonywaniu których celo-



Pamiętka z Krucjaty Eucharyst. u OO. Bernardynów we Lwowie – 1945 r. W środku – nasz Wychowawca O. Fidelis Kędziński

wał nasz Tatuś⁵⁾ dzięki wrodzonym artystycznym zdolnościom. Powstały więc przeróżne ozdoby z wydmuszek jajecznych, języki, bombonierki bibułkowe, łańcuchy, pajacyki przezabawne, koralikowo-słomkowe cacka itp. zabawki. Kiedy je z nami wieczorami malował, wycinał i kleił to posyłał nam zza „owikieru” (okularów) zaczepne spojrzenia, a w nich iskierek rozbawienia, humoru i zadowolenia. Pamięć przechowywała scenkę, na którą oczekiwaliśmy cały rok: jak w bajce w rogu pokoju zaśnie wyczarowane przez całą Rodzinę prawdziwe, pachnące igliwem i czarem lasu drzewko, do samego sufitu, iskrzące się mozaiką ozdób, zwieńczone szklanym szpicem! Niżej, pod dolnymi gałązkami ustawiałem kartonową szopkę w „śniegowej wacie”, podświetloną żaróweczką. Wszędzie na gałązkach – prawdziwe miniaturowe światełki w ozdobnych blaszanych lichtarzykach.

Wieńcząca Wigilię Pasterka ściągała do pobliskiej Katedry tłumy Lwowian, aby wtórować kołędami pamiętnym chórom – „Dana” lub



Siostra autora: Hala Richterówna – Lwów, lato 1945 r. Zmarła na Sybirze w wieku 20 lat.



Siostra autora: Krzysia Richterówna, Lwów, lato 1942 r. Zm. w kraju w 1980 r.

„Eryana”. Szacowne mury świątyni ożywały śpiewem, a rozświetlona ogromna mozaika wszystkich witraży lśniła ciepłymi barwami przenosząc refleksy na ośnieżone dachy i place. Podniosły nastrój potęgował dźwięk organów wznoszący się ku gotyckiemu sklepieniu.

Stół świąteczny w czasie wojny był często bardzo skromny i stanowił okazję do wspomnień lepszych czasów, kiedy odbywało się misterium przygotowań specjalów lwowskiej i kresowej kuchni. Nie wiedziałem wtedy, że te kutie, studzieniny, mamaligi, kalabuchy, bajgiele, kwargle, „precli na jajach”, nugaty, makagigi, rachattuki, piszyngiery i inne meczyje powstawały i kształtowały się przez wieki we wspólnym, smakowitym tyglu wielonarodowych, niepowtarzalnych kuchni, tworzących cały, odrębny świat zapachowo-smakowy. Pod ośnieżonymi drzewami Placu Św. Ducha, Wąłw Hetmańskich i ulicy Legionów następował spacer i odwiedziny u Cioci Lusi (Otylii Lasockiej – siostry mojego Ojca) i Marysi (jej córki, a mojej kuzynki). Tam pod drzwiami ich mieszkania na Legionów kołędowali, a dalej radośnie witani, wchodziliśmy do wnętrza rozświetlonego drzewkiem, nasyczonego zapachami, pełnego pamiętek. Te iluminowane obrazy świąteczne to zachowane w pamięci fragmenty naszych „dziecięcych ojczyzn”, których nie jest w stanie wydrzeć z serca żaden rabuś czy „wyzwolicieł”, chociaż odebrał nam Ojcowiznę!

VIII. Pod opieką oo. Bernardynów

W prześwicie pomiędzy Katedrą, a Kaplicą Boimów, na większości ujęć fotograficznych, jest nasza kamienica narożna przy Halickiej. Z okien 2-go piętra, lukowo przesklepiionych, otwierał się niezapomniany widok na majestatyczną Katedrę, Ratusz i studnię Neptuna. Stąd już niedaleko, przez Place Halicki i Bernardyński, do Klasztoru i Kościoła oo. Bernardynów, jednego z piękniejszych we Lwowie. Wiele razy jako dziecko przekraczałem żelazną bramę wiodącą do zakrystii, gdzie przygotowywaliśmy się do nabożeństw. Tuż za bramą, na ścianie kruchty zapamiętałem dużą rzeźbę Chrystusa rozpiętego na krzyżu. Odżywa pamięć, rozjaśnia się obraz, a na nim sylwetki modlących i pochylających się do przebitych stóp – gładkich od dotknięć i składanych pocałunków. Zapamiętałem zawsze świeże i pachnące kwiaty pod krucyfiksem, płomienie świec nieustannie gorejących w półmroku przedsionka i szept modlitw...

W salkach kościoła odbywały się spotkania, śpiewy, katechizacja, rozmowy i zabawy dzieci i młodzieży pod kierunkiem naszego wspólnego Wychowawcy i Przyjaciela – niezapomnianego ojca Fidelisa Kędzińskiego⁶⁾, założyciela i dyrektora tzw. Krucjaty Eucharystycznej. Należałem do niej w latach okupacji niemieckiej i sowieckiej wraz z



Ojciec – Bolesław Richter, żołnierz 1-szej wojny świat., oficer WP, więzień łagrów sowieckich. Zmarł na Sybirze w 1947 r.

doświadczeniem i mądrością życiową. Prawdziwym cudem można nazwać nawiązanie z Nim kontaktu listowego, kiedy zostałem z Rodziną w 1946 r. wywieziony na Sybir. O. Fidelis, poprzez Basię Krasucką, z pomocą jej Rodziny – PP. Höflingerów – zorganizowali kilkakrotnie pomoc finansową. Pomogła ona przetrwać nieraz największy głód i nędzę, była nadzieją na ocalenie i powrót do Ojczyzny. Poprzez te wspomnienia pragnę oddać hołd Jego Pamięci w podzięce za wychowanie i pomoc. Jednocześnie za okazane serce i pomoc, tą drogą, chcę podziękować Basi Krasuckiej i Jej Rodzinie – pozostałym na Kresach. Niech Niebieski Ogród będzie dla Niego wielką jasną mozaiką barw i dźwięków.

Warto jeszcze przypomnieć, wymyśloną przez Ojca Fidelisa, rywalizację w spełnianiu dobrych uczynków w formie tzw. „skarbczyka” – prostego i sprawdzalnego w działaniu. Otóż wycięte z białego papieru małe serduszką, różnokolorowe, w zależności od rodzaju i znaczenia uczynku, wyciągało się z przegródek i umieszczało przy swoim imieniu w odpowiednim nacięciu. Warunkiem oczywistym było dobrowolne, realne i bezinteresowne spełnienie dobrego uczynku dla każdego potrzebującego pomocy. Najwyżej oceniane były różowe, wymagające największej wytrwałości i poświęceń. Ta „gra o serca” była pięknie rozrysowana na dużym arkuszu i zawieszona w salce naszych spotkań. Podsumowanie przez naszego Opiekuna następowało okresowo, a wyniki miały wpływ na hierarchię w Krucjacie. O ile pamiętam istniała pewna gradacja stopni: od kandydata (czy nowicjusza) do tzw. Rycerza Niepokalanej. Być może forma wyda się obecnie naiwna lub staroświecka, ale znaczenie wychowawcze i sens działania uważam, że pozostał ponadczasowy, szczególnie w obecnej, przełomowej epoce upadku fundamentalnych wartości. Te światła, zachowane w serdecznej pamięci, jarzą się wciąż przedziwnym blaskiem, jakby wyjęte z wielkiego witrażu z Kościoła OO. Bernardynów – prześlizgniętej przecież budowli, jak z sennego marzenia natchnionego architekta.

grupą dzieci i młodzieży. Wśród nich pamiętam Basię Krasucką⁷⁾ (wnuczkę PP. Höflingerów), Andrzeja Boguckiego i Janka Sikorskiego i wielu innych. Wśród nich była również Janeczka Augustyn, opisująca po latach naszą wspólnotę (vide: jej barwna i wzruszająca publikacja pt. „Lwów – wspomnienie lat szczęśliwych”). Tutaj z Andrzejem i Jankiem przystępowaliśmy do 1-szej Komunii Św., braliśmy grupowo udział w podniosłych uroczystościach tzw. Godziny Świętej, w barwach błękitnych Rycerzy Niepokalanej w/w Krucjaty, tutaj służyliśmy do Mszy św. i Nieszporów, a potem bawiliśmy się w tej oazie spokoju. O. Fidelis służył nam pomocą duchową, a często i materialną, wspierał

IX. Gdy zgasły światła...

Pewnej tragicznej marcowej nocy 1946 roku tworzona przez lata mozaika rozprysła się przebita bagnietami bolszewickich żołdaków, którzy wtargnęli brutalnie do naszego mieszkania przy Halickiej. Pobliska Katedra tonęła w mroku i ciszy, światła w Ryńskim dawno pogasły, a my wyrwani ze snu zostaliśmy wypędzeni w nieznane – na sybirską katorgę – ze słowami cichej modlitwy na ustach Matki, z rozpaczą w oczach. Obrazy nieludzkiego życia, warte osobnej opowieści, nie mieści się już kolorami dzieciństwa, nie mieszczą się w tej lwowskiej oprawie. Ze wspomnień i nielicznych listów z Sybiru przebiega tylko czerni i biel – porażająca biel śniegów i głęboka czerni rozpacz, jako tło i treść naszej poniewierki.

Pozostał wyblakły notesik lwowski po mojej Siostrze Hali zmarłej na Sybirze. Wiersze tam zawarte trzymały nas na duchu, a wśród nich:

„Przeżyć musimy wszystko złe,
Przeboleć krzywdy, winy,
W radości śmiać się kiedy czas
A wtedy przyjdą i dni te –
Że minie, przysnie wszystko złe...
Że szczęście będzie wewnątrz nas.”

Tych nowych szczęśliwych dni, gdy cudem zapaliło się dla nas światło powrotu do Polski, nie doczekali najbliżsi: Siostra Hala i Ojciec Bolesław pozostali na bezkresnej obcej ziemi, jak niezliczone tysiące naszych Rodaków. Na wiadomość o naszym powrocie z Sybiru w r. 1948 Ojciec Fidelis napisał z Krakowa m. in.: „Nawet nie wyobraża sobie Pani ile radości sprawił mi Jej list, mimo że do radości przyłącza się smutna wiadomość o tym, że nie wszyscy wróciliście do Kraju. Trudno! Tamci poprzedzili nas tylko do wspólnej wszystkim Ojczyzny. (...) Niech Wam Bóg Dobry, którego Ojcowską Rękę teraz dopiero widzicie, nadal błogosławi.”. Słowa Jego, jak kiedyś we Lwowie, były dla nas otuchą i podporą w dalszym życiu.

„To wszystko serce moje pamięta,
I jak tam chleb smakował i kędy rola mięta.
Jak dusza tam się czuła radośnie wniebowzięta.
I jak ta ziemia droga i jak jej pamięć święta.”

(L. Podhorski-Okolów: „Ojcowizna”)
Wrocław, październik 2001 r.

Przypisy:

5) Bolesław Eward Richter – ur. 1895 w Falkowej k. Grybowa, legionista, oficer WP, uczestnik 1-szej wojny świat., więzień wojsk bolszew. Wieleletni inspektor Izby Skarbowych w okr. międzywojennym w Mościskach, Borysławiu i Lwowie. Zamiłowania uzdolniony artysta-malarz. Zmarł na zesłaniu na Syberii w 1947 r.

6) Edward Fidelis Kędziński – ur. 1904 r., publicysta, redaktor, Świątobienia Kapłańskie w 1928 r. w Mediolanie. W l. 1928-29 studiował we Lwowie, w 1929-31 magister klerików w Sokalu, w 1931-1945 wikariusz parafii klasztornej OO. Bernardynów we Lwowie. Założyciel i dyrektor Krucjaty Eucharyst. w w/w Kościele (wg książki Ks. St. Bizunia – „Historia krzyżem znaczonej” – „Wspólna Pol.” – Lublin 1994 r.).

7) Barbara Krasucka, wnuczka rodziny PP. Höflingerów we Lwowie, znanych kupców-cukierników. Uczestniczyła w spotkaniach katechet. i eucharystycznych dzieci i młodzieży w Kościele OO. Bernardynów we Lwowie. Pozostała wraz z Matką i najbliższą Rodziną we Lwowie. Jej domy rodzinne znajdowały się w dawnym Lwowie przy ul. Asnyka i Klonowicza. □

Jerzy Masior

Jak długo

Pamięci Staszka Piątka,
kolegi z II Gimnazjum

O, jakież to nadzwyczajne,
jakież to odkrycie.
Przystanę pod siedemnastym
po raz któryś w życiu.

Przystanę, ciężar lekcji
w teczce tu zwlecemy.
Pytania, tyle pytań,
znów czegoś nie wiemy.

I jeszcze to najgorsze:
qamdiu Catilina...
Tak długa trzecia pauza,
coś znów się zaczyna.

Jak długo pył podwórka,
światliste rozbieganie.
Jak długo wszystko stamtąd
na wieczność zostanie?

Nowy Sącz, 7 stycznia 2002

Wywiad z p. Anną Damm, wrocławską piosenkarką pochodzącą ze Lwowa

Proszę nam opowiedzieć o Pani dzieciństwie we Lwowie.

A.D.: Lwów, moje rodzinne miasto, jest niepodobne do żadnego jakie znam, ale kocham je nie tylko dlatego. Położenie na szlaku handlowym, a więc przepływ ludności z różnych stron świata, spowodowało osiedlenie się we Lwowie kupców i przemysłowców z Niemiec, Austrii, Armenii, Bułgarii, Węgier i wielu jeszcze krajów. Ta mieszanina, wraz z osiadłą już ludnością polską, żydowską i ruską, spowodowała dużą wzajemną tolerancję i swoisty klimat obyczajowy. Podstawą była rodzina, często dość liczna, uznająca przywiązanie do takich autorytetów jak dom, szkoła, kościół. Panowała duża tolerancja wyznaniowa i np. w szkole powszechnej przychodziło na lekcje religii ksiądz i nauczyciel żydowski, a w klasie, do której chodziłam nie robiono żadnej różnicy między dziećmi polskimi, ruskimi czy żydowskimi. Bardzo liczne były małżeństwa mieszane i w czasie wojny dochodziło do prawdziwej tragedii, kiedy zabierano do getta całe rodziny, których członkiem był choćby jeden Żyd.

Rosłam w latach, kiedy nie myślano o wojnie, a rodzice poza pracą zawodową prowadzili ożywione kontakty z całą „familiją”. Chodziło się do Dziadków, Pradziadków, ciotek i stryjenek, a ponieważ moja rodzina była bardzo liczna, nie było końca wzajemnym odwiedzinom. Chodziło się pieszo, czasem korzystało z tramwaju lub dorożki, ale najlepiej było zimą. Dzieci wożono na sankach, jako że zimy były mroźne i śnieżne. Zdarzało się wyprosić jazdę saniami zaprzężonymi w konia. Frajda polegała wtedy nie tylko na posuwistym biegu sań, ale głównie na dzwoneczkach przymocowanych do uprzęży.

W okresie świąt Bożego Narodzenia był obyczaj przesiadywania na rodzinnych spotkaniach i z moimi rodzicami przemieszczaliśmy się przez kilka dni od ciotki do ciotki, głównie przesiadując u rodziców Mamy w willi na ulicy Kordeckiego. Mój Ojciec wyklejał gwiazdę z deseczek i bibulek albo tak zwaną „banię”, czyli lampion na kij, i z tymi akcesoriami kolędowali przed drzwiami Dziadków śpiewając na cały głos.

Podczas świąt Wielkanocnych nosiło się nie tylko święcone w koszyczkach, ale nierzadko dość duże, upieczone z ciasta barany. Koszyczki stawiało się na chodniku przed kościołem, a ksiądz solidnie kropił je święconą wodą.

Śpiewaliśmy we Lwowie nie tylko kolędy, ale i piękne pieśni wielkanocne. Bardzo mi dziś brak tego rodzinnego obyczaju! Wydaje mi się, że wtedy rodzinne były prawdziwą radością. Dzieci chętnie słuchały różnych opowieści dorosłych, grano w karty, śpiewano przy akompaniamencie pianina, gitary, mandoliny, co tam kto posiadał. U moich Dziadków była kręgielnia i wujkowie rozgrywali turnieje przez długie godziny. My najczęściej uganiałyśmy po domu i ogrodzie. Wszyscy mieli dla siebie więcej czasu, nie było takiej pogoni za pieniędzmi, a dorośli wychodząc z domu chętnie zabierali ze sobą swoje dzieci. Swoje robiła też natura lwowiaków, pogodna, otwarta oraz ich humor i wielka gościnność.



Anna Damm w gronie lwowskich przyjaciół we wrocławskim mieszkaniu – Helena Boehm, Zofia Puchalowa, Andrzej Kaminski, Tadeusz Wojnarowicz

Czy w Pani rodzinie był zwyczaj spacerów niedzielnych po Mszy św.?

A.D.: Oczywiście tak, ale niekoniecznie zaraz po kościele, raczej w godzinach popołudniowych. Można było odwiedzić parki albo zielone przedmieścia Lwowa. Chodziło się też na tzw. „tereny powystawowe”, gdzie atrakcją była Panorama Racławicka. Czasami szło się na „Corso”, czyli na ulicę Akademicką, i dalej Wałami Hetmańskimi pod gmach Teatru Wielkiego. Można było wtedy naciągnąć rodziców na ciastka u Zaleskiego albo jakieś kino.

Czym zajmowali się Pani rodzice?

Mój Ojciec był urzędnikiem Izby Skarbowej, a Mama nauczycielką. Kiedy skończyła Seminarium Nauczycielskie, to nie mogła od razu pracować, gdyż zabrakło pracy w tym zawodzie. Po jakimś czasie Inspektorat zaproponował jej pracę w szkole wyznaniowej żydowskiej, oczywiście z polskim językiem nauczania. Mama, kochająca swój zawód i bardzo lubiąca dzieci, zgodziła się bez wahania. Uczniowie pochodzili z różnych rodzin – byli dzieci bogatszych rodziców mówiące nienaganną polszczyzną, ale była również biedota, której rodzice trudnili się handlem ulicznym i żyli w ubóstwie. Mówiły te dzieciaki niby po polsku, ale ze specyficznym żydowskim „zaśpiewem”. Dzieciarnia pokochała moją Mamę, która była pedagogiem z powołania. Miała cudowny dar zjednywania sobie autorytetu i miłości, a mnie i siostrę uczyła poszanowania dla każdego, bez względu na pochodzenie i poglądy. Kiedy po paru latach odchodziła do innej szkoły, zapanowała rozpacz i smutek. Wychowankowie zalewali się łzami. Przez długi czas uczniowie z tej żydowskiej szkoły odwiedzali moją Mamę, nierzadko z kwiatkiem lub drobnym prezentem. Raz były to sanki, jakie własnoręcznie robił Mamy uczeń dla mojej starszej siostry. Pamiętam też taki obrazek: Mama z Ojcem i nami szła ulicą Legionów, a idący naprzeciw młody człowiek o wybitnie semickich rysach chwycił dziecko za rączkę i stanął przed Mamą.

„Całuj tę panią w rękę – powiedział – ta pani twego tatę czytać i pisać nauczyła”. Znam także z opowiadań Mamy takie śmieszne zdarzenie. Ponieważ dzieci żydowskie dość często używały rękawa do wycierania nosa, to Mama poprosiła, żeby dzieci przynosiły ze sobą chusteczki. Następnego dnia jakiś biedaczek przyniósł lnianą serwetkę śniadaniową. Mama pochwaliła dziecko „O, jaką masz piękną chusteczkę z frędzelkami!” Nazajutrz wszystkie dzieci zaopatrzyły się w serwetki śniadaniowe i z dumą prezentowały Mamie. Wyobrażam sobie, co myśleli rodzice z tych „lepszych” domów!

Jak ten obraz Lwowa, który Pani przed nami rozpostarła, zmienił się w czasie okupacji?

A.D.: Okupacja sowiecka i niemiecka to był ciężki czas dla mieszkańców Lwowa. Miasto zszarzało, zbiedniało, ale ludzie choć gnębieni, zdani na łaskę i niełaskę okupantów, trzymali się dzielnie. Wierzyliśmy, że doczekamy wolnej Polski. Stać nas nawet było na swoisty gorzki humor i kpienie z wielu zarządzeń okupantów. Tak Sowieci jak i Niemcy chcieli wymazać Polskę z mapy świata. Pamiętam straszne wywózki do Kazachstanu i na Sybir, które odbywały się nocą, zaskakując ludzi i każąc im pakować najpotrzebniejsze rzeczy w ciągu kilku minut. Patrzyłam ze zgrozą, kiedy ładowano do krytego plandeką samochodu moje koleżanki Lesię i Grażynkę oraz czteroletnią siostrzyczkę tej drugiej. Biedne matki jechały wraz z dziećmi tylko za to, że mąż jednej służył w policji, a drugi walczył jako żołnierz broniąc Ojczyzny. Sytuacja powtórzyła się za czasów niemieckich, kiedy znowu wywlekano ludzi z domów i upychano albo do getta, albo wprost do wagonów wywożących nieszczęśliwych Żydów do obozów i komór gazowych. Znowu oplakiwałam gorzko los bliskich sąsiadów.

Była bieda, mieszkaliśmy w nieogrzanych mieszkaniach, ciężko było zdobyć coś do jedzenia i ubrania, ale największą tragedią stał się dla lwowiaków koniec wojny. Okazało się bowiem, że nasi sojusznicy podpisali umowę przyznającą Lwów Związkiowi Sowieckiemu. Nasze piękne, kochane miasto miało przestać należeć do Polski!

Cigle mówiło się o „repatriacji”. Nas nikt nie repatriował, nas wyrzucono siłą! To były ogromne dramaty dla lwowiaków. Bojąc się zamknięcia granicy i pozostania pod zarządem sowieckim, zaczęliśmy powoli wyjeżdżać, jak się mówiło „na Dziką Zachód”. Każdy traktował ten fakt jako coś niepojętego. Myśleliśmy, że to się zmieni, że na pewno wrócimy, ale bardzo się myliliśmy. Mój Ojciec już wtedy nie żył, umarł biedny na atak serca, a więc postanowienie wyjechać czy zostać musiała podjąć Mama. Bała się, że jak wszyscy wyjadą, to kto powita kiedyś wracających. Starsza siostra wyszła właśnie za mąż i razem z mężem pojechali „przecierać szlaki”. Potem bardzo ponaglała Mamę, że wreszcie trzeba się decydować, i tak znalazłyśmy się w bydlęcym wagonie z dobytkiem w kilku skrzyniach, czyli w ostatnim transporcie Polaków w lipcu 1946. Wyjeżdżali wtedy pracownicy Politechniki Lwowskiej i inni zdesperowani do ostatka lwowiacy.

Jak wyglądała działalność podziemia w czasie okupacji?

A.D.: Konspiracja istniała i działała walcząc z okupantami, ale w tym czasie byłam za młoda, aby brać

udział i wiedzieć, na czym to polegało. Odsyłam do licznych opracowań na ten temat. Istniało także okupacyjne harcerstwo, ale ja do niego nie należałam.

Proszę nam opowiedzieć o Pani drodze i pierwszym spotkaniu z Wrocławiem.

A.D.: Droga była koszmarna, ale nie pozbawiona elementów komicznych. Wyladowane do ostateczności wagony posuwały się po torach żółtym tempem. Co jakiś czas maszynista zatrzymywał jazdę i staliśmy w szczerym polu nawet cały dzień. Po prostu odpoczywał, a do dalszej jazdy zachęcały go prezenty w postaci przysłowiowego „pół litra”. Tak więc, chcąc nie chcąc, wysiadaliśmy, rozsiadaliśmy się na trawie i zastanawiali, czy kiedyś zajedziemy i dokąd.

Wrocław, w którym w końcu znalazłam się na stałe, budził we mnie najpierw odruch dużej niechęci, ale potem przyzwyczaiłam się i polubiłam to miasto, a zwłaszcza ludzi, którzy tu mieszkają. Nie mogę jednak zdradzić Lwowa, bo to jest moje miasto, tam zostawiłam serce.

Które z miejsc we Lwowie szczególnie Pani lubiła i zapamiętała?

A.D.: Było wiele takich miejsc, ale wyróżniam Wysocki Zamek. Widok Lwowa z tej góry zapierał dech, była to najpiękniejsza panorama miasta. Kochałam Ogród Jezuicki, miejsce zabaw pod okiem siedzącego na ławce Ojca, tam także biegałam pojeżdżać na sankach w zimie. Lubiłam tereny powystawowe i Panoramę Racławicką, park Stryjski, ale i centrum miasta, gdzie zachwycały mnie wystawy sklepowe. Cudowne były te ulice biegnące raz w górę, raz w dół, jako że Lwów jest położony na pagórkowatym terenie.

Jakich elementów życia we Lwowie brakuje Pani dzisiaj najbardziej?

A.D.: Razem z miastem straciłam nie tylko jego mury, ale bardzo żyłą liczną rodzinę i moich przyjaciół z lat dziecińczych. Ileż nabroiliśmy w czasie różnych zabaw na mojej cichej „ślepej” uliczce Szaszkiewicza! Mówię „cichej”, ale wieczorami zmieniała się ona w ruchliwą, kiedy znajdujące się tam kino „Stylowe” odwiedzali liczni bywalcy.

Brakuje mi silnych więzów międzyludzkich i prawdziwie uświęconego przywiązania do tradycji. Inną cechą lwowiaków, której teraz szukam u ludzi, była niesamowita pogoda ducha, cudowny nierealny optymizm, cięty dowcip, śpiewny lwowski „bałak”. Doskonałym przykładem typowego lwowiaka był Jerzy Michotek, autor książki „Tylko we Lwowie”, zwłaszcza jego piosenki „sercem pisane”.

Czy Pani dzieci odwiedzili kiedyś Lwów?

A.D.: Niestety nie, chociaż niewątpliwie zaszczerpiliśmy im wraz z mężem, także lwowiakiem, wielki sentyment do tego miasta. Oni się przecież wychowali i żyją w całkiem innym świecie. A może to nawet i lepiej, że tam teraz nie byli, bo mogą widzieć Lwów naszymi oczami, jaki był w czasach swojej świetności.

Jaki jest stosunek obecnych mieszkańców Lwowa do Polaków?

A.D.: Myślę, że jest on raczej obojętny. Niemniej jednak oni chyba czekają, aż reszta Polaków, która tam

jeszcze pozostała, przestanie być żywym świadectwem polskiej historii tego miasta. Mają świadomość, że polski Lwów odejdzie w przeszłość wraz z ostatnimi lwowskimi Polakami.

Czy utrzymuje Pani kontakty z lwowiakami we Wrocławiu?

A.D.: Ależ oczywiście! Tu jest cała diaspora, mam mnóstwo zaprzyjaźnionych lwowskich rodzin. Wciąż się odwiedzamy, wciąż za mało nam gadania, wciąż jesteśmy w naszym Lwowie. Wspominamy spędzone tam młode lata, śpiewamy nasze lwowskie piosenki, stara-

my się utrzymywać nasze tradycje. I takimi chcemy pozostać.

Dziękuję Pani za rozmowę!

A.D.: Dziękuję bardzo.

(Tekst autoryzowany)

Praca konkursowa uczniów V LO im. Gen. J. Jasińskiego we Wrocławiu, w rajdzie „Śladami Lwowa we Wrocławiu” – 2001 r. □

Pamiętanie, ale jakie

Jerzy Masior

17 stycznia 1945

„Lwowskie wojsko biło się na wszystkich frontach II wojny światowej” – J. M.

Zastanawiam się dlaczego w tym roku, tego 17 stycznia, ta rocznica przebiegała w mojej pamięci tak wyraziście. Sprawia to tegoroczna, tak samo śnieżna i mroźna zima, i ta sama poranna szarość godzin. Od tamtego dnia minęło 57 lat. To właśnie wtedy zaczęło się styczniowe, wojenne oddalenie od mojego Miasta Lwowa. Na prawie trzy lata, a tak na dobre to już na zawsze. Był wtedy wojenny czas i ta historia też będzie wojenna.

Nasz szkolny batalion, przebywający w Mładzu nad Świdrem, postawiony na nogi, przypominał w mroku rozkopane nagle mrowisko. W obowiązującym zaciemnieniu, w sosnowym lesie, wśród nielicznych domów i willi podwarszawskiej letniskowej wsi, batalion formował się w kolumnę marszową. Szło to dość sprawnie. Od września 1944 r. ćwiczyliśmy musztrę i poznawali tutejsze okolice, prowadząc nieustannie szkoleniowe natarcia w różnych konfiguracjach, albo przebiegając otwoczek lasy marszami ubezpieczeniowymi. Były i strzelania ślepa-kami i ostre. Rzuty granatem, strzelanie z moździerzy i erkaemów, drażnienie okopów. Były służby w kuchni, poranne toalety w zamrażniętym Świdrze, ograniczające się zazwyczaj do przemycia twarzy w rozkopanej butem przerębli i umycie zębów lodową wodą, lwowską jeszcze szczoteczką. Niewiele tych lwowskich pamiątek miałem ze sobą: notatnik i ołówek, ciepły sweter, który nosiłem nieustannie w zimowe dni pod bluzą munduru i orzełek z wojskowej, polowej czapki „zdobytej” we wrześniu 1939 r. Tego orzełka za koroną przypiętego do polowej, berlingowskiej rogatywki musiałem zresztą zdjąć przed frontem kompanii, gdy odkrył go oficer polityczno-wychowawczy. Przy tej okazji przeprowadził on szkolenia o przyczynach klęski burżuazyjnej polskiej armii i o szczęściu i zaszczycie jakie nas teraz spotykają, kiedy sposobimy się do boju wraz z armią niezwykłą... Ideologicznie też nas dostatecznie do boju przygotowywano. Rozstrzelano dwóch kolegów za blahe opuszczenie batalionu na kilka godzin nocnych. Poczytano to za dezercję, choć oni nad ranem dobrowolnie do swoich kompanii powrócili. Rozstrzelanie na naszych oczach

rozbiło nas wszystkich psychicznie na kilka dni, tym bardziej, że o tej niepotrzebnej śmierci decydował oficer polityczny batalionu – rosyjski Żyd. Z ust jednego z rozstrzeliwanych chłopaków wydarł się okrzyk: „Niech żyje wolna Polska”. Był bardzo młody – chyba osiemna-stolatek. My jeszcze ludziliśmy się. Nam zdawało się, że tam w wojenkomacie na Kurkowej w sierpniu 1944 r. jeszcze można było uczyć się nadziei. Jeszcze nie wierzyliśmy, że „BURZA” przeminęła, że nie zagrzmie, a losy nasze i Lwowa potoczą się inaczej, że nie wszystko stracone, a Teheran, Jafta daleko. Do berlingowskiego wojska trafiliśmy po otrzymaniu potajemnej instrukcji: „Do cywila, zakonspirować się ponownie, zwać do polskiego wojska, bo jedynie ono zapobiegało wywiezieniu na Wschód.” Niektórzy z kolegów tej „dobrowolnej branki” uniknęli. Zapisali się w porę na uniwersytet lub politechnikę, bo te sowieci szybko uruchomili. Na politechnikę trafili Staszek Maizacher z Piaskowej i Staszek Piątek z Kurkowej. Studia medyczne rozpoczęła Ala Dawidowiczówna, moja okupacyjna sympatia i Romek Tokarski z Łyczakowskiej, kolega z mojego AK-owskiego oddziału kontrwywiadu i kolega klasowy z II Gimnazjum. Bliscy koledzy: Janek Zwoliński i Tadeusz Palej trafili wraz ze mną do obozu na Pierackiego, by stamtąd marszbatalionem wyruszyć 22 sierpnia do Lublina, konwojowani przez sowieckich „bojcow” ze sztykami na karabinach. Tam był Majdanek i ciepłe jeszcze piece krematoryjne, były „czerwone” koszary przy ul. Warszawskiej i ciężkie ćwiczenia strzeleckie w podlubejskich, spieczonych słońcem dolinkach. Tych dni nie zapomnę, ileż to razy mój tyłek był ugniatany butem wołyńskiego, przedwojennego kaprała, gdy unosiłem go zbyt wysoko, okopując się w pozycji strzeleckiej „leżąc”. Cóż, może i dzięki temu kopaniu po tyłkach, wyniosłem głowę w całości na łąkach nad kanałem Hohen-zollernów, będąc pod ostrzałem niemieckich „neben-worferów”.

Potem była długa wrześniowa translokacja szkolnego batalionu IV DP z Lublina do podwarszawskiego Mładza nad Świdrem. Gdy tam, po 5 dniach ciężkiego marszu w pełnym uzbrojeniu, dotarliśmy, powstanie warszawskie dogorywało. Wyrwaliśmy się do niego jeszcze z początkiem sierpnia ze Lwowa, a teraz dymy na dalekim północnym horyzoncie i wieczorne łuny, sygnały rozwiewających się złudzeń. Coraz bardziej oddalał się Lwów, o którym w marszu z Lublina nie pozwalały zapomnieć piosenki. W Mładzu zaczęło się pisanie listów. Tylko numer poczty polowej oznaczał

nasze miejsce na ziemi. Z nadesłanych na ten adres listów od Ali i od Mamy dowiedziałem się, że Ojca nocą 1 września zabrano do Donbasu do kopalni węgla. Jak pisała Mama, przyszli też po mnie, a to, że byłem w sojuszniczej armii Ojca od wywózki nie uratowało. Ponoć „za syna”.

Nad Świdrem i w dookolnych lasach zaczynała się jesień i dalsze bojowe szkolenie. Zza Wisły stale dochodził pomruk artyleryjskiej palby. Na terenie naszego zakwaterowania obowiązywał frontowy reżim zachowania się. Chyba nie bez racji, bo do Wisły było zaledwie parę kilometrów i niejednokrotnie zdarzało się, że pociski artyleryjskie trafiały w nasz las. Umęczony codziennym ganiem po rozmokłych już polach i lasach, przypomniałem sobie, że jestem przecież technikiem-elektrykiem, bo kończyłem niemiecką „Technische Fachschule” przy Akademickiej. To były wystarczające kwalifikacje do zgłoszenia się do formowanej w batalionie drużyny radiotelegrafistów. Tu już się właściwie nie opuszczało salki ćwiczeń. Podstawową bronią radiotelegrafisty był klucz do przesyłania sygnałów alfabetem Morse’a. Zapamiętałem stukaliśmy. W grudniu potrafiłem już wystukiwać do 70 znaków na minutę. To był niezły wynik i jak się później okazało zadecydował o moim przydziale do radiostacji dywizyjnej.

Pierwsze święta Bożego Narodzenia poza domem. Myśli uleciały do najbliższych, do Lwowa. Zdawałem sobie sprawę, że jest im bardzo ciężko. Zabrakło Ojca. Mama była na taką okoliczność zupełnie nieprzygotowana. Sama z małym braciszkiem. Zaczęła wyprzedawać wszystko z mieszkania – by przeżyć, by doczekać powrotu Ojca. A nam tu nad Świdrem, w naszych drelichowych mundurach i wiatrem podszytych szynelach zima dawała się dobrze we znaki. Najbardziej dokuczały przemakające amerykańskie buty na gumowych spodach przeznaczone prawdopodobnie na pustynię. Marzło więc to polskie wojsko z Wołynia i Podola. Do okrycia się nocą służyły płaszcze. Rozgrzewaliśmy się, przytuleni na pryczach wymoszczonych cienko słomą i pałatkami.

Zaczął się styczniowy marsz batalionu. Wiadomo było, że przemieszczamy się za Wisłę. Kompanie wyruszały kolejno w mrok, by wydłużyć szlak na leśnym trakcie. Lewobrzeżne lasy i pola nadwiślańskie. Po drugiej stronie front, o którym nic nie wiemy. Przed nami na różnych odcinkach przeszły już pułki liniowe dywizji. Towarzyszy nam przerywany pomruk dalekich dział. Późnym popołudniem zatrzymujemy się w jakiejś miejscowości robiącej wrażenie osady letniskowej. Zakwaterowanie po domach, których gospodarze przyjmują nas życzliwie, ale z rezerwą. Polskie wojsko „stamtąd” nie cieszyło się na ogół sympatią. Jesteśmy naznaczeni kierunkiem, z którego przybywamy. To słychać: nasi oficerowie do szczebla dowódcy kompanii to Rosjanie lub Polacy, ale z Rosji. Kaleczą wyraźnie język polski, którym w sytuacjach oficjalnych usiłują mówić. My z nimi obcujemy na co dzień i wiemy, jak jest i skąd oni są. Jedynie dowódcy plutonów to Polacy po wojennych szkołach oficerskich: ppor. Wiśniewski, d-ca mojego plutonu strzeleckiego i chorąży, d-ca drużyny radiotelegraficznej, przedwojenny łącznościowiec z wojska.

Po kamiennym śnie wyruszamy znów w mroźny ranek. Śniegu wszędzie dużo i zasy. Wiemy, że do Wisły

niedaleko, a nasz kierunek marszu to Góra Kalwaria. Kolumna marszowa wydłuża się po wyjściu z lasu na równinę. Przed nami nieco ciemniejsza smuga. To koryto Wisły skutej grubym lodem. Przechodzimy rzekę ostrożnie, gęsiego, ubezpieczani przez saperów. Na lewym brzegu wiklinowe zarośla i zwoje drutu kolczastego. To przez ten gąszcz przekradali się uprzednio nasi zwiadowcy-ochotnicy, by pojąć języka. Rzadko się to udawało. Niemcy byli czujni. Kilku chłopaków z naszego batalionu, którzy poszli w ciemną noc, już nie wróciło. Byłem świadkiem sekcji zwłok jednego z nich. Nie prze-czuwałem wtedy, że los zwiąże mnie z zawodem medyka na stałe, a to, na co patrzę, to była moja pierwsza w życiu obdukcja zwłok. Młody plutonowy pochodził z Wołynia. To była zupełnie niepotrzebna śmierć.

Kilkadziesiąt metrów od brzegu wał – niemieckie, bardzo solidne umocnienia. Zwalniamy marsz. Każdy chce dojrzeć nabrzeżne fortyfikacje nieprzyjaciela. Podziwiamy głębokie, opalisadowane okopy, rowy dobiego-we z drugiej linii, ziemianki głęboko wkopane w wał i nieomal komfortowo urządzone. Widać ślady pospiesz-nego wycofywania się, ale i jego pobytu. Mamy zakaz zabierania czegokolwiek w obawie przed zatruciem. Każdy z nas poszukuje jednak części niemieckiego umundurowania. Trafiają się porzucone sukienne bluzy i spodnie, a nawet kożuchy. Tych ostatnich nie jesteśmy w stanie zabrać, ale części garderoby żołnierskiej zamieniamy w pośpiechu, porzucając drelichy. Pozostały nam tylko zielone płaszcze i rogatywki. Gdyby nie one, można by nas zupełnie dobrze brać za niemieckie wojsko.

W szczególnej cenie są niemieckie solidne podkute i nieprzemakalne wysokie buty, tzw. saperki. „Zamieniamy” je na nasze nawet z jeńcami wojennymi prowadzo-nymi w przeciwnym kierunku. Późnym popołudniem do-chodzimy do Warszawy, którą mijamy marszem na wysokości Okęcia. Nad nami przelatują kukuruźniki, które mają w pobliżu lądowisko. O zmroku zatrzymuje-my się w dostatnio wyglądającej wsi. Zabudowania prze-ważnie murowane. Radiotelegrafiści dostają oddzielną kwaterę. Układamy się wokół rozżarzonego do czerwoności żeliwnego piecyka postawionego na środku kuch-ni. Nawet jeść się nie chce, tylko pić i spać. Buty i onuce suszą się na nas. Przemaszerowaliśmy tego dnia w skrajnie trudnych, zimowych warunkach 30 ki-lometrów. Ciepło usypia nas natychmiast. W tej przy-godnej izbie poznaję smak żołnierskiego snu. Jutro ru-szamy dalej. Oddalamy się także od Lwowa, o którym akurat teraz prawie nie myślimy. Zajęci jesteśmy tylko sobą i uciekającym nieprzyjacielem, którego, jak na razie, zwalczamy zagarniając jego zimową odzież i buty.

Nowy Sącz, styczeń 2002.

* Niemieckie, pięciolufowe moździerze. Bardzo groź-na broń przeciw piechocie. □

Tomasz Cieszyński

Ku czci Lwowskich Profesorów

Dnia 17 listopada 2001 r. odbyła się w Lublinie uroczystość odsłonięcia pomnika wzniesionego w hołdzie Lwowskim Profesorom zamordowanym przez Gestapo wraz z członkami rodzin i osobami im bliskimi w lipcu 1941 roku we Lwowie.

Uroczystość rozpoczęła się w świątyni akademickiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego mszą św. koncelebrowaną, której przewodniczył ks. biskup Ryszard Karpiński. Podniosłą homilię wygłosił ks. prałat Józef Kras – kapelan Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Modłom towarzyszyły pieśni w wykonaniu chóru „Echo” – specjalnie przybyłego ze Lwowa. Uroczysty charakter podkreślała obecność pocztów i szpaleru kompanii honorowej Wojska Polskiego. Kościół był pełen wiernych. Byli też obecni nieliczni potomkowie zamordowanych profesorów przybyli nawet z odległych zakątków Polski. Słowo wiążące wygłosił pod koniec mszy inicjator tego dzieła pamięci – prezes Oddziału Lubelskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich – profesor Władysław Stążka.

Następnie, przed gmachem Biblioteki Uniwersytetu Marii Skłodowskiej-Curie, nastąpiło odsłonięcie pomnika połączone z wmurowaniem ziemi z miejsca stracenia pod tablicą noszącą imiona i nazwiska wszystkich zamordowanych profesorów – w obecności kilkuset zgromadzonych osób oaz kompanii honorowej Wojska Polskiego.

Aktu odsłonięcia dokonał Sekretarz Rady Pamięci Walk i Męczeństwa dr Andrzej Przewoźnik w asyście władz Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich i przedstawicieli Kolegium Rektorów Wyższych Uczelni Lublina oraz prominentów władz państwowych i miejskich. Znakomity recytator Józef Krzyżanowski odczytał imiona i nazwiska zamordowanych profesorów, orkiestra odegrała hymn narodowy, a kompania honorowa oddała trzykrotny salut z broni palnej. Ks. biskup Karpiński wraz z ks. prałatem Krasem dokonali poświęcenia pomnika.

W dalszej części uroczystości zebrani udali się do Centrum Języka i Kultury Polskiej UMCS – gdzie w pięknej auli odbyła się akademicka zainaugurowana marszem żałobnym Szopena w wykonaniu Andrzeja Nikodemowicza – byłego profesora Konserwatorium we Lwowie. Z kolei prezes zarządu głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich dr Andrzej Kamiński przedstawił relację historyczną pt. „Dramat na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie” wskazując wyraźnie na fakt, że celem mordu na Lwowskich Profesorach było unicestwienie intelektu Narodu Polskiego. Potem zabierali głos członkowie rodzin zamordowanych profesorów.

Prof. Tomasz Cieszyński – syn zamordowanego profesora Antoniego Cieszyńskiego powiedział następujące słowa:

„Jako świadek okoliczności zbrodni dokonanej na Lwowskich Profesorach przed 60-ciu laty i jako ten, który wielu starań dołożył, aby poznać jej szczegóły i



Fot. T. Rodziewicz

przebieg, mam obowiązek wskazać na motywy tej zbrodni, która wylęgła się z idei suprematyzmu germańskiego dążącego do podporządkowania ziem polskich Niemcom z tymczasowym pozostawieniem przy życiu polskich niewolników pozbawionych wykształcenia, a potem z ostatecznym wypłaceniem Narodu Polskiego. Dla współwykonawców tej zbrodni, tj. dla zafascynowanych tą wizją Ukraińców stała się ona wzorem i początkiem gigantycznego ludobójstwa w celu etnicznego „oczyszczenia” wschodnich województw Rzeczypospolitej z rdzennej ludności polskiej.

Należy przypomnieć, że bezpośrednim wykonawcą zbrodni na Lwowskich Profesorach i ich rodzinach oraz osobach im bliskich była formacja polowego Gestapo pod dowództwem SS-Hauptsturmführera Hansa Krügera i jego zastępcy SS-Obersturmführera Waltera Kutschmanna, którzy osobiście dokonali aresztowań w nocy z 3 na 4 lipca 1941 roku, a pluton egzekucyjny stanowili Ukraińcy z batalionu Nachtigall pod komendą SS-Untersturmführera Romana Suchewycza, późniejszego dowódcy Ukraińskiej Powstańczej Armii UPA.

Kiedy 4 lipca tego roku byłem we Lwowie – byłem wstrząśnięty stwierdziwszy, że na budynku dawnej szkoły Marii Magdaleny u zbiegu ulic Potockiego i Leona Sapiehy, obecnie szkoły z polskim językiem nauczania – jest umieszczone na ścianie frontowej popier-

sie mordercy Lwowskich Profesorów Romana Suchewycza w aureoli Chwały dowódcy UPA. Ta cyniczna gloryfikacja ludobójstwa i terroryzmu jest prowokującym skandalem i policzkiem wymierzonym Sejmowi i Rządowi III Rzeczypospolitej i obraża cały Naród Polski.

Ponieważ tu właśnie w Lublinie powstała idea współpracy polsko-ukraińskiej mająca na celu zbliżenie młodzieży polskiej i ukraińskiej, dlatego też ośrodek lubelski ma nie tylko prawo, ale i obowiązek wystąpić z protestem i żądaniem zakazu gloryfikacji zbrodniczej organizacji UPA i jej przywódców w jakimkolwiek miejscu i w jakiejkolwiek formie.”

Dr Jan Longchamps de Bérier, jedyny ocalały z czterech synów profesora Romana Longchamps de Bérier, podzielił się z zebranymi bolesnymi myślami. Podkreślił fakt, że tragedia zbrodni sprzed 60-ciu lat przez całe życie, aż do chwili ich naturalnej śmierci przygniałała cierpieniem serca i umysły wdów po profesorach, które przeżyły upiorną kaźń dokonaną na ich mężach, synach i wnuku. On sam wraz z matką aż do przymusowego wyjazdu ze Lwowa w czerwcu 1946 roku nie uświadamiał sobie, że jego ojciec i trzej bracia już nigdy nie wrócą. Żaden bowiem z naocznych świadków zbrodni nie ośmielił się powiedzieć im okrutnej prawdy.

Barbara Hamerska-Chrobak, córka profesora Hamerskiego była w lipcu 1941 r. półrocznym niemowlęciem. O przebiegu aresztowania ojca dowiedziała się później z ust matki. Gestapo przybyło do domu, w którym mieszkała rodzina Hamerskich przy ul. Stelmacha 1 z zamia-

rem aresztowania według listy zamieszkałego tam przedtem, ale wówczas już nieżyjącego profesora Stanisława Niemczyckiego. Dla uzupełnienia przygotowanej kilka miesięcy wcześniej listy oprawcy wpadli do mieszkania jej rodziców i zabrali ojca.

Dr Ewa Müller, wnuczka profesora Cieszyńskiego, sama urodzona w dwa lata po zamordowaniu jej dziadka, opowiedziała, że babcia jej Róża Cieszyńska przez lat czterdzieści – aż do chwili śmierci – nosiła w sercu nieczym nie złagodzone cierpienie, a opowieść o strasznej nocy z 3 na 4 lipca 1941 r. przekazała wnuczkom, aby pamiętały, że zbrodnia ta nigdy nie została ukazana w świetle pełnej prawdy i nigdy nie została ukarana. Ona sama i jej siostra przeżywają dlatego bardzo głęboko dzisiejszą uroczystość odsłonięcia pomnika i związaną z tym faktem akademię.

Akademia została zamknięta w atmosferze powagi i zadumy. □

Wydawnictwo Autora zawiadamia uprzejmie, że książkę

DNI SILNE KOCHANIEM

można nabyć przesyłając 10 zł na konto (zmieniony numer):

Tomasz Cieszyński

PKO BP SA IV O/Wrocław

9583 0009 – 113120 27004 – 1

Ryszard Czoch

Si est dolor, sicut dolor meus (Lm 1, 12)

30 czerwca 1941 niemieckie wojska zajęły Lwów. Uchodzący ze Lwowa Sowieci pozostawili we lwowskich więzieniach stopy ciał zamęczonych i zastrzelonych więźniów.

Nowy okupant jakby się licytował z poprzednim w zbrodniczym rzemiośle. Oprócz jednostek frontowych Wehrmachtu do Lwowa przybyły oddziały Abwehry, Geheime Feldpolizei SS-Hauptsturmführera Hansa Krügera, Einsatzgruppe-C SS-Brigadeführera dra Eberharda Schöngartha (jednostka do „politycznego oczyszczenia terenu”) oraz złożony z Ukraińców specjalny batalion „Nachtigall” pod dowództwem Ukraińca Romana Szuchewicza i Niemca Albrechta Herznera.

Jednostki te niezwłocznie przystąpiły do aresztowań, poniżania, znęcania się, a potem egzekucji bez sądu. Wśród ofiar tego barbarzyństwa znaleźli się profesowie lwowscy. Aresztowań dokonywano według listy proskrypcyjnej sporządzonej znacznie wcześniej przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), w Krakowie, bowiem znajdowały się na niej osoby o nieaktualnym adresie zamieszkania, a nawet już nieżyjące. Wspomniana lista obejmowała również wyselekcjonowaną polską młodzież – maturzystów i studentów, których również aresztowano i potajemnie likwidowano.

2 lipca został aresztowany prof. Kazimierz Bartel, 3 i 4 dnia aresztowano 23 profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza, Politechniki i Akademii Medycyny Weterynaryjnej, a 11 lipca dwóch ostatnich rektorów Akademii

Handlu Zagranicznego. Z mieszkań aresztowanych profesorów zabierano również zastanych tam pełnoletnich członków rodziny, gości i służbę. Mieszkania ich były grabione.

Po przerażających nocnych godzinach przetrzymywania i przesłuchiwania aresztowanych w bursie Abrahamowiczów, 22 Profesorów zostało nad ranem 4 lipca rozstrzelanych na Wzgórzach Wuleckich. Prof. prof. Henryka Korowicza i Stanisława Ruzewicza rozstrzelano prawdopodobnie 12 lipca, natomiast prof. Kazimierz Bartel został rozstrzelany 26 lipca. Z grupy aresztowanych tylko profesor Franciszek Groër został zwolniony, jako mający niemieckie pochodzenie.

W tej porażającej zbrodni mieli również udział żołnierze ukraińskiego batalionu „Nachtigall” Abwehry-2 oraz ukraińscy nacjonaliści (OUN).

Od Redakcji:

Drukujemy pełny tekst autorstwa dr. hab. inż. Ryszarda Czocha, który zamieszczony był w katalogu wystawy „Leopolis docet – Lwów uczy”, zorganizowanej w lipcu ub. r. we Wrocławiu. Wykorzystaliśmy go w relacji z wrocławskich obchodów 60 rocznicy Kaźni Profesorów Lwowskich na Wzgórzach Wuleckich, nie podając – przez nieuwagę – źródła. Poinformowaliśmy o tym, przepraszając Autora i Czytelników, w następnym numerze „Semper Fidelis” (4 (63)/2001), czego Autor, niestety, nie zauważył. Jeszcze więc raz informujemy o tym naszych Czytelników i przepraszamy dr. hab. inż. Ryszarda Czocha. □

UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLIKPW

Dziesięć lat istnienia Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Miliczu

W grudniu 2001 roku minęło 10 lat od chwili zawiązania się w Miliczu Klubu Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Liczył on początkowo zaledwie kilkunastu członków – był biedny, bez własnego locum, bez zbyt prężnego kierownictwa, utrzymujący się z niewysokich składek członkowskich. Trwała jednak w nim chęć wzajemnego odnajdywania się i utrzymywania przyjaznych stosunków z tymi, którzy – jak Pawlak i Kargul z filmu „Sami swoi” – przybyli w bydłowych wagonach, przymusowo wysiedleni ze wschodu w ramach tzw. „czystki etnicznej” prowadzonej przez władze ówczesnej Ukrainy. Chciano zatrzeć ślady polskości na odebranych nam ojcowiznach, chciano wyrzeć nam z piersi miłość do tej żyznej podolsko-wołyńskiej ziemi, na której zboża wyższe były od roslących mężczyzn, a kwiaty pachniały odurzającą wonią, jakiej nie znajdziesz nigdzie na świecie.

Długo trwały zmagania z tutejszą ludnością, nieprzychylnie do nas nastawioną, były odejścia z klubu, były zniechęcenia... Ale na miejsce tych, którzy odeszli, przyszedli nowi, zachęcani naszą wspólną miłością do tego cośmy utracili, zaczęły się spotkania w czterokrotnie zmienianych lokalach, wspólne „wieczory wspomnień”, wspólne opłatki i „Jajka wielkanocne”, wspólne śpiewania i serdeczne, skromne poczęstunki.

I tak jakoś się stało, że zaczęli ludzie nas tolerować, przybywało coraz to więcej członków i było bardzo rodzinie mimo ciasnoty i różnych innych niedogodności.

Potrąfiliśmy zorganizować transport darów dla tych co „tam” zostali, 4-krotnie z pomocą milickich harcerzy przeprowadziliśmy zbiórki pieniężne na okolicznych cmentarzach, których łączny plon przekroczył 10.000 zł.

I na koniec – dla uczczenia 10 rocznicy istnienia naszego klubu zorganizowaliśmy uroczyste spotkanie w bezpłatnie odstąpionej nam sali w Bursie tutejszej Szkoły Zawodowej. Przybyli na tę uroczystość przedstawiciele Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich z Wrocławia, którzy udekorowali czworo najaktywniejszych członków Klubu Złotymi Odznakami TMLIKPW. Byli też na tej imprezie przedstawiciele bratnich organizacji takich jak Żołnierzy AK, Kombatantów, Klubu Inteligencji Katolickiej i Harcerzy. Był też p. Burmistrz, przychylnie usunkowany i wspomagający naszą 30-to osobową organizację.



Na koniec, przy dźwiękach skocznie wygrywanych lwowskich piosenek przez dwóch utalentowanych milickich muzykantów, nie omieszkaliśmy zatańczyć i wyśpiewać radość z tego miłego i udanego spotkania.

„Obyśmy byli razem” – te słowa niech nam towarzyszą w dalszej naszej pracy.

Za Zarząd Klubu TMLIKPW w Miliczu
artykuł opracowała Klementyna Dominas

Bogusława Romaniewska, Stanisław Golanka

Ziemia Limanowska przyjęła okruchy ziemi z cmentarzy Obrońców Lwowa, Katynia i Monte Cassino

Dnia 10. 11. 01 r., w przeddzień 83-ciej rocznicy odzyskania niepodległości przez II Rzeczpospolitą, w dzielnicy Limanowej – Łososinie Górnej odbyła się podniosła i patriotyczna uroczystość zorganizowana

przez Urząd Miasta Limanowa, Parafię pw. Wszystkich Świętych w Łososinie Górnej, Oddział Akcji Katolickiej tejże Parafii oraz Gimnazjum nr 2 w Limanowej.



Pomnik Legionistów przy Kościele Parafialnym pw. Wszystkich Świętych w Łososinie Górnej

Miejscem uroczystości był zabytkowy, XV-wieczny, drewniany kościół, przy którym znajduje się pomnik z czasów przedwojennych, poświęcony legionistom.

Ziemia Limanowska dostarczyła szeregom legionowym wielu wspaniałych żołnierzy, którzy przynieśli jej chwałę, a Polsce wolność.

Pamięć o nich jest zawsze żywa. Mimo wielu zabiegów czynionych w minionym okresie, w celu wymazania z pamięci czynu legionowego, pomnik na terenie parku przykościelnego był nietykalny i zawsze zdobiły go przynajmniej polne kwiaty.

W Parafii pw. Wszystkich Świętych narodził się zamiysł, aby pomnik ten stał się symbolem przywołującym inne jeszcze wydarzenia, które zaznaczyły się w późniejszych dziejach Ojczyzny. Inicjatorem pomysłu był Stanisław Golonka – nauczyciel gimnazjum, a inicjatywę tę wspierał ksiądz Ryszard Stasik – proboszcz parafii.

Delegacje parafian, w tym młodzieży, limanowskich społeczników i wychowawców, pobrały ziemię z miejsc, gdzie wolność szczególnie wyznaczono krzyżami z Cmentarza Obrońców Lwowa, Katynia i Monte Cassino. Urny z ziemią z Cmentarza Obrońców Lwowa przywieźli nauczyciele Gimnazjum nr 2 – Halina Golonka i Stanisław Golonka, z Katynia – uczennica II Liceum Ogólnokształcącego im. Legionów J. Piłsudskiego w Limanowej – Angelika Golonka, z Monte Cassino – katechetka s. Anna Zarzeka, aby umieścić je w cokole pomnika legionowego, odnowionego w latach 90-tych.

Przygotowaniem do uroczystości żyła parafia, władze limanowskie, szkoły, a nawet władze wojewódzkie i była to okazja do wyjątkowej integracji społeczeństwa na różnych szczeblach, wokół jednego, wspólnego zadania.

Uroczystość rozpoczęła od programu poetycko-muzycznego w wykonaniu uczniów Gimnazjum nr 2, w którym przypomniano wydarzenia związane z utratą wolności Polski w zaborach, powstańcami zrywami narodowymi, I wojną światową, legionami, obroną Lwowa i odzyskaniem niepodległości. Obecni na uroczystości usłyszeli słowa i pieśni zawierające wyjątkowy ładunek miłości Ojczyzny.

Następnie ks. proboszcz Ryszard Stasik wraz z przybyłym z Krakowa ks. płk. Henrykiem Polakiem i proboszczami sąsiednich parafii odprawili mszę świętą.

W homilii ks. płk Henryk Polak podkreślił wagę odzyskania niepodległości, zwrócił uwagę na potrzebę wpajania młodzieży ideałów patriotyzmu i świadomości o zasługach minionych pokoleń. Odnosząc się do miejsc, z których przywieziono ziemię, podkreślił, że na Ziemi Lwowskiej, z której wyrokiem bolszewickim masowo deportowano Polaków i miał nie stanąć „żaden polski but”, w czerwcu 2001 roku stanął Polak-Papież, co było wydarzeniem, dzięki któremu wielu sponiewieranych ludzi otrzymało należne im zadośćuczynienie za krzywdy.

Po mszy świętej, przy asyście kompanii honorowej 16-tego Batalionu Powietrzno-Desantowego pod dowództwem por. Tomasza Trzcirskiego, w obecności przedstawicieli władz wojewódzkich, powiatowych, lokalnych, wojskowych, zaproszonych rodzin legionistów, przedstawicieli TMLIKPW z Tarnowa, Rodziny Katyńskiej z Tarnowa, szkół, harcerzy, organizacji i instytucji, w blasku pochodni płonących w rękach Strzelców Okręgu Nowosądeckiego przy delikatnym i wzruszająco rzeźnym dźwięku melodii „rozkwitwały pąki białych róż” urny z ziemią zostały umieszczone w cokole pomnika.

Urnę z ziemią z Cmentarza Orląt złożyła prezes tarnowskiego Oddziału TMLIKPW – Halina Żmuda wraz z posłem RP Bronisławą+++ Dutką i ppłk. Julianem Jaworem Dutką.

Jaki piękny pomysł i jaka doskonała okazja do przypomnienia kart historii ojczyzny i okazania dowodów patriotyzmu!

W sercach mieszkańców Ziemi Limanowskiej jest go nieprzemijająco sporo.



Prezes TMLIKPW Oddział w Tarnowie – Halina Żmuda składa urnę z ziemią z Cmentarza Obrońców Lwowa. Obok Bronisława Dutka – poseł RP i ppłk Julian Jawor-Dutka

O. Krystian Olszewski

Z życia Sanktuarium św. Jana

W dniu 31 sierpnia w tutejszym sanktuarium rozpoczęły się rekolekcje dla braci i sióstr franciszkańskiego zakonu świeckich z rejonu przemyskiego i trwały do 2 września 2001 roku. W czasie tych rekolekcji została przybliżona w konferencjach postać bł. Anieli Salawy, która jest patronką franciszkanów świeckich w Polsce. Nasza Patronka urodziła się w Sieprawiu ok. 18 km od Krakowa, w wielodzietnej, ubogiej rodzinie chłopskiej 9 września 1881 roku. Do szkoły chodziła tylko dwa lata zdobywając umiejętności czytania, pisania i liczenia. Od 12 roku życia pracowała wraz z rodzicami w gospodarstwie na polu i w domu. Ojciec bł. Anieli był kowalem i stąd niekiedy nasza święta pomagała w warsztacie kowalskim. Minęło 10 lat jak papież Jan Paweł II na rynku krakowskim wyniósł ją w poczet błogosławionych. Ojciec Święty mówił wtedy: „I dlatego też wielką jest moja radość, że mogłem w dniu dzisiejszym dokonać w Krakowie beatyfikacji Anieli Salawy. Ta córka ludu polskiego, urodzona w niedalekim Sieprawiu, znaczną część swojego życia związała z Krakowem. To miasto było środowiskiem jej pracy, jej cierpienia, jej dojrzewania w świętości. Związana z duchowością św. Franciszka z Asyżu okazywała niezwykłą wrażliwość na działanie Ducha Świętego. Świadczy o tym zapiski jakie po niej pozostały (...).

Jedno zdanie, jakby szczególnie potrzebne w tym momencie po Komunii św. Tak pisze, tak woła do Chrystusa Aniela: „Pragnę, żebyś był tak wielbiony, jak jesteś wyniszczony”. I jeszcze o swoim własnym powołaniu, a raczej o tym, które dał jej Bóg: „Wobec duszy mojej Pan Bóg miał zamiary wielkie, stwarzając mnie na swój własny obraz.” (...).

Ile razy modliłem się przy jej relikwiach, jak głęboko zapadły mi w pamięć, w serce te słowa: „Panie! Żyję, bo każesz, umrę, kiedy chcesz, zbaw mnie, bo możesz”.

Błogosławiona Aniela wstąpiła do III zakonu św. Franciszka 15 maja w 1912 roku i należała do wspólnoty krakowskiej przy klasztorze oo. franciszkanów konwentualnych. Zafascynowana duchowością św. Franciszka i św. Klary, św. Antoniego okazywała niezwykłą wrażliwość na Działanie Ducha Świętego. Do tej świątyni przychodziła w każdy piątek, aby odprawiać nabożeństwo drogi krzyżowej z franciszkanami i ludem krakowskim. Miała wówczas 31 lat i była dojrzała w swoim życiu wewnętrznym, religijnym. Po odbyciu nowicjatu w dniu 6 sierpnia 1913 roku złożyła profesję zakonną. Od tego czasu na stałe związała się ze szkołą św. Franciszka i świętej Klary jako tercjarka. Jej relikwie znajdują się w tamtejszym kościele od maja 1949 roku, kiedy kard. Adam Sapieha wyraził zgodę na ekshumację. Z Krakowem związała się od roku 1897 (późna jesień), gdy jako 16-letnia dziewczyna wyruszyła za pracą i chlebem. Pracowała u różnych zamożnych ludzi w charakterze służącej lub pokojówki. To jej zwykła codzienna praca, wykonywana bez przerwy przez 20 lat, tj. do roku 1917. W wykonywaniu tej pracy odznaczała się obowiązkowością, rzetelnością i uczciwością. W tym czasie nastąpiło u bł. Anieli pogłębienie życia religijnego, dzięki spowiedzi świętej u redemptorystów, jezuitów, franciszkanów, misjonarzy jak również intensywnego czytania książek religijnych i Pisma Świętego. Na jej zdecydowanie radykalizmu ewangelicznego i złożenie ślubu dożgonnej czystości w dużej mierze przyczyniła się przedwczesna śmierć jej siostry Teresy w 1899 roku. Ona również była służącą w rodzinach krakowskich. Od tego roku jej wewnętrzne życie oparte na żywej tradycji religijnej rodzinnego domu i parafii, głębokiej wiary przynosiło widoczny owoc w świadectwie wiary i miłości do ludzi biednych. Modlitwa umacniała ją w cierpieniu, dźwiganiu codziennego krzyża. Wszelkie urazy swojej pracy jako służącej składała w ofierze Bogu za grzeszników. Umiała przebaczać i odpłacać dobrem za zło. Dzięki częstej spowiedzi ukształtowała w sobie delikatne sumienie.



ŚW. JAN Z DUKLI

Ostatni okres Jej życia był związany z wielkim doświadczeniem cierpienia. Przykładem tej wielkiej cierpliwości w chorobie była nasza błogosławiona, która uczy nas akceptacji własnego cierpienia fizycznego i duchowego. Często bowiem przyjmowała dodatkowe cierpienie celem zadośćuczynienia za swoje grzechy i innych ludzi. Miała przeżycia mistyczne – często rozmawiała z Matką Najświętszą i Panem Jezusem. Zmarła w samotności w krakowskim szpitalu św. Zyty w dniu 12 marca 1922 roku. Jej ciało zostało złożone na cmentarzu Rakowickim, a grób od samego początku był licznie nawiedzany przez krakowian, ponieważ przez jej wstawiennictwo wielu wyprosiło wiele łask Bożych.

Błogosławiona Aniela decydując się na samotność miała własną koncepcję rozwoju osobowego i konsekwentnie realizowała to w życiu. Pomimo próśb i różnych propozycji nie wyszła za mąż, aby lepiej i ofiarniej służyć biedakom krakowskim, podając im często kawałek chleba. Dążyła ciągle do świętości przez ciągłe wymaganie od siebie. Równocześnie była pogodna, optymistyczna, radosna, spokojna. Tajemnicą Jej życia samotnego było głębokie przekonanie o sile modlitwy. Brała udział w pielgrzymkach do Kalwarii Zebrzydowskiej i na Jasną Górę.

Rekolekcje oparte o jej życie i duchowość szkoły franciszkańskiej zgromadziły w sanktuarium św. Jana tercjarzy z Dukli, Lubaczowa, Leżajska, Jarosławia, Stalowej Woli, Rozwadowa (oo. kapucyni), Przemysła i Rzeszowa. Na zakończenie tych rekolekcji w niedzielę tj. 2 września tercjarze franciszkańscy uczestniczyli w koncelebrowanej Mszy św. odprawianej przez miejscowych franciszkanów-bernardynów pod przewodnictwem ks. dr. Stanisława Siary – dziekana dukielskiego, z racji gminnych dożynek. Na początku Mszy świętej zostały powitane delegacje rolników, z wieściami poszczególnych wsi naszej gminy. Kazanie okolicznościowe o szacunku do polskiej ziemi i tradycji kultury wiejskiej, religijnej na wzór św. Franciszka i św. Jana z Dukli wygłosił autor tych słów. Pod koniec homilii zostały przytoczone słowa Jana Pawła II wypowiedziane w dniu 4 czerwca 1991 roku w Łomży: „Spraw rolnictwa nie można odrywać, oczywiście, od reform całego systemu gospodarczego, ale też wszyscy czują, że ta dziedzina, nie tylko

zresztą w naszej Ojczyźnie, wymaga szczególnej ochrony, współpracy wielu sektorów i solidarności wszystkich środowisk, a nade wszystko wymaga zabezpieczenia wolnej inicjatywy samych rolników. Wszyscy wiemy, jak wiele jest trudnych spraw do rozwiązania. Trzeba by był słyszalny w państwie i respektowany gospodarski głos rolnika.”.

W czasie procesji z darami ofiarowanymi przez rolników poszczególnych wsi dukielskich zostały ofiarowane: świeca zapalona – symbol Chrystusa, bochny świeżego chleba, wino, owoce, płody tej ziemi podkarpackiej, a franciszkanie świeccy ofiarowali nowy omat przedstawiający św. Franciszka i św. Klarę. Wśród zaproszonych gości byli m. in. senator Jerzy Borcz, poseł Andrzej Kozioł, marszałkowie Bogdan Rzońca i Stanisław Zajac, przewodniczący Rady Powiatu z Krosna Kazimierz Krężalek i starosta Jan Juszcak. Władze samorządowe miasta Dukli reprezentował m. in. Piotr Witkowski burmistrz. Na zakończenie uroczystości po odśpiewaniu *My chcemy Boga* nastąpiło dzielenie się chlebem z mąki tegorocznych plonów.

W dniu 29 grudnia do naszego Sanktuarium św. Jana w Dukli przybył z Rzymu ks. abp Edward Nowak, który przez dwa dni będąc w naszej wspólnocie zakonnej dużo czasu poświęcił modlitwie przy relikwiach św. Jana. Dostojny gość przybył, by modlić się we wszystkich intencjach Ojca Świętego Jana Pawła II, a zwłaszcza o pokój na świecie. W niedzielę Świętej Rodziny odprawił uroczystą Mszę świętą w koncelebrze ojców tutejszego klasztoru w intencji Ojca Świętego, dzie-

Halina Bogucka

Lwowska poezja i piosenka w Koszalinie

VII Koszaliński Konkurs Poezji i Piosenki Lwowskiej im. Mariana Hemara odbył się w dniach 24-25 listopada 2001 r. Organizatorami Konkursu byli: Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz Miejski Ośrodek Kultury w Koszalinie. W Konkursie udział wzięło 93 wykonawców: młodzież szkolna z Koszalina i z miejscowości położonych w granicach dawnego woj. koszalińskiego. W jury Konkursu zasiadali p.p. Ludmiła Janusewicz-Kuriata, Mikołaj Borek i Bolesław Kurek – Przewodniczący.

W pierwszym dniu Konkursu liczne grono zebranych wysłuchało recytacji 35 uczniów ze szkół podstawowych i 30 gimnazjalistów. Profesjonalne jury (dwóch muzyków i jedna osoba od emisji słowa) przyznało 14 nagród i 12 wyróżnień. W kategorii szkół podstawowych I nagroda przypadła Agnieszce Malickiej (Koszalin), trzy II miejsca zajęli: Michał Kujacz (Grzmiąca), Michalina Jędraszko (Świemino) i Elżbieta Ptaszńska (Mieszalki). Wśród gimnazjalistów najlepsza była Justyna Szmaglińska (Grzmiąca). Równorzędne II nagrody przyznano Natalii Maras i Monice Betańskiej z Grzmiącej oraz Dominice Chocholowskiej z Koszalina.

Drugiego dnia recytacje zaprezentowała młodzież szkół średnich. I nagrodę zdobyła Jagoda Chudobińska, dwie II Kinga Banaś i Karolina Zborowska. Sześć startujących w tej kategorii licealistek pochodziło z Koszalina.

Prawdziwą niespodziankę sprawiła młodzież występująca w kategorii piosenki. Dobór repertuaru był bardzo trafnie dostosowany do możliwości wokalnych wykonawców. Niektóre piosenki były śpiewane w bałaku lwowskim. I miejsce zajęła Agata Jaśkiewicz (Koszalin) za piosenkę „Serce się z dala trudzi...” i „Piękny guździki”. Wykonanie „Kołysanki Tońka”, „Pięknej Karolci” i „Tylko we Lwowie” przez laureatów II nagrody: Kamila Jastrzębskiego i Michała Gunerkę z Koszalina wzbudziło zachwyt i wzruszenie nie tylko lwowskiej części widowni. III nagrodę wyśpiewała Nicole Piaskowska ze Świdwina – w jej wykonaniu usłyszeliśmy piosenkę: „Pupamentaj ty sy Tońku” i „Józku”. Drugą rów-

kując za wszystkie pielgrzymki Papieża do Grecji, Syrii i na Maltę – szlakiem św. Pawła, na Ukrainę i do Kazachstanu i Armenii w minionym roku. W imieniu Papieża podziękował za wszystkie modlitwy, które wierni naszej miejscowej wspólnoty i pielgrzymi przekładają przez wstawiennictwo św. Jana za Ojca Świętego, Kościół na świecie i w Polsce. Wiemym, którzy bardzo licznie zgromadzili się w świątyni zakonnej, ofiarował obrazki z życzeniami od Papieża. Oprawę muzyczną w czasie Mszy Świętej wykonała miejscowa młodzież, a asystę w czasie liturgii obsłużyli klerycy z Kalwarii Zebrzydowskiej. Po skończonych uroczystościach w klasztorze udał się do kościoła parafialnego w Dukli, gdzie został przyjęty przez miejscowego ks. dziekana Stanisława Siarę zapoznając się z pracami konserwatorskimi w świątyni parafialnej. Na zakończenie pobytu w Dukli udał się pod pomnik św. Jana przed Farę dukielską, który został wykonany w ostatnim czasie. Wizerunek przedstawia młodego św. Jana jak dzieli się chlebem. Na zakończenie jeszcze raz podziękował za dar modlitwy w intencji największego pielgrzyma tego Sanktuarium Jana Pawła II.

W tutejszym ośrodku duszpasterskim w roku 2001 ochrzczono 25 dzieci, pobłogosławiono 23 młode pary i odprawiono 27 pogrzebów. Rozdano 84 tysiące Komunii Świętej. W Sanktuarium pracowało 7 Ojców i 3 braci zakonnych dla potrzeb duchowych tutejszych pielgrzymów. W minionym roku do tego miejsca pielgrzymowali: ks. kard. Marian Jaworski ze Lwowa, ks. abp Józef Michalik z Przemysła, trzykrotnie ks. abp Edward Nowak z Rzymu, ks. bp Stanisław Szyszkoradiuk z Kijowa i ks. bp Adam Szal z Przemysła. □



Nagrodzone dzieci ze szkół podstawowych (recytacje)



Nagrodzeni recytatorzy ze szkół gimnazjalnych

norzdną III nagrodą uhonorowano zespół „Słoneczniki” ze Szkoły Podstawowej w Mieszakach. Dziewczynki zaśpiewały składankę dwóch utworów: „Jest takie Miasto” i „Sen Orląt”. Wrażenia dopełniła odpowiednia oprawa sceniczna. Ten występ dostarczył najwięcej wzruszeń, a wielu osobom pochodzącym z Kresów zakreśliły się łzy w oczach. Wystąpiło 22 wykonawców piosenek, w tym 3 zespoły i soliści. Przyznano 5 nagród i 1 wyróżnienie.

Nagrodami w Konkursie były Albumy Lwowa A. Bujaka, Ilustrowane Przewodniki po Lwowie (wyd. 2001 r.), lwowskie kalendarze ścienne oraz albumy o różnorodnej tematyce. Każdy wykonawca otrzymał dyplom, maskotkę i słodki poczęstunek.

Dobór repertuaru, zarówno wierszy jak i piosenek, cechowała duża różnorodność. Występy bardzo pozytywnie ocenili jurorzy. Wykonywane przez młodzież utwory były dziełem 54 poetów; w 7-miu przypadkach autor był nieznany. Największe powodzenie miały wiersze i piosenki Mariana Hemara: 27 utworów wybrało 30 wykonawców (w tym 1 piosenka). Wiersze Krystyny Angielskiej – to 10 tytułów i 16 wykonawców. Feliks Konarski i Emanuel Schlechter byli reprezentowani po 4 utwory, Komel Makuszyński – 3, a pozostali autorzy po 2 lub po 1.

Oprócz wierszy współcześnie piszącej poetki Krystyny Angielskiej, na Konkursie były prezentowane utwory Beaty Kost, Janusza Raganikiewicza i Jerzego Masióra. To pozytywne zjawisko, że lwowskie wier-



25. 11. 2001 r. Laureaci piosenek

sze i piosenki powstają nadal we Lwowie i w kraju, a my możemy rozpowszechniać je na bieżąco.

Nagrody i upominki dla młodzieży startującej w Konkursie ufundowali: Urząd Miejski w Koszalinie, Miejski Ośrodek Kultury, koszaliński Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział Wspólnoty Polskiej w Koszalinie. □

Maria Zaleska Czajkowska

Dzieci z Borysławia na kolonii w Suchej Beskidzkiej

Każdy człowiek ma swoje miejsce na Ziemi, skąd się wywodzi, to Mała Ojczyzna. Jej utrata boli. Boli, jak odcięta noga – powtarzam za poetką Panią Kasprowicz.

Moje nostalgiczne umiłowanie Podola z jego balsamicznym powietrzem, lazurowym niebem, bogatą roślinnością, miodoborów, pachnącymi trawami stepów, sokołami w bezruchu i śpiewną mową – zawdzięczam moim wspaniałym Rodzicom, których już nie ma. To wewnętrzne bogactwo starałam się przekazać moim synom. Jednemu z nich, Leszkowi, przydało się ono, kiedy wyjechał do Francji i ożenił się; choć żona jest Francuzką to pochodzenia polskiego. Jej czcigodni rodzice, Polacy, państwo Anna i Franciszek Szymanowiczowie wszystkie swoje dzieci nauczyli języka polskiego.

Kiedy na świat przyszedł mój wnuczek Mateusz i Alicja synowa moja Agnieszka i syn Leszek uczyli ich mowy polskiej. Nie było to łatwe, szczególnie dla Agnieszki, tam urodzonej. A jednak dała z siebie wiele wysiłku w przekazanie polskości swym dzieciom.

Tym wstępem chciałabym uzmysłowić, iż patriotyzm, bycie życzliwie otwartym dla innych nie biorą się same z siebie, lecz z tradycji wielu pokoleń.

Kiedy latem podchwyciliśmy hasło: kolonie dla polskich dzieci z Borysławia, Leszek jako pierwszy, uruchomił własne zasoby finansowe, kontakty z osobami wpływowymi, innych sponsorów i w ten sposób kolonie zaczęły się urzeczywistniać.

Autokar dla przewiezienia dzieci z granicy do Suchej, z zapewnieniem powrotu uzyskała Pani Maria Postępska Prezes TML Oddział w Gliwicach, dzięki przyznaniu bezpłatnego przewozu przez Przewodniczącą Zarządu Komunikacyjnego GOP w Katowicach – Pana Jerzego Śmiałka. A w Suchej świetne hotelowe warunki zakwaterowania, wyżywienia, fundowane wy-

cieżki do Zakopanego, Krakowa, Wadowic. W dniach słonecznych plażowanie nad rzeką, spacer po okolicy, ogniska i dużo bardzo pięknego śpiewu. Dorodna młodzież zwracała na siebie uwagę taktownym byciem i tym cudownym śpiewem. A śpiew ten, to połączenie utalentowanej muzycznie młodzieży z ogromną pracą nauczycielki z polskiej sobotnio-niedzielnej szkoły w Borysławiu, Pani Haliny Klancko. Pani Halina łączy w sobie talent muzyczny, pedagogiczny, świetny głos i słuch, wykształcenie muzyczne i ogromne zaangażowanie w pracę z młodzieżą.

Pasja pomagania innym nie od dziś jest mi znana i trochę wprawdy w działaniu pomogło mi pozyskać wiele potrzebnych artykułów jako prezenty, tzn. buty z fabryki w Krapkowicach dla każdego z dzieci, bielizna, bluzeczki itp. z fabryki w Biłgoraju, słodycze, bloki rysunkowe, kredki z „TESCO” w Gliwicach.

Trud starania się błędnie w porównaniu z radością dziewcząt, wystrojonych w te cudne, roześmianych uroklivym śmiechem piętnastu lat...

Zawsze spotykam się z życzliwością, uczynnością darczyńców. Znamiennym niech będzie gest mechanika samochodowego, który przed wyjazdem do Suchej „z transportem darów” dokonywał przeglądu mojego „Malucha”, a ja go zabawiałam opowiadaniem o Kresach, o naszej pracy społecznej itp. Po zakończeniu pracy zapytałam, ile płacę? Pan wymienił kwotę i dodał „nie wezmę od pani tych pieniędzy, niech pani kupi coś dla tych dzieci... moi rodzice też pochodzą z Kresów... Za te pieniądze, w upalną niedzielę, kupiliśmy dzieciom lody w „Karczmie, co Rzym się nazywa”.

Podczas trwania tych kolonii miałam swój czarowny dzień, no, może kilka szczęśliwych godzin. Do Suchej przyjechał Leszek ze swoją córką Alicją i jej przyjaciół-

ką, obie z Francji. Młodzież od pierwszej chwili znalazła wspólny język, tematy do rozmów. Przeplatały się słowa polskie, francuskie, angielskie. Było to spotkanie europejskie jakże urodziwej i beztroskiej młodzieży, polskiej młodzieży.

Dla nas, projektodawców, Leszka, jako jednego ze sponsorów i ludzi życzliwych, uczynnych na miarę Pani

Heleny Kucharskiej, Pani Marii Grzechynki i nieznanych mi z nazwiska, hojnych darczyńców – to ogromna satysfakcja.

Z ziaren życzliwości przyniesionych z różnych zakątków Polski i Francji, jak na planecie Małego Księcia, tu w Suchej Beskidzkiej zakwitła róża przyjaźni polskiej młodzieży z Borysławia i Francji. □

VII Świdwiński Konkurs Poezji i Piosenki Lwowskiej

W dniu 18. 11. 2001 r. odbył się VII Świdwiński Konkurs Poezji i Piosenki Lwowskiej, w tym po raz drugi o zasięgu powiatowym pod patronatem Starosty Świdwińskiego. Organizatorem był: Klub Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Świdwiński Ośrodek Kultury i Miejska Biblioteka Publiczna. Imprezę swoją obecnością zaszczylicili przedstawiciele władzy samorządowej w osobach: Danuta Malitowska przewodnicząca Rady Powiatu, Horanin członek Zarządu Powiatu, Józef Pietraszek burmistrz Miasta Świdwin, Henryk Kłaman przewodniczący Rady Miasta, radni Beata Traczyk i Lidia Zychowicz oraz kier. Wydziału Oświaty i Kultury Urzędu Miasta Bogdan Wachowiak i Urzędu Gminy Świdwin Marta Borowy.

Przewodnicząca Rady Powiatu i burmistrz Świdwina podkreślili znaczącą rolę Towarzystw Kresowych w Świdwinie w działalności społecznej i kulturalnej, szczególnie w upowszechnianiu kultury kresowej na ziemi świdwińskiej, którą zamieszkują kresowiaczy. Widzimy potrzebę tej działalności i ją wspieramy. – Życzymy udanej imprezy.



Nicole Piaskowska ucz. SP nr 3 Świdwin. Laureatka w kat. piosenka gr. SP



Zespół „Trio” M. Jurcaba, M. Koczara i M. Lipińska z SP nr 2 Świdwin. Laureaci w kat. piosenka gr. SP

Poezja i piosenka w wykonaniu młodzieży szkolnej ośmiu szkół z powiatu świdwińskiego wprowadziła widowie w prawdziwy nastrój lwowski, przeżywając chwile zachwytu i podziwu dla talentu młodych artystów. Przedstawione utwory wzruszały, bawiły, porywały do wspólnego śpiewania i gorących braw publiczności. Szczególnie, kiedy wspaniała 9-letnia Nicole Piaskowska uczennica II klasy Sz. Podst. Nr 3 w Świdwinie śpiewała „Ta joj mni nazywaju, gdzie tylko zjawi si...” oraz „Popamientaj ty sy Tońku...”.

Konkursowe jury w składzie: Barbara Radzikowska – przewodnicząca oraz Lucyna Dziewiatowska, Leokadia Zubowicz i Robert Uss oceniło i przyznało nagrody i wyróżnienia w kategorii recytacja:

- a) szkół podstawowych:
 - I miejsce Alicja Kopyś z SP nr 1 Świdwin
 - II miejsce Judyta Jasińska z SP nr 3 Świdwin
 - III miejsce Natalia Tyma z ZS Sławoborze
 - wyróżnienia: Angelika Wilczyńska i Paulina Pietrzak z SP nr 3 Świdwin.
- b) gimnazjum:
 - I miejsce Milena Marczak ZS Oparzno
 - wyróżnienia: Paulina Mierzwia ZS Oparzno, Beata Korczynska MZS Świdwin i Marta Pawłowicz ZS Sławoborze
- c) szkoły średnie:
 - I miejsce Łukasz Gluchowski
 - II miejsce Agata Pińczuk

III miejsce **Joanna Lesiak i Natalia Niezgoda**
Wszyscy z Zespołu Szkół im. Wł. Broniewskiego w Świdwinie.
W kategorii poezja śpiewana:

a) szkół podstawowych:

I miejsce – soliści **Nicole Pisakowska** z SP nr 3 Świdwin

I miejsce – zespół „Trio” w składzie **Michalina Jurcaba, Magdalena Koczara i Marta Lipińska** z SP nr 2 Świdwin

II miejsce – zespół „Trio” w składzie **Agnieszka Wilczyńska, Paulina Pietrzak i Judyta Jasińska** z SP nr 3 Świdwin.

b) gimnazjum:

I miejsce zespół „Nutki” w składzie 15 osób z ZS Oparzno.

W konkursie wzięło udział 25 wykonawców recytacji i 3 zespoły śpiewacze – ogółem 46 osób. Prezes Klubu TMLiKPW w Świdwinie serdecznie dziękuje Staroście Świdwińskiemu i Burmistrzowi Miasta za wsparcie finansowe, jurorom za ocenę konkursu, nauczycielom za przygotowanie młodzieży: z LO Małgorzacie Pluta i Krystynie Czyżyk, SP nr 1 Monice Wieczerek i Katarzynie Felińskiej, SP nr 2 Wiesławowi Wieczerek i Edycie Uss, SP nr 3 Małgorzacie Drelak i Romanowi Piaskowskiemu, MZS Annie Wysokińskiej, ZS Oparzno Krystynie Sokół i Henrykowi Góreckiemu, ZS Sławoborze Ewie Horanin. Darczyńcom: PPH J. J. Paszel za ciastka,

F. H. „Kubus” Markowi Szachniukowi za maskotki oraz kawiarni Zamkowa Katarzynie Radomskiej. Szczególnie gratulacje i słowa uznania kieruję do naszych młodych szkolnych artystów – wykonawców poezji i piosenki lwowskiej oraz życzenia dalszych sukcesów.

W dniach 24-25. 11. br. odbył się VII Koszaliński Konkurs Poezji i Piosenki Lwowskiej im. M. Hemara, w którym uczestniczył tylko zespół z SP nr 3 w Świdwinie, zdobywając: w recytacji III miejsce **Judyta Jasińska**, w piosence III miejsce **Nicole Pisakowska** i śpiewające „Trio” wyróżnienie.

Za szczególny wkład w upowszechnianie kultury lwowskiej przez nauczycieli i młodzież Sz. P. nr 3 staraniem zarządu Klubu TMLiKPW burmistrz ufundował nagrodę tej szkole – bardzo praktyczny i przydatny do artystycznej pracy radiomagnetofon.

Raz jeszcze gratulacje dla wykonawców oraz podziękowania dla opiekunów i dyrektorów szkół za wspieranie i upowszechnianie kultury kresowej

Mieczysław Kostur
Prezes Klubu TMLiKPW w Świdwinie

Remigiusz Węgrzynowicz, Bolesław Nagay

Zespół lwowskich dzieci „Tęcza” w Szczecinie

W dniach 18-25 listopada Wspólnota Polska oraz TMLiKPW gościły 18-sto osobowy zespół taneczno-wokalny „Tęcza” z polskiej szkoły lwowskiej nr 24, pod kierownictwem Pani Wiktorii Leśnej oraz dwie towarzyszące nauczycielki.

Zespół wystąpił w szkołach: Szczecina, Wielgowa, Gryfina i Lipianach. Występy cieszyły się powodzeniem. Dzieci przyjmowane były owacyjnie i bardzo serdecznie przez młodzież, nauczycieli i rodziców. Zespół zakwaterowany był w Diecezjalnym Domu Rekolekcyjnym. Zgodnie z programem pobyt urozmaicono wycieczką wspólnie z młodzieżą ze Szczecina do Międzyzdrojów oraz pobytem w nowoczesnym kąpielsku „Laguna” w Gryfinie. Młodzież zwiedzała również miasto Szczecin i port. Pobyt był zrealizowany dzięki sfinansowaniu przez Wspólnotę Polską oraz ofiarnemu zaangażowaniu pp. B. Gruszczyńskiego – prezesa W. P., T. Kaweckiego V-ce prezesa W. P., Z. Piaseckiego, B. Pastucha – Stargard, E. Śnieżyka – Lipiany, A. Raka – Gryfino oraz członków TMLiKPW w Szczecinie.

Wizyta dzieci lwowskich i występy sprawiły radość młodzieży, nawiązanie przyjaźni. Nauczycielom, rodzicom, a szczególnie seniorom kresowiakom dostarczyła wzruszeń. Z łezką w oku oglądali występy, słuchali śpiewu i dialogów w gwarze lwowskiej. Wizyty służyły dobrze integracji młodzieży zamieszkałej na dawnych kresach z młodzieżą w kraju.

Uroczystość 5-lecia nadania szkole nr 14 w Szczecinie-Wielgowie imienia Orląt Lwowskich

W serdecznej atmosferze obchodzono w dniu 30. 11. 01 pięciolecie nadania szkole nr 14 w Szczecinie-Wielgowie imienia Orląt Lwowskich. Licznie zebrana mło-

dzież, nauczyciele, rodzice, przedstawiciele władz miasta, oświaty, duchowieństwo oraz członkowie TMLiKPW uczestniczyli w uroczystości. Młodzież zaprezentowała bardzo ciekawy program. Ze wzruszeniem generacja pradiadków z kresów słuchała pieśni, recytacji znanych, ale również nowych, wykonywanych przez autorów z dobrym akcentem lwowskim! Wystawa pamiątek (zdjęcia, dokumenty) była wyrazem szacunku dla przeszłości w jakim wychowana jest młodzież przez nauczycieli i rodziców.

Serdeczne przyjęcie i poczęstunek wypiekami z „lwowskiej cukierni” p. Płonki oraz z domów kresowiaków (wg starych recept) umilały dyskusje o znaczeniu kresów dla kraju dawniej i dzisiaj. Podkreślano rolę pamięci narodowej w procesie integracji europejskiej i tradycji tej idei, która cechowała od wieków ludność kresową. TMLiKPW przekazuje serdeczne wyrazy uznania dla pp. Nauczycieli pod kierownictwem p. dyrektora Bogusławy Walasza za owocną pracę w wychowaniu patriotycznym młodzieży.

Orlątko

Orlątko lwowskie

żołnierzyku malutki

gdzie szukasz schronienia?

w ciemnych grobach milczenia?

Dzieciątka polskie

chłopczyku malutki...

– porzucasz dom, radości i smutki.

Idziesz w blask przeznaczenia,

w krainę zapomnienia?

Orlątko lwowskie...

Magda Kawalek z VI b

*Gdzieś daleko stąd
na siedmiu pagórkach
istnieje miasto Lwów
o którym wolno mówić znów
Tam gdzie zapomniany cmentarz
gdzie śpią dzielne orląta
Chłopcy i dziewczęta
Za wolność padły czy pamiętasz?
Hej wznieśmy okrzyk znów
Tym, co dawniej obroniły Lwów.
Tym, co oddały swą krew
hej wznieśmy nasz śpiew!*

Patrycja Wierzbicka z V a

Oplatek TMLiKPW w Szczecinie

W dniu 18. 01. 02 członkowie Towarzystwa gościli na tradycyjnym spotkaniu „opłatkowym” młodzież oraz nauczycieli ze szkoły im. Orląt Lwowskich z Wielgowa-Szczecina. Spotkanie odbyło się u OO Salezjanów, którzy przygotowali tradycyjną kresową kolację wigiliną. W spotkaniu uczestniczyło 140 osób.

Teofila Solecka

Dziękujemy Bogu za miniony 2001 r.

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich – Oddział w Sulikowie od dnia powstania jest w łączności z dziećmi i młodzieżą Szkoły Podstawowej i Gimnazjum.

Ostatnie pokolenie z Kresów starało się z całego serca wykonać postawione zadania. Przeprowadzenie wśród młodzieży zbiórki pieniędzy na odbudowę Cmentarza Orląt było możliwe dzięki temu, że my, ostatnie kresowe pokolenie, przekazyaliśmy młodym dzieje tamtych stron. Te dzieje, które zapisały się w naszej pamięci i naszych sercach.

Dzięki naszym opowieściom, które dokumentowaliśmy posiadanymi materiałami, przekazaliśmy młodemu pokoleniu w istocie to, co najważniejsze, że młodzież Kresów i Lwowa kochała Ojczyznę, że wykazali swą patriotyczną postawę w walce o Lwów. Cmentarz Orląt jest tego dowodem.

Z okazji Nowego Roku 2001, na zorganizowanym spotkaniu okolicznościowym, gościliśmy Inspektora Obszaru Dolnośląskiego Związku Strzeleckiego „Strzelec” płk. Władysława Horzelę. Spotkanie to zaowocowało utworzeniem w Sulikowie, przy serdecznej pomocy płk. W. Horzeli, Związku Strzeleckiego „Strzelec”.

W dniu 3 Maja Strzelcy z Lubonia i Sulikowa uczestniczyli wspólnie we Mszy Św. w kościele Podwyższenia Krzyża Św., a następnie Strzelcy z Sulikowa złożyli ślubowanie przy Grocie Matki Bożej.

Strzelcy z Sulikowa od pierwszych dni wakacyjnych zajęli się pracą dla dobra swojego środowiska. Zgodnie z przyjętym planem działania uporządkowali drogę leśną za Cmentarzem prowadzącą do Małej Wsi Górnej. Uporządkowali rów-

Młodzież przygotowała występy taneczno-wokalne, folkloru lwowskiego, które przyjęte były z aplauzem. Wspólne kolędy, wspomnienia kresowe seniorów stworzyły ciepłą, serdeczną atmosferę i poczucie jedności pokoleń kresowiaków.

Wieczór lwowski w klubie lekarzy w Szczecinie

W dniu 22. 01. 02 w klubie „Remedium” – Okręgowej Izby Lekarskiej w Szczecinie prezes TMLiKPW dokonał otwarcia wystawy fotograficznej, urządzonej jako reminiscencja pobytu lekarzy szczecińskich we Lwowie. Piękne ujęcia w fotografii białoczarnej zabytków Lwowa wykonanych przez pp. doktorów: Halinę Teodorczyk, Maksymiliana Mikee, Zbigniewa Hamerlaka i Zygmunta Niedźwiedzia, były przedmiotem dyskusji i wspomnień lekarzy lwowiaków i nielwowiaków szczecińskich o stanie obecnym tych zabytków, jak również o sytuacji lekarzy Polaków we Lwowie.

Kuchnia klubu zadbała o podtrzymanie miłego nastroju kresowego, serwując doskonale pierogi (trzyrodzaje) i nugat lwowski. □



*Pułkownik Władysław Horzela z pocztą
sztabowym z Lubania i Strzelcy z Sulikowa*

niez polaną leśną, miejsce zwyczajowego odpoczynku mieszkańców Sulikowa.

Praca ta została zauważona przez pozostałych mieszkańców i kilka osób starszych włączyło się w te prace.

Strzelcy jako zorganizowana młodzież brali udział w uroczystościach religijnych: w procesji Bożego Ciała i w dniu 15 sierpnia w święto Matki Bożej Wniebowziętej. Dzień 15 sierpnia był także szczególną okazją do oddania hołdu marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu i wojskom polskim w rocznicę „cudu nad Wisłą”, dzięki któremu to wydarzeniu Polska umocniła swoją niepodległość – młodzież uczciła to zdarzenie przygotowując recytacje.

11 listopada w Święto Niepodległości Strzelcy wzięli udział we Mszy Świętej oraz zorganizowali uroczyste recytacje.

W dniu Wszystkich Świętych, 1 listopada, w Sulikowie i Studniskach Dolnych Strzelcy zbierali datki na cmentarze na Kresach, za które składają serdeczne podziękowania wszystkim Ofiarodawcom.

Działalność Strzelców Sulikowskich wspiera płk Władysław Horzela. Tą drogą pragniemy złożyć Mu podziękowania i życzenia wszelkiej pomyślności w Nowym Roku 2002.

Dziękujemy także Tygodnikowi Katolickiemu „Niedziela” za publikowane w nim piosenki i wier-

sze. Całej Redakcji życzymy błogosławieństwa Nowonarodzonego Dzieciątka Jezus.

Składamy też podziękowania Rodzicom naszych Strzelców i życzymy w Nowym Roku dużo zdrowia i pomyślności w życiu.

Strzelcom dziękujemy za dobre serca, pracowitość i oddanie dla dobrej sprawy. Niech Dzieciątko Boże błogosławi ich osobowość i działalność. □

Marian Wiszniewski

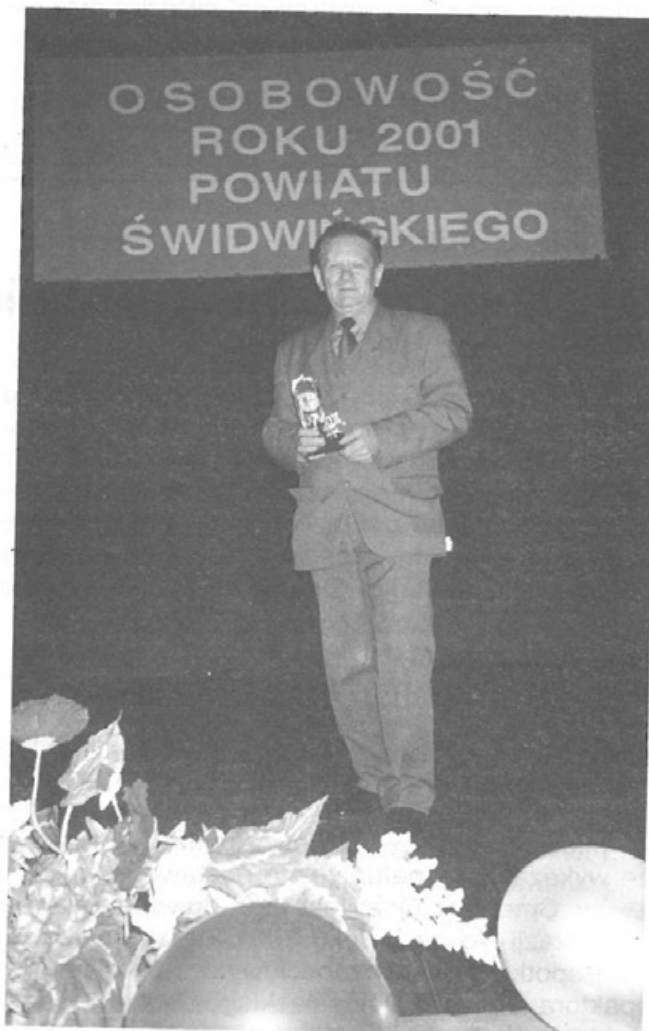
Kresowianin Osobowością Roku 2001

W listopadzie 2001 roku na łamach kosczańskiego dziennika „Głos Pomorza” ogłoszono konkurs na „Osobowość roku 2001 powiatu świdwińskiego” w kategoriach: biznes, kultura, sportowiec i trener. Przez dwa tygodnie prezentowano kandydatów i drukowano kupony, na których czytelnicy oddawali swój głos na wybranego kandydata zasługującego na ten, niewątpliwie zaszczytny, tytuł.

Wydział Oświaty i Kultury Urzędu Miasta Świdwin do konkursu wytypował w kategorii kultura: **Mieczysława Kosturę**, prezesa klubu Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, bardzo oddanego działacza upowszechniającego lwowską kulturę kresową na ziemi świdwińskiej. Ogółem zgłoszono 34 kandydatów, w kategorii kultura sześciu.

Okazałą statuetkę zwycięzcy otrzymał prezes **Mieczysław Kostur** zajmując pierwsze miejsce w kategorii kultura i został tym samym posiadaczem **Tytułu Osobowości Roku 2001 Powiatu Świdwińskiego**.

Zarówno władze miasta Świdwin, jak też mieszkańcy dostrzegli i docenili wkład klubu TMLiKPW pod kierownictwem M. Kostury w wzbogacenie kultury świdwińskiej w ciągu ostatnich jedenastu lat o trwałe, atrakcyjne formy dla dorosłych i młodzieży, mianowicie: Dzień Kultury Kresowej z udziałem twórców kultury, kapel, zespołów ludowych i szkolnych z programem kresowym na Podzamczu, powiatowy Konkurs Poezji i Piosenki Lwowskiej – głównie dla młodzieży szkolnej, prezentacje „Skarbu” kultury kresowej w TVP w konkursie „Skarby Pomorza Zachodniego”, nazwanie jednej ze świdwińskich ulic w centrum miasta imieniem **Orląt Lwowskich**, zamówienie i ofiarowanie kościołowi mariackiemu kopii obrazu Matki Bożej Łaskawej – Królowej Korony Polskiej z ołtarza głównego Bazyliki Metropolitalnej Obrządku Łacińskiego we Lwowie, pod którym król Jan Kazimierz 1 kwietnia 1656 r. składał słynne śluby lwowskie; wmurowanie i odsłonięcie w Kościele Mariackim tablicy pamiątkowej o treści „**W Hołdzie Obroncom Lwowa i Kresów Wschodnich w 80. lecie Niepodległości – Lwowianie**” Świdwin 11. 11. 1998 r.; prowadzenie przez prezesa spotkań z młodzieżą szkolną nt. „Orląt w Obronie Lwowa w listopadzie 1918 r.”; zorganizowanie w Miejskiej Bibliotece Publicznej od 1993 r. stałej ekspozycji wydawnictw „Lwów – Kresy” z około 70 woluminów, z których korzystają czytelnicy, zwłaszcza młodzież; prowadzenie kwest na odbudowę cmentarza



Laureat Konkursu „Osobowość roku 2001 powiatu Świdwińskiego” w kat. kultura Mieczysław Kostur z otrzymaną statuetką

Łyczakowskiego i Obronców Lwowa; wspieranie Rodaków we Lwowie; zorganizowanie trzy wycieczki do Lwowa; w lipcu 2000 r. goszczono chór „ECHO” ze Lwowa.

Mieczysław Kostur, radny i wiceprzewodniczący Rady Miasta Świdwin, za aktywną działalność został uhonorowany Złotą Odznaką Zasłużonego Członka Towarzystwa Miłośników Lwowa. □

Janina Oparowska

Niezwykły jubileusz

W zimowy wieczór – 25 stycznia 2002 r. w kościele pw. Św. Augustyna we Wrocławiu odbyła się bardzo piękna i wzniosta uroczystość.

Oto pod przewodnictwem O.O. Kapucynów w tej świątyni uczczono 150-tą rocznicę cudownego objawienia się obrazu Matki Bożej Pocieszenia z Hodowicy koło Lwowa.

W ten styczniowy wieczór ta świątynia wypełniła się czcicielami Matki Bożej Pocieszenia – Patronki rodzin i młodych małżeństw.

Byli to przeważnie dawni mieszkańcy okolic Lwowa – takich parafii jak Nawaria, Sokolniki, Pustomyty, Siemianówka, a szczególnie Hodowica – obecnie mieszkający we Wrocławiu, a także w różnych miejscowościach Dolnego Śląska.

Przybyli na tę uroczystość, aby wspólnie oddać hołd Matce Najświętszej w tym wyjątkowym Dniu – Dniu Jubileuszu, kiedy 150 lat temu Matka Boża Pocieszenia w Hodowicy objawiła Swą cudowną moc.

Warto przypomnieć osobliwą historię tego obrazu.

Oto ten obraz został przyniesiony do swego domu przez żołnierza – Polaka z Moraw, spod Olomuńca i był przechowywany w jego domu we wsi Basiówka.

Jego córka zabrała ten obraz do Hodowicy, gdy wyszła za mąż za Jędrzeja Rączkowskiego i przeniosła się do jego domu.

Obraz wtedy był już poczerniały ze starości.

25 stycznia 1852 r. w niedzielę po południu Jędrzej Rączkowski zauważył, że obraz jaśnieje żywymi barwami. Cała okolica i duchowieństwo zainteresowali się tym niezwykłym wydarzeniem. Specjalna komisja powołana przez arcybiskupa lwowskiego Łukasza Baranieckiego orzekła, że jest to cudowne objawienie.

30 czerwca 1852 roku umieszczono ten obraz w parafialnym kościele w Hodowicy. Odtąd obraz ten pod nazwą Matki Bożej Pocieszenia był czczony przez ludność zamieszkującą okolice Lwowa.

Od tego czasu każdego roku w dniu 15 sierpnia w Święto Matki Boskiej Zielnej odbywał się w Hodowicy słynny odpust ku czci Matki Bożej Pocieszenia – na który przybywali wierni z różnych miejscowości leżących niedaleko Lwowa.

W 1946 roku po zakończeniu wojny obraz ten został przewieziony przez ks. proboszcza Jarosława Chomiczkiego oraz parafian opuszczających wtedy Hodowicę najpierw do Krakowa, potem do Jaworzyny Śląskiej, a stąd do Wrocławia. We Wrocławiu zaopiekował się tym obrazem ks. arcybiskup Bolesław Kominek.

12 lutego 1960 roku ks. arcybiskup Bolesław Kominek przekazał cudowny obraz Matki Bożej Pocieszenia z Hodowicy pod opiekę Ojcom Kapucynom we Wrocławiu.

Od tego czasu obraz ten znajduje się w kościele św. Augustyna we Wrocławiu w specjalnie na ten cel przeznaczonych kaplicy.

Każdego roku w dniu 31 maja – w święto Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny odbywa się tu odpust ku czci Matki Bożej Pocieszenia z Hodowicy.

Matka Boża Pocieszenia w tym cudownym obrazie cieszy się tutaj niezwykle czcią, o czym świadczą liczne wota jako podziękowanie za otrzymane łaski.

Z tej przyczyny parafia św. Augustyna we Wrocławiu otrzymała tytuł „Sanktuarium Maryjnego dla całego Dolnego Śląska”.

Dlatego w tej świątyni na tej jubileuszowej uroczystości tak licznie zgromadzili się czciciele Matki Bożej Pocieszenia – starzy i młodzi, dawni i dzisiejsi.

Ta uroczystość rozpoczęła się procesją liturgiczną. Następnie proboszcz parafii św. Augustyna o. Roman Łukaszewski dokonał powitania ks. biskupa Józefa Pazdura. W imieniu dawnych mieszkańców w parafii Hodowica, Nawaria, Sokolniki, Siemianówka powitał czcigodnego gościa p. August Barabasza – dawny parafianin Nawarii koło Lwowa.

Wiersz pt. „Na Jubileusz” recytowany przez p. Janinę Oparowską wprowadził zgromadzonych w świątyni w uroczysty jubileuszowy nastrój.

O godz. 18.00 została odprawiona uroczysta Eucharystia celebrowana przez ks. biskupa Józefa Pazdura w asyście kilku duchownych z wrocławskich parafii, wśród których był także obecny ks. kan. Franciszek Rozwód.

Także okolicznościową homilię wygłosił ks. biskup Józef Pazdur. Podkreślił w niej znaczenie tej uroczystości w łączności z niezwykłymi dziejami tego cudownego obrazu, wspominając także o tym, jak wielką czcią otaczali Matkę Bożą Pocieszenia dawni mieszkańcy Ziemi Lwowskiej.

Po Mszy św. zaśpiewano starą, znaną pieśń – śpiewaną jeszcze tam w Hodowicy – pt. „O Najświętsza Matko Boga – wielki z nieba cud”.

Potem odbyło się specjalne nabożeństwo przed cudownym obrazem Matki Bożej Pocieszenia.

Na zakończenie tej uroczystości o. Roman Łukaszewski w słowach podziękowania wyraził głęboką wdzięczność ks. biskupowi Józefowi Pazdurowi za sprawowaną Eucharystię i wygłoszone Słowo Boże. Złożył także podziękowanie wszystkim, którzy przyczynili się do uświetnienia tej uroczystości, a także tym, którzy tak licznie wzięli w niej udział.

Szczególnie miłym akcentem tej uroczystości było wystąpienie ks. kan. Franciszka Rozwoda. Ten zasłużony kapłan – w końcowej części tego święta w ciepłych i serdecznych słowach nawiązał do czasów i miejsc – bardzo odległych – gdzie Matka Boża cieszyła się wielką czcią i uwielbieniem. A były to czasy bardzo trudne. To wystąpienie w formie wzruszającego wspomnienia zostało nagrodzone obfitymi brawami.

W ten styczniowy wieczór ludzie długo jeszcze modlili się w kaplicy cudownego obrazu.

Wychodzili z tej świątyni radosni – radością jeszcze jednego spotkania wspólnotowego u Tronu Matki Bożej Pocieszenia. □

Janina Oparowska

Na Jubileusz

Przeżywamy w tej świątyni dziś niezwykle czas – świętujemy jubileusz pamiętnego cudu – gdy Maryja Dziewica ukazała Swą przecudną twarz i postanowiła zostać wśród Swojego ludu.

Przyszła do Hodowicy z dalekiego świata – z nieznanych wówczas Moraw – aż spod Olomuńca – miejscem jej osiedlenia była wiejska chata w podlowskiej miejscowości o nazwie Basiówka.

Długą drogę przebyła Matka Boża Pocieszenia by pozostać w Hodowicy na stałe – wędrowała w czasie i przestrzeni wiedziała – gdzie lud wierny odda Jej cześć i chwałę.

Tyle miejsc przecież na świecie miała tyle świątyń wspaniałych i wzniosłych. Ona Sobie Kościół w Hodowicy wybrała bo tu potrzebował Ją lud biedny i prosty.

Tu objawiła Swą cudowną moc – blaskiem niezwykłym w obrazie zajaśniała – i tu po raz pierwszy stał się cud niewidzącemu od lat wzrok przywróciła.

I odtąd lud wierny z całej okolicy ze Lwowa, Sokolnik, Pustomyt, Siemianówki, Nawarii przybywał na odpust do kościoła w Hodowicy by Matce Bożej oddawać cześć i służyć Jej wiernie.

Przez wiele dziesiątków lat słynęła Hodowica z cudownego obrazu Matki Bożej Pocieszenia tu do Niej przybywali zdrowi i cierpiący a szczególnie w Jej wielkie Święto Wniebowzięcia.

Nie dane Jej było pozostać w Hodowicy na dłużej ze Swym ludem udała się na wygnanie – z Hodowicy – przez Kraków i Jaworzynę – aż do Wrocławia w tej świątyni znalazła dla Siebie schronienie.

Tu przyjęli Matkę Bożą z najwyższą godnością czcigodni Ojcowie Kapucyni – tu z uwielbieniem, wiarą i miłością odwiedzają Ją Jej dawni wierni poddani.

I tak jak tam – przed laty – w Hodowicy modlili się do Niej mieszkańcy Ziemi Lwowskiej – tak teraz przychodzimy tutaj my – Dolnoślązacy mieszkańcy jednej Ziemi – naszej, polskiej.

A matka Najśw. Pocieszycielka z Hodowicy patrzy na nas – błogosławi i wspomaga – w tym trudnym dzisiejszym świecie wskazuje nam najlepszą do Jezusa drogę.

Nie pozwólmy zawieść Jej zaufania – nasze troski – nasze serca przynośmy Jej w darze – przekazujemy Jej Imię wszystkim pokoleniom nieustannie czcimy Matkę Bożą Pocieszenia tutaj – w cudownym obrazie.

Noworoczne spotkanie Kresowian

(Przedruk z „Węglińskie Gminne Sprawy” nr 32, styczeń 2002)

20 stycznia w niedzielne popołudnie, w Miejskim Przedszkolu w Węglińcu, zebrał się na corocznym spotkaniu Kresowian. Było to uroczyste spotkanie z kilku względów. Podsumowano pracę Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w ostatnim roku i w ciągu ostatnich czterech lat. Swą pracą wpisaliśmy się na trwałe w historię nie tylko Ziemi Węglińskiej, ale i Dolnego Śląska (a nawet w historię ruchu kresowego w Polsce). Do osiągnięć należy zaliczyć:

- tradycję spotkań środowiskowych,
- uczczenie tablicą pamiątkową i obeliskiem pamięci członków rodzin kresowych, którzy cierpieli i ginęli za to, że byli Polakami,
- zorganizowanie i przeprowadzenie trzech edycji „Wielkiego Bałakania”,
- zorganizowanie dwóch koncertów chóru „HARFA” (w Kościele w Ruszowie i w Starym Węglińcu),
- na terenie Zgorzelca i Węglińca pokazano społeczeństwu wystawę „Historia cmentarza Obrońców Lwowa”,
- zebraliśmy 4.250.- zł na odbudowę cmentarza Obrońców Lwowa,
- zorganizowaliśmy i wypromowaliśmy nawet poza granicą Dolnego Śląska zespół „Podolanie” z Czerwonej Wody i „Węglińskie Bajbusy”,
- członkowie naszego oddziału mieli możliwość zaistnienia w siedmiu audycjach emitowanych przez Radio



Ks. Dziekan Ludwik Solecki kierował piękne słowa do Kresowian węglińskich. Jego korzenie sięgają Czortkowa

Wrocław oraz jeden raz w TV „Polonia” i dwukrotnie w TVP Wrocław.

W niedzielnym spotkaniu uczestniczył Ksiądz Dziekan Ludwik Solecki, którego rodzina pielęgnowała wiarę ojców naszych i cierpieła za polskość.

Na spotkanie przybył też Przewodniczący Rady Gminy i Miasta Mirosław Sochoń, Burmistrz Andrzej



3 pokolenia Kresowian w Węglińcu

Kutrowski, Zastępca Burmistrza Stanisław Mikołajczyk, Dyrektor Banku Spółdzielczego Zygmunt Listwan, Dyrektorzy naszych szkół p. Barbara Karolak i p. Tadeusz Burda. Szczególnie cenimy sobie uczestnictwo w naszym spotkaniu p. Zbigniewa Umańskiego z Fundacji „Semper Fidelis”, rzecznika prasowego Zarządu Głównego TMLiKPW z Wrocławia. Nie jest już tajemnicą, że wiele satysfakcji i radości sprawiło nam przybycie Zespołu Redakcyjnego TVP S.A. Wrocław z p. Grażyną Orłowską-Sondej i p. Marią Dytko. To, co zrobiliśmy w ciągu czterech lat okazało się godne pokazania w „Studio Wschód”. Goście z Wrocławia szczególnie byli urzeczni występem „Węglińskich Bajbusów” i ich balakiem. Podobali się przedszkolacy w jasełkach (pięknie dziękuję p. Joli Pawlak i Beacie Smętek za pracę z dziećmi – to profesjonalizm). Będziemy dumni, jeśli uda się wysłać „Bajbusy” do Lwowa.

Uczennice SP w Węglińcu (przygotowywane przez p. S. Borodnicz z dobrym wyczuciem Lwowa recytowały wiersze p. Jerzego Masióra. Stała rolę i pozycję w propagowaniu kultury Lwowa i Podola odgrywają „Podolanie” z Czerwonej Wody. Oni rozpoczęli spotkanie „Pieśnią Tułacza”, a „Pożegnanie z Podolem” zrobiło swoje. Patrzyłem na twarze osób starszych. Coś drgnęło pod okiem, skurcz ust i krtani. W głębi naszych dusz spoczywały w strasznym chaosie wspomnienia. Wspomnienia przygniecione wydarzeniami o różnej treści, odczuciami. Wspomnienia bez barwy, zapachu, bez dźwięku czy smaku. Ale właśnie jeden dźwięk, ledwo wyczuwal-



Przy Obelisku Kresowym operatorzy TVP SA Wrocław p. Grażyna Orłowska-Sondej i A. Janicki

na woń, delikatny zarys jakichś kształtów, smuga czy promyk światła odrzucają ten cały ciężar faktów i wydarzeń i następuje eksplozja czystych uśpionych wspomnień – odsłania się rodzinny dom, dom podolski, wybuch błękit nieba Podola, zapachy stepu wypełniające nozdrza, huczą wody Seretu, Gniezdnej, Prutu, Czeremoszu czy innej wody. Odżywają w nas dziecięce, młodzieńcze światy pełne bez troskiej radości, trosk i zmartwień. Te wspomnienia towarzyszyły nam przez 3 godziny. Dostojności spotkania dopełniły słowa Księdza Dziekana L. Soleckiego skierowane do nas i oplatek – Święty Chleb.

O strawę zadbały Mirosława Mazur, Wanda Nowak i Grażyna Filipowicz. Dziękuję paniom pięknie – to, co zrobiłyście cieszyło oczy i podniebienie. Za gościnę w przedszkolu dziękuję p. Dyrektora, Jadwidze Michalak.

A oto nowe władze naszego Towarzystwa: Wiceprezesi Zarządu Oddziału Jadwiga Machalak i Zenon Zator, Sekretarz Irena Majdziak, Skarbnik Anna Popielewicz, Beata Smętek – opiekun „Bajbusów”, Sława Borodnicz opiekun Młodzieżowego Klubu TMLiKPW, Stefan Pietruszka opiekun „Podolan”, M. Osowska, L. Osowska, K. Majewska członkowie Zarządu, Prezes Alfred Janicki. Komisja Rewizyjna: R. Pindera, D. Tomaszewska, R. Śmigielka. Sąd Koleżeński: Z. Drozd, J. Deptuła i T. Basarab. Dla takich chwil warto było przez 4 lata kierować tak wspaniałym Towarzystwem. Pięknie dziękuję.

Alfred Janicki – Prezes

Pastorałka Lwowska

Na melodię „Oj Maluśki, Maluśki”

Czas zarządzić Mój Panie! Mój Panie
Twoim wiernym grodem,
aby lew, w jego godle
czuł się z Polski rodem.

Ech! gdybyś tak Mój Panie! Mój Panie
zmienił czas historii
co by Twe Orłęta lwowskie
spały snem Wiktorii.

Przemień czas miniony – miniony!
Mój Panie! chwalebnie
gdy zaryczy lew stęskniony
to wróć nasz polegnie.

Jezusku maleńki! maleńki
otwórz Swe oczęta
obejmij Lwów Polski
w Swe małe rączęta.

Ach! gdy znów powrócę, powrócę
do Lwowskiej krainy
to wesoło zanucę, zanucę
dla Boskiej Dzieciny!!!

Mama z synem Zbychem Trojanowsky
26. 12. 2000 r.

WSPOMNIENIE



Obrady Zarządu Głównego TMLiKPW. Warszawa



Zadumana na krakowskim Rynku



Nad Brdą w Bydgoszczy



Uroczystość pod Pomnikiem Pomordowanych Lwowskich Profesorów. Wrocław

O DANCE KRUPSKIEJ



Pielgrzymka do Matki Boskiej
Jazłowieckiej – Niepokalanów

W drodze do
św. Jana z Dukli



Spotkanie z młodymi
lwowiakami w siedzibie
Zarządu Głównego
we Wrocławiu

Zdzisław J. Zieliński

Staraniem aktywnie pracującego Koła „TMLiKPW” w Oleśnicy otwarto w listopadzie ubiegłego roku indywidualną wystawę fotograficzną Zdzisława J. Zielińskiego pt. „Obrona Lwowa”. Jest to kolejna ekspozycja wystawy, która miała premierę również w listopadzie 2000 r. we wrocławskim Klubie Śląskiego Okręgu Wojskowego. Wystawy dokumentującej pierwsze polskie udane powstanie.

Stanowi ona zarazem piątą wystawę kresową ww. autora. Do pierwszej („Architektura starego Lwowa”) z pamiętnego roku 1981 r., która była w ogóle pierwszą ekspozycją fotograficzną o tematyce lwowskiej w powojennej Polsce, doszły jeszcze cztery: „Kamień na kamieniu”, „Lwowska secesja”, „Podole” i właśnie „Obrona Lwowa”.

Są to wystawy profesjonalne, duże: przeszło 100 zdjęć w większym formacie (30 x 40 i 40 x 50 cm + panoramy), które znacznie odbiegają od amatorskich pokazów powiększonych widówek. Mają za cel szerokie przedstawienie i pogłębienie określonego problemu. Często celem tym jest znalezienie i wyeksponowanie pewnego interesującego i ważnego – a zapomnianego lub niezauważanego szczegółu, z pominięciem widoczków, angażujących fotomatora. Zgodnie zresztą z zasadami, możliwościami i powołaniem sztuki fotograficznej.

W wypadku tej ostatniej wystawy trudności polegały na przywołaniu historycznych wydarzeń tamtych dni i ich atmosfery poprzez ukazanie tego, co jest jeszcze do pokazania. A więc przede wszystkim szkół będących placówkami Powstania. Z pierwszą z nich na czele – szkołą im. Henryka Sienkiewicza (aktualnie celowo wciągniętą w kompleks fabryki kineskopów), w której autor miał zaszczyt uczyć się pod kierunkiem p. Zofii Staszyńskiej – uczestniczki Obrony Lwowa. Zdjęcia dowódców i zasłużonych bojowników – np. por. pil. Stefana Steca, autora pierwszego zwycięstwa w powietrzu, a także „szachownicy” na polskich skrzydłach. Miejsca szczególnie zaciętych walk i nacjonalistycznego rozbewnienia naszych przeciwników (np. „Narodny Dim”, gdzie przesłuchiowano, torturowano i rozstrzeliwano jeńców i cywilów; „Ossolineum”, gdzie obudowę strzelnic stanowiły cenne starodruki – i, niestety, wiele innych, podobnych...). Jest tu także miejsce na pokazanie smutnego finału walk – obu Cmentarzy Obrońców Lwowa: Łyczakowskiego i Janowskiego. Przed barbarzyńskim zniszczeniem, po i w stanie oczekiwania pełnej odbudowy.

Wszystkie te wystawy stanowią wyjątkową część ogólnego dorobku autora (m. in. 41 wystaw indywidualnych). Są uzupełnione oryginalnymi katalogami wystawowymi. Wszystkie też tworzą zwarte, gotowe do przejęcia i wyeksponowania zestawy, mogące z powodzeniem pełnić rolę, do której są desygnowane w naszej lwowskiej społeczności. Wiele z nich gościło już wielokrotnie w aktywnych ośrodkach całego kraju i nadal oczekuje sensownej propozycji. Aby mogły służyć tym najbardziej zainteresowanym, najbardziej oddanym lwowskiej sprawie. I to wraz z dalszymi, które do nich powinny dołączyć.



Fot. Z. J. Zieliński



Fot. Z. J. Zieliński

IV „WIELKIE BAŁAKANIE”

Zarząd Oddziału Miłośników Ziemi Tarnopolskiej i Stanisławowskiej w Węglińcu zaprasza zespoły kresowe i indywidualnych wykonawców do uczestnictwa w IV OGÓLNOPOLSKIM FESTIWALU POLSZCZYZNY LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH pn. „WIELKIE BAŁAKANIE. WĘGLINIEC 2002 R.”.

Zgłoszenia przyjmujemy w terminie do 15 maja br. Termin festiwalu 22, 23 czerwca 2002. Miejsce: pl. Wolności – Węglińiec. Zgłoszenia kierować na adres: Prezes Oddziału TMLiKPW, ul. Wojska Polskiego 13, 59-940 Węglińiec. Szczegółowy program zainteresowani otrzymają do 10 czerwca br.

Informacje telefoniczne: (075) xx 77 12 130 lub (075) xx 77 12 510

REGULAMIN IV OGÓLNOPOLSKIEGO FESTIWALU POLSZCZYZNY LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH „WIELKIE BAŁAKANIE” WĘGLINIEC 2002”.

1. Celem Festiwalu jest utrwalanie i popularyzacja dialektu lwowsko-podolskiego jako trwałego składnika kultury społeczeństwa Dolnego Śląska, Ziemi Lubuskiej, Pomorza.
2. Uczestnicy: soliści i zespoły (bez ograniczeń wiekowych).
3. Repertuar: poezja, proza, piosenka – wykonywane w „bałaku” (uwaga! dopuszczamy wykonywanie utworów

w gwarze wileńskiej jako przygotowanie do przyszłorocznej edycji Festiwalu pn. „Polszczyzna Kresów II Rzeczypospolitej” w br. może przedstawić swój program 5 wykonawców – zadecyduje kolejność zgłoszeń.

4. Czas prezentacji programu: 6-10 minut.

5. Przesłuchania konkursowe przed publicznością w dniu 22 czerwca od godz. 17.00.

6. Ogłoszenie wyników w dniu 23 czerwca o godz. 15.00.

7. Festiwal ma charakter imprezy plenerowej – Park Miejski w Węglińcu.

8. Jury oceniać będzie:

dobór repertuaru – prawdziwość brzmienia „bałaku” (jego czystość)

stopień trudności, oryginalność interpretacji

stopień trudności melodii, umiejętności wokalne

umiejętność nawiązania kontaktu z publicznością

Władysław Wilgusiewicz

Lwowianie na Politechnice Śląskiej (c.d.) II

W wyniku stosunkowo ostrej selekcji oraz z innych powodów liczba studentów w mojej grupie dość szybko malała i na ostatnim roku studiów pozostało nas ok. 70 osób. O kilku kolegach, którzy uzyskali tytuły profesorów Politechniki Śląskiej już wspomniałem, ale nie wykluczam, że w późniejszych latach liczebność tej grupy wzrosła i mogli w niej znaleźć się również koledzy, którzy w trakcie studiów lub po ich ukończeniu wyjechali ze Śląska do innych regionów kraju lub za granicę.

W gronie najbliższych kolegów znaleźli się przede wszystkim ci, którzy uczęszczali ze mną we Lwowie do szkoły powszechnej lub do XII Gimnazjum, a także ci, którzy urodzili się we Lwowie lub na Kresach Południowo-Wschodnich i w byłym woj. lwowskim. Szczególne związki łączyły mnie z doc. dr. inż. Władysławem Łukaszkiem, z którym uczęszczałem przez 6 lat do Szkoły Powszechnej im. Ks. Kordeckiego, a następnie przez 3 lata do XII Gimnazjum. Po ukończeniu studiów w 1951 r. był on długoletnim pracownikiem naukowym na Wydziale Mechaniczno-Energetycznym Politechniki Śląskiej i jest uznanym specjalistą w dziedzinie energetyki jądrowej. Moimi kolegami gimnazjalnymi ze Lwowa byli m. in. Marian Bajda, który rozpoczął studia już w 1945 r., Antoni Borkowski wychowanek Wydziału Chemicznego i Jerzy Niewiadomski wychowanek i później profesor Wydziału Inżynieryjno-Budowlanego.

Kolegami na moim roku studiów na Wydziale Elektrycznym urodzonymi we Lwowie byli m. in. wspomniany już poprzednio Stefan Sokolnicki, pracownik Energopomiaru i Energoprojektu w Gliwicach Ryszard Tomasz i długoletni pracownik Instytutu Metali Nieżelaznych w Gliwicach Leszek Siarzewski zmarły przedwcześnie w 1995 r.

Do bardzo bliskich mi kolegów z mojego roku studiów należeli kresowiaczy Zbigniew Braszka, dyrektor EI Chorzów zmarły nagle w 1972 r., Edward Waniewski wieloletni pracownik Instytutu Metali Nieżelaznych w Gliwicach, a także Wiesław Rychlicki i Jan Szubra. O nich wspominam szczególnie, ponieważ wspólnie wykonaliśmy w 1951 r. pracę dyplomową pod kierunkiem prof. L. Nehrebeckiego i byliśmy długoletnimi pracowni-

Uwaga! Uczestnicy poprzednich edycji nie mogą wykonywać tych samych utworów (przy występach konkursowych).

Organizatorzy przewidują nagrody i wyróżnienia dla instruktorów i autorów nowych tekstów, związanych z Festiwalem czy Węglińcem.

Karta zgłoszenia winna zawierać:

Wykonawca z adresem do korespondencji, ilość uczestników.

Teksty utworów prezentowanych na Festiwalu z autorem i kompozytorem muzyki.

Nazwisko opiekuna – instruktora.

Potrzeby techniczne do występu.

Mile widziane będą ewentualne nagrania zgłoszonych utworów.

DO ZOBACZENIA W WĘGLIŃCU!

Alfred Janicki – prezes Oddziału w Węglińcu

kami byłych Zakładów Energetycznych Okręgu Południowego w Katowicach.

Na szczególne wspomnienie zasługuje z tej grupy Jerzy Łukosi urodzony w 1928 r. w Stanisławowie. W 1940 r. został on wywieziony do Kazachstanu i przeszedł się do armii gen. Andersa. Do kraju powrócił w 1945 r. Po ukończeniu studiów pracował przez kilka lat w Bielsku i zmarł wskutek chorób nabytych w okresie okupacji. Jego ojciec Kazimierz był oficerem Wojsk Polskich, uczestniczył w walkach 1914-1919, a do 1939 r. był dowódcą wojskowych formacji kresowych do stopnia generała młodszy. W 1939 r. dostał się do niewoli radzieckiej i zginął w 1940 r. w Starobielsku.

W latach 1945-1960 na Wydziale Elektrycznym znalazła się dość liczna grupa kolegów urodzonych we Lwowie, ale studiujących nie na moim roku studiów. Jednym z nich jest Jan Longchamps de Berier urodzony w 1928 r., długoletni pracownik Energopomiaru Gliwice. Jego ojciec Roman, wybitny profesor prawa na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie oraz trzej starsi bracia Bronisław, Zygmunt i Kazimierz zostali zamordowani przez Niemców w dniu 4 VII 1941 r. na Wzgórzach Wuleckich w grupie wybitnych lwowskich uczonych. Kazimierz Longchamps był moim kolegą gimnazjalnym w 1939/40 r., a starsi dwaj bracia byli absolwentami Politechniki Lwowskiej. Koleżanka Jadwiga Podgórska rozpoczęła studia już w 1945 r. i po ich ukończeniu pracowała w śląskiej energetyce, a od 1959 r. w Technikum Łączności w Gliwicach. Długoletnimi pracownikami śląskiej energetyki byli Marian Sidziński, który urodził się w 1931 r. i zmarł przedwcześnie w 1988 r. oraz Jan Wandycz, który urodził się również w 1931 r., a zmarł w 1989 r. Zasłużonym pracownikiem śląskiego przemysłu elektromaszynowego oraz aktywnym działaczem OZW-SEP Katowice jest Iwo Cholewicki urodzony w 1928 r. Wieloletnim pracownikiem i moim kolegą z pracy w Wojewódzkim Biurze Projektów w Zabrze jest Teofil Wiśniewski urodzony w 1930 r. Adam Irzykowski urodzony w 1929 r. ukończył studia w 1954 r. i był zasłużonym dyrektorem EI. Szombierki i EI. Miechowice.

Zmarł przedwcześnie w 1990 r. W latach 1954-1962 ukończyli studia Aleksander Górski, dyrektor techniczny Zakładu Energetycznego w Gliwicach zmarły w 1986 r., Jerzy Szczepański dyrektor techniczny El. Zabrze zmarły w 1996 r. oraz Alfred Kaziewicz, mój bardzo bliski sąsiad we Lwowie, wieloletni pracownik śląskich biur projektowych i nauczyciel Technikum w Gliwicach.

Do grupy znanych mi kolegów urodzonych we Lwowie i studiujących w tamtych latach na innych wydziałach Politechniki Śląskiej należeli m.in. wychowankowie Wydziału Inżynierii-Budowlanego Stanisław Wysocki, Marian Ślepecki, Marian Mazurkiewicz i wspomniany już Jerzy Niewiadomski.

Stanisław Wysocki urodzony w 1921 r. był moim najbliższym sąsiadem we Lwowie, studia rozpoczął w 1943 r. na Politechnice Lwowskiej ukończył je w Gliwicach w 1947 r. Był długoletnim pracownikiem Inwestprojektu w Gliwicach i aktywnym działaczem podziemia w okresie okupacji. Zmarł w 1999 r.

Wśród wychowanków Wydziału Mechanicznego było bardzo wielu kolegów, z którymi przyjaźniłem się i blisko współpracowałem. Należeli do nich Roman Fedas, urodzony w 1919 r. dyrektor El. Zabrze, a następnie El. Jaworzno II oraz Franciszek Orzechowski urodzony w 1921 r., mój nieco starszy kolega z XII Gimnazjum we Lwowie, długoletni pracownik El. Zabrze, aktywny działacz AK w okresie okupacji Lwowa. Roman Fedas zmarł w 1998 r., a Franciszek Orzechowski w 1999 r.

Stanisław Zakrawacz urodzony w 1925 r. był wieloletnim pracownikiem Biprohu w Gliwicach i nadal pracuje zawodowo. Zygmunt Chelmiński urodzony w 1922 r. był moim starszym kolegą ze szkoły powszechnej i z gimnazjum we Lwowie. Był generalnym projektantem kilku elektrowni w Energoprojekcie Katowice. Zmarł w 1997 r. Dyrektorem El. Blachownia jest Zdzisław Wiącek urodzony w 1935 r. Studia na Wydziale Mechaniczno-Energetycznym ukończył w 1959 r. Wychowankiem Wydziału Mechanicznego z lat 40-ych jest Wiesław Żmudziński urodzony w 1929 r., wieloletni pracownik Biprohu w Gliwicach. Jego małżonką jest wspomniana już siostra prof. Czesława Graczyka Stefania, wychowanka Wydziału Chemicznego. Należy nadmienić, że małżonka prof. Graczyka Maria urodziła się również we Lwowie i w latach 1951-1957 studiowała na Wydziale Inżynierii Sanitarnej Politechniki Śląskiej.

Na innych Wydziałach było kilku moich rówieśników z lat studiów 1946-1951 o kresowych rodowodach, z którymi do chwili obecnej utrzymuję bardzo bliskie kontakty przyjacielskie i zawodowe.

Należą do nich moi koledzy:

- Leszek Skrzypek, pracownik i mój kolega z pracy w El. Zabrze i w byłym Południowym Okręgu Energetycznym w Katowicach (PdOEn). W trudnych latach 80-tych pełnił odpowiedzialną funkcję dyrektora technicznego tego zakładu;

- Stanisław Moskał, długoletni pracownik ZBPE Energopomiar w Gliwicach wybitny specjalista w dziedzinie pomiarów ciepłych kotłów energetycznych;

- Józef Owsiak, pracownik Biprohu w Gliwicach, generalny projektant kilku obiektów energetycznych w hutnictwie;

- Janusz Korzeniowski, długoletni pracownik BSiPE Energoprojekt Gliwice, generalny projektant kilku elektrowni i elektrociepłowni;

- Bolesław Jurkiewicz, pracownik i mój kolega z pracy w Wojewódzkim Biurze Projektów w Zabrzu, wybitny specjalista w dziedzinie ciepłownictwa.

Kol. B. Jurkiewicz był wychowankiem Wydziału Inżynierii-Budowlanego, a następnie Wydziału Inżynierii Sanitarnej. Pozostali koledzy byli wychowankami Wydziału Mechanicznego.

Wykaz wszystkich dotychczas przypominanych wychowawców i kolegów jest oczywiście niekompletny. Wyrażam przekonanie, że ktoś z Czytelników niniejszych wspomnień podejmie się ich uzupełnienia o dalsze nazwiska i interesujące informacje, a także o sprostowanie ewentualnych pomyłek i nieścisłości, które mogłem popełnić z różnych powodów.

Po pierwszym roku naszych studiów nastąpił podział na dwie grupy: silnopiętrową (elektroenergetyczną) i słabopiętrową (radio- i teletechniczną). Po drugim roku studiów nastąpił kolejny podział grupy silnopiętrowej na trzy podgrupy specjalizacyjne: elektrownie, sieci elektryczne i maszyny elektryczne. W wyniku tych podziałów i ogólnego zmniejszenia się liczby studentów Wydziału Elektrycznego więzi koleżeńskie uległy również znacznemu ograniczeniu, a wzrastały natomiast silne powiązania i przyjaźnie w poszczególnych podgrupach specjalizacyjnych, liczących zaledwie po kilkanaście osób. Ja wraz ze wspomnianymi już kolegami Janem Szubrą i Wiesławem Rychlickim znalazłem się w podgrupie elektrownianej. Uchodziła ona za nieco trudniejszą ze względu na dość duży udział wykładów i ćwiczeń z zakresu techniki cieplnej. Nasze przygotowanie teoretyczne do podjęcia pracy w energetyce po ukończeniu studiów było zadowalające dzięki wspaniałym i doświadczonym wykładowcom i ich współpracownikom. Nabycie praktycznych umiejętności było natomiast możliwe dopiero po kilku latach pracy zawodowej na odpowiednim stanowisku, a przede wszystkim pracy pod kierunkiem energetyków o wielkim doświadczeniu i odpowiednich predyspozycjach.

Pierwsze lata mojej pracy zawodowej były pod tym względem korzystne, choć ówczesna sytuacja gospodarczo-społeczna w kraju nie była łatwa.

Pracę rozpocząłem w 1949 r. jeszcze w trakcie studiów, a moim pierwszym zakładem pracy była El. Zabrze, która znajdowała się wówczas w trakcie odbudowy ze zniszczeń po demontażu urządzeń dokonanych w 1945 r. przez wojska sowieckie. Po uzyskaniu dyplomu w końcu 1951 r. otrzymałem nakaz pracy w ówczesnym Zjednoczeniu Energetycznym Okręgu Górnośląskiego w Katowicach, przekształconym później w Południowy Okręg Energetyczny (PdOEn – Katowice). Zarówno w El. Zabrze jak i w byłym PdOEn zetknąłem się i pracowałem pod kierownictwem bardzo doświadczonych i wymagających, ale też wyrozumiałych zwierzchników. Wielu z nich wywodziło się ze Lwowa i Kresów Wschodnich i było wychowankami Politechniki Lwowskiej. Należeli do nich członkowie kierownictwa: Maksymilian Lech, Bolesław Bartoszek, Zbigniew Skopec i Władysław Bohosiewicz, a także kierownicy Działów i Służb Technicznych: Władysław Walloni, Tadeusz Brück, Bronisław Lis, Aleksander Wilczek, Jan Trojak, Roman Sobek, Seweryn Seligman i inni. Niektórzy z nich przeszli później do pracy w Zjednoczeniu Energetycznym w Warszawie i objęli tam kierownicze stanowiska. W Zjednoczeniu tym pracowało wówczas również wielu wycho-

wanków Politechniki Lwowskiej, a m. in. Zdzisław Wojtaszek, Jakub Mandel, Tadeusz Nikiel, Jerzy Mozer i wielu innych.

W terenowych Zakładach Energetycznych i w elektrowniach podległych PdOEn, a także w innych zakładach i biurach ściśle współpracujących z PdOEn byli również zatrudnieni liczni wychowankowie Politechniki Lwowskiej, a później także Politechniki Śląskiej o rodowodach lwowsko-kresowych. Do grona tego należeli m. in. Bronisław Kryszczukajtis i Romuald Wrześniowski (organizatorzy i dyrektorzy Przedsiębiorstwa Energomontażowego w Chorzowie), Adam Bratro i Bronisław Turyn (Energoprojekt), Henryk Wiśniewski, Henryk Olejarsz, Stanisław Rosiński, Bronisław Zubik, Ludwik Piniko, Witold Sobotkowski (ZBPE Energopomiar Gliwice), Alfred Topola (ZE Gliwice), Bogusław Szczepański, Tadeusz Golarz, Witold Zyk, Wacław Felczyński i bardzo wielu innych.

Należy podkreślić, że niektórzy wychowankowie Politechniki Lwowskiej byli asystentami i pracownikami naukowymi tej Uczelni przed 1939 r., a także wykładowcami Politechniki Śląskiej po 1945 r.

Moimi pierwszymi zwierzchnikami w PdOEn, którym zawdzięczam najwięcej w przygotowaniu do pracy zawodowej byli Władysław Walloni i Roman Sobek. Z pełnym przekonaniem stwierdzam, że to właśnie oni jak również inni wychowankowie Politechniki Lwowskiej z którymi zetknąłem się w latach pracy w PdOEn przynieśli na nas, młodych energetyków specyficzny wpływ tej zasłużonej Uczelni.

Ten bardzo ważny aspekt wychowawczy nie został w tytule niniejszych wspomnień wyeksponowany, ale wynika to z jego umowności i zwięzłości. Życiorysy wielu z tych energetyków-lwowiaków były bardzo interesujące, a często i tragiczne. Wielu z nich aktywnie uczestniczyło w działaniach wojennych w latach 1939-1945 i w walce podziemnej. Przykładowo podaję, że Bronisław Turyn został wywieziony na Sybir i wrócił do kraju dopiero po 15 latach.

Jakub Mandel był przed 1939 r. pierwszym polskim inżynierem w Zakładach Elektro w Łaziskach i również był deportowany do Związku Sowieckiego. Władysław Bohosiewicz urodził się w 1905 r. w Czortkowie i jest obecnie jednym z nestorów polskiej energetyki i aktywnym działaczem SEP. Wacław Felczyński i jego rodzina są obecnie właścicielami ludwisarni w Gliwicach. Pierwsza ludwisarnia Felczyńskich została założona w 1808 r. w Kałuszu i tradycje te przetrwały w tej rodzinie nieprzerwanie do chwili obecnej.

Przyjęte w tytule określenie „lwowanie” należy traktować umownie, ponieważ odnosi się ono nie tylko do osób urodzonych we Lwowie. Specyficzny i niepowtarzalny urok Lwowa sprawiał, że każdy, kto choćby tylko przez kilka lat przebywał w tym mieście i stykał się z jego rodowitymi mieszkańcami, ulegał jego swoistemu czarowi i stawał się również „lwowianinem”. Potwierdzeniem tego jest to, że znaczna większość przypominanych profesorów i wychowanków Politechniki Lwowskiej pochodziła z różnych regionów kraju, a nawet z zagranicy, ale uważali się oni i byli traktowani jako „lwowanie”.

Jak podano we wstępie Politechnika Lwowska po 1945 r. stała się „macierzą” 31 powojennych uczelni polskich. Do grona najwybitniejszych naukowców, którzy związali się z innymi uczelniami niż Politechnika Śląska należeli profesorowie:

- Kazimierz Kopecki urodzony w 1904 r. wychowanek Politechniki Lwowskiej, wybitny specjalista w dziedzinie ciepłownictwa i ekonomiki energetyki, od 1945 r. związany z Politechniką Gdańską;

- Kazimierz Idaszewski urodzony w 1878 r., profesor Politechniki Lwowskiej w latach 1903-1944 i Politechniki Wrocławskiej od 1945 r. do 1960 r.

- Paweł Jan Nowacki urodzony w 1905 r. Wychowanek i wykładowca Politechniki Lwowskiej w latach 1924-1936. Profesor Politechniki Warszawskiej od 1947 r. Wybitny specjalista w zakresie energetyki jądrowej. Zmarł w 1979 r.

- Roman Podoski urodzony w 1873 r. Wychowanek Politechniki Lwowskiej, a następnie Politechniki w Zurichu. Profesor Politechniki Warszawskiej w latach 1918-1954. Wybitny specjalista w dziedzinie trakcji elektrycznej.

- Dzierżbicki Stanisław urodzony w 1910 r. W latach 1928-1937 był wychowankiem, a następnie asystentem na Politechnice Lwowskiej. W latach 1945-1980 był profesorem Politechniki Łódzkiej.

Dla pełniejszego poznania wszystkich postaci, które zostały wymienione byłoby wskazane podanie choćby zwięzłych ich życiorysów i ważniejszych osiągnięć i zasług. Nie pozwala na to przyjęty układ i ograniczona objętość niniejszych wspomnień, które i tak zawierają wzmianki dotyczące aż ok. 150 osób oraz nadmiar niektórych zbyt szczegółowych informacji. (...)

Na zakończenie chciałbym poruszyć dwa osobiste, ale ważne dla mnie wątki dotyczące zakończenia przeze mnie studiów oraz postaci prof. Lucjana Nehrebeckiego, wspaniałego wychowawcy i jednego z najwybitniejszych polskich energetyków.

Tematem pracy dyplomowej wykonanej wspólnie ze wspomnianymi już kolegami Wiesławem Rychlickim i Janem Szubrą pod kierunkiem prof. L. Nehrebeckiego było opracowanie dokumentacji inwentaryzacyjnej El. Dajwór w Krakowie oraz koncepcji lokalizacji i budowy centralnej elektrociepłowni dla miasta Krakowa.

Koncepcja ta była skromnym przyczynkiem do projektu zrealizowanej po 1960 r. EC Kraków-Lęg jednego z największych obiektów ciepłowniczych w kraju.

Komisijny egzamin dyplomowy odbył się w grudniu 1951 r., a członkami komisji byli m. in. prof. Stanisław Fryze i prof. Zdzisław Ficki. Nieco później odbył się uroczysty komers naszej grupy z udziałem prof. S. Fryzego, który wszystkich ujął swoją klasą światową niezwykle dowcipnego, a przy tym bardzo życzliwego dla swoich wychowanków.

Otrzymanie dyplomu nr 344/E z datą 22 XII 1951 r. było dla mnie szczęśliwym zakończeniem studiów odbytych w niełatwych latach powojennych.

Prof. Lucjana Nehrebeckiego poznałem już w 1948 r. jako wykładowcę przedmiotów z zakresu urządzeń elektrycznych, a w następnych latach jako mojego promotora i wieloletniego nauczyciela w praktyce inżynierskiej. Był on doskonałym organizatorem i współtwórcą kilku jednostek kierowniczych oraz kompleksowych przedsięwzięć naukowo-badawczych w polskiej energetyce. Pracę naukowo-dydaktyczną potrafił doskonale łączyć z udziałem w naczelnym władzach energetyki, a także z aktywną działalnością autorską i stowarzyszeniową. Na szczególne podkreślenie zasługuje jego umiejętność połączenia praktyki z teorią jak również wymagający, ale wyrozumiały i wręcz opiekuńczy stosunek do współ-

pracowników i wychowanków. O tych wspaniałych cechach Profesora miałem możliwość przekonać się w okresie moich ponad 40-letnich kontaktów z Nim i dlatego uznałem za konieczne w sposób szczególny wspomnieć o Nim i o Jego osiągnięciach, mimo, że nie był związany z Politechniką Łwowską i Lwowem, a jedynie z Politechniką Śląską i Śląskiem. Życiorys Profesora jest bardzo bogaty i interesujący. Urodził się w 1900 r. w miejscowości Lepsińsk (Turkiestan), gdzie jego ojciec pracował jako lekarz.

Dzieciństwo i młodość spędził na Wileńszczyźnie i Ukrainie. Brał udział jako ochotnik w wojnie 1920 r. Po ukończeniu studiów na Politechnice Warszawskiej w 1927 r. osiedlił się na Śląsku i do 1939 r. pracował w energetyce przemysłu węglowego. Uczestniczył w wojnie 1939 r., a okres okupacji spędził w Tomaszowie Mazowieckim pracując również jako energetyk. W śląskiej energetyce rozpoczął pracę już z początkiem 1945 r. obejmując coraz bardziej odpowiedzialne funkcje kierownicze, a równocześnie podjął pracę dydaktyczną na Wydziale Elektrycznym Politechniki Śląskiej. Przez wiele lat kierował także Komitetem Energetyki PAN i aktywnie uczestniczył w pracach kilku instytutów naukowych i jednostek organizacyjnych polskiej energetyki. Dorobek naukowy Profesora jest bardzo bogaty i obejmuje m. in. 200 publikacji i ponad 20 podręczników i skryptów. Był promotorem 20 przewodów doktorskich i habilitacyjnych.

Po 1980 r. osiedlił się w Warszawie, a ostatnim wielkim dziełem Jego życia była Historia Elektryki Polskiej.

Jerzy Zmarz*

Rzymianin znad Pełtwi

Kilkuletnie kontakty z Towarzystwem Historii Medycyny, do którego nieomal przemocą wprowadził mnie kolega Leszka (młody wówczas lekarz świeżo po doktoracie z tejże historii medycyny), miały różny obraz i różne fazy. Wspomnę tylko o jednej. Konfliktu między starymi lekarzami, interesującymi się historią swej profesji i biografiami jej koryfeuszów, a młodymi historykami (nie lekarzami) reprezentującymi zupełnie inne spojrzenie na zadania historii medycyny. Ci młodzi – oczywiście upraszczam zagadnienie – uważają, że zajmowanie się przyczynkami, biografiami, dziejami instytucji medycznych itp. to starzyzna, próchno i strata czasu. Ważne są tylko badania idei, prądów, ich wzajemnego przenikania się, syntezy myśli itd., itp. Chociaż nie zgadzam się z tezą i dyktatem „młodych”, ale, chcąc nie chcąc, nasiąknąłem nieco ich sposobem myślenia.

Stąd też z mniejszą, niżby to w innym czasie miało miejsce, estymą odczytywałem tabliczkę na gabinecie słynnego badacza Cmentarza Łyczakowskiego, nieomal legendarnego opolskiego profesora Stanisława Nicieja: „kierownik zakładu historii najnowszej i BIOGRAFISTYKI”, gdy trafiłem tam w sprawach lwowskich.

„Biografistyki! A więc Ty, młody w stosunku do mnie zjadaczu mądrości, jesteś w istocie, w sensie profesjonalnym, wapniakiem, zakurzonym postumentem. Zajmujesz się BIOGRAFISTYKĄ – czymś, co wywołuje dreszcz obrzydzenia wśród wrocławskich pistoletów, którzy opanowali Towarzystwo Historii Medycyny!”

Miałem wielki zaszczyt uczestniczyć w wielu opracowaniach realizowanych z Jego inicjatywy i pod Jego kierownictwem (...). W 1983 r. Profesor otrzymał zaszczytny tytuł doktora honoris causa Politechniki Śląskiej.

Moje ostatnie spotkanie z Profesorem odbyło się w 1989 r. w El. Opole. Udział w tym spotkaniu wzięła również Małżonka dr Zofia Nehrebecka, prof. Antoni Plamitzer, Józef Pękała, Leszek Skrzypek i inni.

Profesor zmarł w 1990 r. w Warszawie, ale zgodnie z Jego wolą został pochowany na Cmentarzu Centralnym w Gliwicach.

W listopadzie 2000 r. na Politechnice Śląskiej odbyło się uroczyste seminarium z okazji 100-ej rocznicy urodzin i 10-ej rocznicy śmierci Profesora. Wśród referatów wygłoszonych przez Jego wychowanków i przyjaciół znalazł się również nasz referat (...).

Jest oczywiste, że o wielu wspaniałych profesorach i wychowankach Politechniki Łwowskiej i Politechniki Śląskiej zostały już napisane obszerne, źródłowe materiały biograficzne i wspomnieniowe. Sądję jednak, że jeszcze wielu lwowian pozostało w cieniu zapomnienia, chociaż w pełni zasługują na przypomnienie szczególnie przez tych, którzy znali ich osobiście i po wielu latach zachowali ich jeszcze w swojej pamięci. Byłoby dla mnie wielkim zaszczytem i radością, gdyby to moje skromne opracowanie mogło przyczynić się do spisania podobnych wspomnień i wzbogacenia materiałów o lwowsko-kresowych korzeniach śląskich uczelni. □

A ja jednak – z pełną świadomością swej anachroniczności – spróbuję machnąć szkiełką BIOGRAFICZNY. Tak jak ten głupi Jasio, wspomniany przez wszystkich lwowiaków, który ułożył wierszyk kontra stolarzowi Kurkowskiemu: „Pan Kurkowski robi trumny, a ja jemu gówno umyłem”. Mój szkic to protest głupiego Jasia przeciw młodym mądrakom. W dodatku surrealistyczny, bo ani materiałów biograficznych nie mam w komplecie, ani też nie chodzi o medykę.

Po prostu wspominam Piotra Mikołajewicza. Ukraińskiego profesora gimnazjalnego i działacza politycznego, o przedziwnym nazwisku, które tyle lat pamiętam, które tyle lat mnie fascynuje. PRUDYUS Piotr Mikołajewicz. PRUDYUS. Zakończony na „-us”, jak u Rzymianina. Jak „Gracchus”, jak „Petronius” czy „Tyberius”. I po prawdzie, wydawał mi się trochę takim szlachetnym Rzymianinem. Poznałem go w czasie ostrej, wojennej zimy 1939/40, którą przeżywałem z łaski innego szlachetnego Rzymianina – generała Langer’a** – pod słońcem stalinowskiej konstytucji w zaśniewionym i zalodzonej Lwowie. Nasze macierzyste VI gimnazjum było jeszcze zajęte na szpital wojenny, z VII-go na Sokoła wykurzyli nas chyba z braku opału i tak znalazłem się w gimnazjum, zdaje się III-cim, na wałach gubernatorskich, w pobliżu słynnej baszty prochowej, naprzeciw Karmelitów i Namiestnictwa. Historia otaczała nas ze wszystkich stron. Nawet wychowawca klasy nosił w pełni historyczne nazwisko, którego obowiązujący wówczas sowiecki dodatek, „otczestwo”, informował, że jest zapewne synem tej postaci historycznej. SMOLKA Franciszek Franciszkowicz! Ale nie ten siwy, zastraszonego pedagog, pozostał w mojej pamięci, a dynamiczny,

zjawiający się wszędzie i zawsze uśmiechnięty ZAWPED – właśnie Prudyus Piotr Mikołajewicz. ZAWPED to uroczy skrót od trzyczłonowej nazwy funkcji „Zawidujuszczyj pedagogiczeskij” czyli jakby zastępca dyrektora do spraw pedagogicznych.

Prudyus robił wrażenie człowieka, który osiągnął życiowe cele, którego wszystkie marzenia się spełniły. Lwów został oficjalnie miastem ukraińskim. Wszystkie władze – ukraińskie. W urzędach – tylko po ukraińsku. Polacy – odsunięci w cień. „Polski pany!” – z władców stali się dziadami. Z foteli wojewodów, dyrektorów i starostów zjechali do straganów na pl. Św. Antoniego, stali ze swoimi żaloznymi manelami na Krakidałach i przymilali się do towarzyszy kupujących zegarki. Trochę pewnie euforię Prudyusa przyćmiewał fakt, że flagi na ratuszu nie były „sino-żółte”, że maszerujące wojsko nie miało na czapkach tryzubów, a komendy padały w czystej ruszczyźnie. Ale, co tam! Niech będzie i radziecka Ukraina, byle nie Polska! Więc zawped, uśmiechnięty i promienny, wpadał na lekcje wychowawcze, zachwalał nam władzę radziecką, wskazywał, jaka jest mądra i przewidująca. Ale nie czuliśmy o to żalu. Nie chelpił się, kim to jest, czuliśmy, że nawet nam – jako Polakom – trochę współczuje. Mówił po polsku, choć nie musiał. Dziś powiedziałoby się, że traktował uczniów po partnersku. To dziwne – myślałem – że można Ukraińca polubić. Tak, wydawał mi się coraz bardziej sympatyczny. To prawdziwy ideowiec – myślałem. Wszystko co mówił było przepojone wiarą, było szczere. On nie odbębniał tematów. To bojownik lepszego jutra! Koszmarna zima zbliżała się do upragnionego końca. Wiosną wróciłem do szóstej budy na Łyczakowskiej. Straciłem z oczu ukraińskiego Rzymianina i nobliwego potomka Franciszka Smolki. Dni biegnęły jeden za drugim jak charty, pochłaniały mnie sprawy i drobne, i poważne. Stało się w kolejkach, bzikowało na lekcjach Sary Wolfownej, drżało, gdy w nocy zajechała gdzieś ciężarówka, w lecie biegano się na krytą pływalnię i tak dalej. Przeszła jeszcze jedna zima i wiosna.

Nadszedł czerwiec 1941, znowu bomby, znowu całe dnie w piwnicy. Na cofające się Łyczakowską na wschód oddziały sowieckie posypały się nie tylko pociski artyleryjskie przeciwnika. Z okien i dachów domów padały zdradzieckie strzały. „Zdradzieckie”? Bo – jak później się dowiedziałem – pochodziły od Ukraińców. Tych samych, których tak forowała władza radziecka i jej lwowska personifikacja – Chruszczow. Pierwsi Niemcy, którzy wkroczyli do Lwowa – to nie byli żadni Niemcy. To byli Ukraińcy w niemieckich mundurach. Szaleli z radości pod sino-żółtą flagą, którą zatknęli na ratuszu. Po kilku dniach pojawili się policjanci ukraińscy. Skąd od razu wyrwali mundury? Bo mieli własne, czarne, z furażerkami i tryzubami. Dziś myślę, że były to mundury przerzucone z Generalnego Gubernatorstwa, w którym policja ukraińska już trzeci rok działała.

Przez Lwów przewalały się na Wschód wojska najróżniejszej proveniencji. Kogo tam nie było! I włoskie, i rumuńskie, i węgierskie, i słowackie, i chorwackie. „Deutschlands Sieg, Europas Freiheit” darty się uliczne hasła. A w tym rozgardiaszu ktoś zaczął robić coś, czego jeszcze nieokrępie władze niemieckie nie były w stanie i czego zapewne tak na hurra nie planowały. „Ktoś” zaczął po prostu wywozić mniejsze i większe grupy lwowskich Żydów na piaskownicę, za górnym

Łyczakowem, i mordować. Piszę „ktoś”, bo w dzisiejszej historiografii (jest r. 1995) głucha na ten temat cicho. Owszem, jest o lwowskim getcie i jego zagładzie, ale to sprawy znacznie późniejsze. A o tych „ochotnikach”, którzy mimo tylu zajęć i obowiązków, chcieli zadać sobie trud, by wyręczyć potężnych sojuszników – cicho. Jeszcze bardziej cicho niż o 500 000 Polakach z Wołynia i Galicji, którzy „wyparowali” z tego padołu płaczu, no bo jak inaczej, gdy UPA i Bulbowcy to teraz superdemokraci i patriotyczni rycerze bez skazy. Ale tak się paskudnie składa, że widziałem na własne oczy, kto wioził pokrytymi plandeką ciężarówkami Żydów na górny Łyczaków i wracał pusto, by jeszcze raz obrócić. Wiozła ich ukraińska policja. Ta umundurowana na czarno. Tak, to koszmarnie. Ale co to ma wspólnego z profesorem ukraińskim o rzymskim nazwisku? Z miłym, uśmiechniętym „zawpedem”, który tak szczerze chwalił władzę radziecką? Któregoś upalnego dnia trafiłem aż na pocztę główną, na Słowackiego, która tyle miłych wrażeń dostarczała mi „za Sowietów” (wypraszałem tam od uchodźców z zach. Europy znaczki z listów otwieranych na poste-restante). Koło okienek poste-restante było pustawo. I jeszcze na dobytek złego przy jednym stał policjant, oczywiście ukraiński, obrócony tyłem. Skupiłem na nim uwagę. Zaskoczyła mnie wysoka ranga – miał dystyngcję pułkownika. Ho, ho – trafiłem na szefa! Lepiej mieć się od takiego z daleka. Byłem już dość daleko od pułkownika, gdy ten, widocznie zakończywszy rozmowę z urzędniczką obrócił się i zaczął iść w moją stronę. Nie, niemożliwe! A jednak to prawda!

W moją stronę, zresztą zamyślony i nie widzący mnie, szedł Piotr Mikołajewicz. Skoro Rzymianin, to w randze centuriona. Przeszedł i tyle tego zdarzenia. Błysnęły tylko wypolerowane na glanc oficerki.

Byłem wtedy młodym chłopakiem. Naiwnym? Na pewno. Więc przeżywałem dłuższy czas to spotkanie. Pedagog, przedwojenny profesor, wreszcie jakby komunista – w mundurze faszystowskich morderców. I co, czy coś się stało? Czy zaważyło się oszklone sklepienie dużej sali pocztu głównej?

Przeleciało czterdzieści lat. Ładny kawałek czasu. Któregoś dnia dziwny z początku telefon – aż z Gliwic. Dzwoni – jak się okazuje – mój serdeczny kiedyś kolega ze szkoły, Edek Szarawara. Za kilka dni przyjeżdża. Goszczę go dwa dni. Wypija wszystkie darowane koniaki. Opowiada przeróżne historie ze Lwowa. Między innymi bardzo groźne wydarzenie z czasów okupacji niemieckiej, gdy chodził wraz z innymi moimi kolegami do szkoły zawodowej chemicznej na Piekarskiej. Gdy po lekcjach wyszli przed szkołę (była na zapleczu OO. Zmartwychwstańców), ktoś rzucił – zapewne przypadkiem – w przechodzącego Niemca. Niczym groźnym, jakąś czapką, ale reszta wybuchnęła śmiechem i Szwab zaczął szaleć. Zatrzymał całą grupę uczniów, przez innego Szwaba wezwał policję i zjawił się oddział Ukraińców. Na jego czele był... Prudyus! Szwaba uspokoił i odprawił, uczniów miał zamiar załadować do ciężarówki. I wtedy ktoś z naszych podszedł – poznał go – i zaczął prosić.

„Panie profesorze, przecież pan nas uczył! My pana tak dobrze wspominamy! Niech pan nam pomoże! Nikt nie chciał tego Niemca obrazić!”

Prudyus rozejrzał się, krzyknął kilka razy donośnie: „Los, los! Sidaty na maszynul!” – ale gdy Niemcy ode-

szli, już półgłosem, po polsku: „Wiecie chłopaki. Szybko!”. Po chwili nie było nikogo. Ciężarówka z Prudysem odjechała pusta.

I tak, po czterdziestu latach, jestem głupi jak tabaka w rogu. Piotrze Mikołajewicz! Jest pan na pewno od dawna w zaświatach. Nie chodzi mi o zgadywanie, co się z panem stało. Ale chodzi mi o odpowiedź na pytanie, kim pan był.

6/7 stycznia 1995

Tadeusz Ciupryk

Ocalony z lwowskich „Brygidek”

Minęło już 60 lat od pamiętnych wydarzeń czerwca 1941 r. 22 czerwca Niemcy rozpoczęły agresję na Związek Sowiecki. Miałem wtedy 21 lat. Jestem lwowianinem. Mieszkaliśmy przy ul. Kurkowej 41 w niewielkim domku na posesji należącej do zakonu SS Franciszkanek, tuż przy kościele należącym do tegoż zakonu. Część sióstr, ok. 45, była zamknięta w klasztorze. Sam kościół oraz przyległe zabudowania (dwupiętrowa kamienica i cieplarnia) obsługiwało 5 sióstr pełniąc rolę administracyjne i zaopatrzeniowe. Połączona z kościołem kamienica była zamieszkała przez starsze siostry, krewne sióstr oraz księdza Sokółowskiego odprowadzającego w tym kościele nabożeństwa.

Rozpoczęło się bombardowanie Lwowa. Na miasto ruszyły oddziały sowieckie strzelając do wszystkich i wszystkiego. Wyjście na miasto równało się zagrożeniu życia. Szczególnie ciężkie bombardowanie miasta miało miejsce w środę 25 czerwca. Postanowiliśmy, moja mama i ja, schronić się w piwnicy budynku przykościelnego. Była w przybliżeniu godz. 12-ta. W pewnej chwili podeszła pod kościół grupa sowieckich żołnierzy. Rozpoczęła ostrzeliwanie witraży kościelnych. Posypało się szkło, kiedy wezwany ksiądz udowodnił im, że od strony kościoła nikt strzelać nie mógł (brak zabudowania dla chóru – organy i chór znajdował się po drugiej stronie ołtarza), zapytali księdza, kto z mężczyzn mieszka w budynku przylegającym do kościoła. Ksiądz – zgodnie z prawdą – odrzekł, że prócz niego tylko same kobiety. Nie uwierzyli. Zaczęli sprawdzać i tak w piwnicy znaleźli oprócz mnie, mego kolegę Jurka Steina (razem zdawaliśmy maturę w VIII gimnazjum w 1939 r.), który przyszedł w odwiedziny do jednej z pań z kolegą, krewnym tej pani.

„Wy strelali do Krasnoj Armii” oświadczyli skończono wojny i mimo licznych tłumaczeń, błagań zabrali nas ze sobą. Wiedzieliśmy, że to oświadczenie oznacza wyrok śmierci. Ratunku nie mogliśmy się spodziewać z żadnej strony. Ustawili nas pośrodku grupy i ze skierowanymi w naszą stronę karabinami z długimi bagnetami zaprowadzili nas na teren odległego o 50 m zakonu SS Józefitek. Tuż za bramą wejściową, po lewej stronie, znajdował się mur, pod którym postawiono nas – a było nas sześciu – skazańców. Naprzeciwko, w odległości ok 3 m ustawił się pluton egzekucyjny. Zostały wydane pierwsze rozkazy. Zobaczyłem, jak żołnierze wymierzili w naszą stronę karabiny. „Komandir” podniósł rękę. Od śmierci dzieliły nas setne sekundy. Przymknąłem powieki. Pomyślałem, że żal ginąć w tak młodym wieku.

* – Lekarz, absolwent AM we Wrocławiu.

** – To złośliwość. Wprawdzie generał Langer, dowódca Obrony Lwowa we wrześniu 1939, rzeczywiście skapitulował przed Armią Czerwoną jako reprezentantką „naszych słowiańskich braci”, a nie przed Niemcami, ale dzisiaj wiemy, że gdyby uczynił inaczej i tak Lwów na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow zostałby przekazany przez Niemców Sowietom. Może tylko mniej oficerów podległych gen. Langerowi trafiłoby do Katynia, tego symbolu ówczesnego słowiańskiego braterstwa. □

I nagle posłyszałem gdzieś, tuż blisko, terkot karabinu maszynowego. Otworzyłem oczy zdumiony, że nawet nie zostałem draśnięty kulą i oto co ujrzałem! Nasi prześladowcy, jak jeden mąż, leżeli na ziemi. lecz nie kule, lecz strach powalił ich na ziemię. Myśleli zapewne, że jakiś oddział partyzancki do nich strzela. Niedługo myśląc zaprowadzili nas na posterunek milicji, znajdujący się tuż za strzelnicą Bractwa Kurkowego. Odstawili nas bez zbędnych formalności z jednym tylko uzasadnieniem „strelali do Krasnej Armii”. Posadzono mnie w celi znajdującej się w piwnicy budynku. Pierwszą rzeczą, na którą zwróciłem uwagę, był duży napis wyryty na ścianie: „Boże ratuj nas bośmy niewinni” i podpis Karol Begaj. Podobno złapano go na Kajzerwaldzie. Obserwowałem przez lornetkę walki napowietrzne i posadzono go o szpiegostwo. Był to znany lekkoatleta lwowskiej Pogoni.

Po nieprzespanej nocy, głodni – nasi opiekunowie za odpowiednią cenę kupili nam następnego dnia rano, dobrze solone śledzie, nie podając nic do picia. Nie skorzystałem.

W czwartek przed południem odwieziono nas do słynnego ówczesnego więzienia zwanego „Brygidkami”. Ciężkie, duże, żelazne bramy zamknęły się za nami. Pomyślałem, cud zdarza się tylko raz. Stąd ucieczki być nie może. Po zabraniu nam rzeczy osobistych najbardziej żałowałem indeksu Instytutu Weterynarii, którego byłem studentem. Następnie poprowadzono nas przez podwórze na prawo na ukos od wejścia do budynku. Szliśmy z rękoma podniesionymi do góry, obok mnie szedł jakiś lejtnant patrząc co chwila na moją lewą rękę, na której znajdował się zegarek otrzymany od ojca za zdaną maturę. Spoglądał to na zegarek, to na mnie, mile się uśmiechając. Pomyślałem, co mi po zegarku. Zdjąłem go i dałem oficerowi. Uśmiechnął się, zatrzymał oddział i niemal z honorami wprowadził mnie do drugiej z kolei celi, gdzie już znajdowało się 40-50 osób. Znaczenie później doszedłem do przekonania, że może ten zegarek uratował mi życie. Najbliżej mnie znajdował się ksiądz franciszkanin, z którym niemal się zaprzyjaźniłem. W ciągu dnia wprowadzano do celi młodych dezertów, których nocą wyprowadzono, wiadomo, w jakim celu. Nie było mowy o podawaniu posiłków czy wody.

W sobotę 28 czerwca nie słyszeliśmy kroków strażników więziennych. Około godz. 7-ej ktoś przekręcił klucz w zamku drzwi celi, uchylił drzwi i powiedział „jesteście wolni, uciekajcie”. Nikt w celi nie zareagował, podejrzewając, że to może być podstęp. Ruszyłem pierwszy. Pierwsza cela była pusta, zaś więźniowie za-

atakowali magazyn środków spożywczych znajdujący się na końcu korytarza. Skręciłem w lewo na korytarz prowadzący na podwórze. Żadnych strażników, na podwórzu spokojnie, brak żywej duszy. Popędziłem w stronę głównego wyjścia. Brama była zamknięta. Zająłem do pomieszczeń biurowych, gdzie ujrzałem nieprawdopodobny bałagan. Biurka, stolki przewracane, na podłodze stosy różnych dokumentów. Ku mojej radości odnalazłem mój indeks studenta Instytutu Weterynarii. Za moment ujrzałem pana w średnim wieku, który szybkim krokiem podążył w stronę bramki w murze okalającym więzienie od strony północnej. Otworzył tę bramkę, wyszedł. Pobiegłem w tę stronę. Furtka była otwarta. Instynkt mi podpowiadał, uciekaj z tego miejsca – tu nie jest bezpiecznie. Na ulicach pusto. Przyspieszonym krokiem udałem się w stronę miejsca zamieszkania. W połowie ulicy Kurkowej stały jeszcze oddziały sowieckie. Przeczekałem u brata, który mieszkał na po-

czątku ulicy, aż odjechały. Ten człowiek, który wyszedł z więzienia przede mną, był prawdopodobnie tym, który dużo ryzykując wszedł do więzienia, by ratować uwięzionych. Ilu więźniom udało się opuścić to niegościnnie miejsce zależało od tego kiedy, o której godzinie nadeszły oddziały mające na celu likwidację więźniów. O tym mogliby powiedzieć mieszkańcy ulicy, przy której stał mur więzienny.

Stawiamy krzyże zamordowanym na Wschodzie Polakom. Odnajdujemy wciąż nowe groby bestialsko pomordowanych. Śmierć tylu tysięcy Polaków w środku dużego miasta, niemal na oczach mieszkańców, pozostaje wciąż „białą plamą”, jak pisze J. Janicki w swojej książce „Nima jak Lwów” na stronie 202. Dlaczego teraz w wolnej Polsce temat bestialsko pomordowanych w więzieniach lwowskich jest tematem tabu? Nie słyszałem o jakichkolwiek wynikach dochodzeń w tej sprawie. Skąd ta zмова milczenia? □

KRESOWE MIASTA

Beata Oziembłowska

Tuligłowy

Tuligłowy to miejscowość rodzinna moich dziadków. Tu przysła na świat moja Mama.

Wiele słyszałam o Tuligłowach w dzieciństwie. Do dziś chętnie słucham opowiadań mojej 90-letniej Babci o wydarzeniach Jej dzieciństwa i młodości i czytam spisane wspomnienia Tuligłowian.

Dziadkowie zaszczepili i we mnie miłość i nostalgię do tego, co utracili bezpowrotnie. I choć znałam Ojcowiznę tylko ze wspomnień Dziadków (Mama nie pamięta tego okresu, bo wyjechała z rodzicami jako dwuletnie dziecko), zapalona ich miłością zapragnęłam przynajmniej raz zobaczyć to, za czym Oni tak mocno tęsknili, co zostało im zabrane – Dom Rodzinny. Babcia Magdalena do tej pory wspominając mówi: „U nas w Domu...” – takiego określenia w odniesieniu do miejsca, w którym teraz żyje i spędziła większą część swego życia, raczej nie słyszałam. Odniesie można wrażenie jakby żyła dotąd niejako na obczyźnie...

Wieś Tuligłowy leży nad potokiem Łukacz w dolinie Dniestru, 49 km na południowy zachód od Lwowa między Rudkami (14 km) – miastem rodzinnym Aleksandra Fredry a Komarnem (5 km) – sławnym ze zwycięstwa króla Jana Sobieskiego nad Turkami.

Parafia pw. Św. Doroty w Tuligłowach należała przed wojną do diecezji przemyskiej. W skład parafii wchodziły również miejscowości: Hołodówka, Koniuszki Królewskie, Koniuszki Tuligłowskie oraz Krukawiec, Malinów, Nowa Wieś, Jasionów i Susulów.

Wieś zamieszkiwało 3010 Polaków (763 domy) – nie było tu w zasadzie rodzin innych narodowości. Słownik geograficzny z 1902 roku podaje, że przed rokiem 1890 mieszkało tu również 22 Żydów, 1 Rusin i 7 Niemców. Ludność w Tuligłowach zajmowała się głównie uprawą roli, ale byli też stolarze, kołodzieje, kowale, tkacze, cieśle, murarze, młynarze, rzeźnicy, masarze, rzeźbiarz, olejarz. Istniała też, znana w całej okolicy, orkiestra wiejska (grał w niej na klawecie brat mojej Babci).

Ludność była bardzo zintegrowana, zwłaszcza w czasie II wojny światowej. Zнали się prawie wszyscy, ale dla odróżnienia poszczególnych rodzin, używano częściej przydomków niż nazwisk, np. Radoha, Nazarka, Ciekawy, Kucy, Kluska, Sijaka itp.

W środku wsi było centrum życia – tu stał murowany kościół parafialny, szkoła, poczta, mleczarnia, sklepy i karczma.

W Tuligłowach w 1853 roku urodził się jako syn miejscowego organisty Julian Fałat – wybitny polski akwarelista, późniejszy rektor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Artysta w swoich „Pamiętnikach” pisze tak o własnym dzieciństwie: „W epoce tej zaczynają już formować się w moim umyśle, niesłychanie wyraźnie, obrazy wsi rodzinnej, Tuligłów. Najplastyczniej zarysowują się wrażenia z pory wiosennej. Po przymusowym zamknięciu w domu przez długą i mroźną zimę, tym skwapliwiej wyrwałem się za pierwszym podmuchem wiosny, czy to do ogrodu, czy na stawy, aby nacieszyć się do woli tą cudowną porą roku. Szczególnie ciągnęły mnie wtedy do siebie oczerety i szuwały ogromnego stawu, znajdującego się pośrodku wsi. Zaledwie oswobodzone z zimowej pokrywy, jeszcze pogmatwane i zmieszane śniegiem, wychylone z toni wód szafirowych i niebieskich, dawały rudawe oczerety przytułek tysiącom dzikich kaczek, łysek, kurek wodnych – wszelakiemu wodnemu i błotnemu ptactwu przybyłemu z południa. Na ten widok zawsze bezbrzeżna radość przepełniała mą duszę... Moja wieś rodzinna, z rozlanymi szeroko, błękitnymi wodami stawu, z niesłychanie malowniczym położeniem wsi, kościoła, typowo polskiego dworu, była jakby stworzona na to, aby wychować polskiego malarza.”

Krajobraz Tuligłów, nieco zmieniony od czasów dzieciństwa Fałata (nie ma już między innymi ogromnego stawu pośrodku wsi i starych lip przy kościele), zachował swój niepowtarzalny urok. Miałam okazję tego doświadczyć prawie dwa lata temu, gdy po raz pierwszy ujrzałam Tuligłowy. Rzeczywiście miejscowość przepięknie położona w kształcie podkowy na pagórkowatym

terenie ma dużo więcej uroku niż podwrocławskie miejscowości leżące na równinie (tu zamieszkali moi dziadkowie). Gdy po raz pierwszy jechałam ze Lwowa do Tuligłowa i mijalam znane mi z nazwy miejscowości, zwłaszcza Buczały, gdzie Tuligłowie czekali przez miesiąc pod gołym niebem na transport kolejowy w nieznanym, ogarniętym mnie dziwne wzruszenie. Jako wnuczka po ponad 50-ciu latach niebytności tutaj moich przodków przemierzałam miejsca, po których Oni stąpali, gdzie tyle przeżyli...

Z mieszanymi uczuciami podążałam do domu wskazanego przez jednego z mieszkańców, gdzie mieszkał prawosławny duchowny; chcieliśmy bowiem zobaczyć wnętrze kościoła.

Balam się jego reakcji – katolicy i na dodatek Polacy chcą zobaczyć ich świątynię. Czy nie zostaniemy potraktowani jako intruzy? Jakież było moje zdziwienie, gdy okazało się, że jest to miły, gościnny i bardzo otwarty człowiek, który wiele nam opowiedział i pokazał.

Z Tuligłowa oprócz wielu fotografii, ogromnego przeżycia i kasyty wideo nagranej trzęsącą się ze wzruszenia ręką, przywiozłam dla Babci garść ziemi, którą Ona z nabożną czcią i ze łzami w oczach całowała. Dla takiej chwili warto było przemierzyć tyle kilometrów...

W polskich Tuligłowach bywał często Jacek Malczewski oraz inni wybitni artyści zaprzyjaźnieni z rodziną Balów – właścicielami Tuligłowa. Do czasów II wojny światowej na ścianach w tuligłowskim dworze wisiało sporo obrazów pędzla Jacka Malczewskiego. Niemal całe wyposażenie pałacu zostało zarekwirowane przez żołnierzy sowieckich, na szczęście dzieła Malczewskiego, w porę zabezpieczone, w większości przetrwały do



Fot. B. Oziembłowska

Dwór Balów w Tuligłowach (obecnie szpital)

czasów obecnych. Dwór Balów pochodzi z końca XIX wieku, powstał przez rozbudowę starego dworu; dwukondygnacyjny, o zróżnicowanej bryle z tarasami i balkonami, nakryty wysokim dachem z wieżami. Autorami projektu byli F. Fellner i H. Helmer (twórcy m. in. Kasy na Szlacheckiego we Lwowie), a dekoracja zewnętrzna z elementami secesyjnymi była dziełem P. W. Harasimowicza.

Historia miejscowości oraz parafii pw. Św. Doroły w Tuligłowach

Przynajmniej od roku 1418 Tuligłowy były własnością Kunatów herbu Topór, a następnie drogą posagu objęli je w posiadanie przez kolejne dwa stulecia Korytkowie herbu Jelita. Następnie Korytkowie sprzedali majątek Krosnowskiemu. Na początku wieku XIX właścicielem

majątku był Jacek Fredro, ojciec komediopisarza Aleksandra. Następnie, aż do II wojny światowej Tuligłowy należały do Balów herbu Gozdawa – rodziny pochodzenia węgierskiego.

Parafia w Tuligłowach powstała przed rokiem 1490. Dawna fundacja została w roku 1600 odnowiona lub powiększona przez Stanisława Korytkę. Akt ten (na ogół sytuowany w roku 1599) jest tradycyjnie traktowany jako początek parafii. Pierwotnie parafia tuligłowska wchodziła w skład archidiecezji lwowskiej, ale w wyniku umowy pomiędzy arcybiskupem Ferdynandem Kickim i biskupem Antonim Wacławem Betańskim, w roku 1787 przeszła do jurysdykcji diecezji przemyskiej.

A oto jak pisał o kościele w Tuligłowach Julian Fałat: „Kościół w Tuligłowach należy do typu rzadko na Rusi spotykanego: murowany, sklepiony, otoczony przeszklonymi, starymi lipami, pociągał mnie zawsze swą tajemniczością. Nieraz zamknąwszy się w kościele, wertowałam zbiory kościelne, przeglądałam ornaty, monstrancje, kielichy i zegary, podziwiałam sztukę kościelną w różnych jej okazach ze szczerym zamilowaniem...”



Przed wejściem do kościoła w Tuligłowach. Autorka razem z duchownym prawosławnym trzymając klucze do świątyni, które używali nasi przodkowie.

Kościół był nie tylko centrum życia religijnego w Tuligłowach. Pełnił również funkcję edukacyjną, kształtował tożsamość narodową Polaków w okresie zaborów. Píše o tym również Julian Fałat: „Rok 1863 zaznaczył się w domu odmiennym życiem; zaczęły przesuwac się jakieś tajemnicze postacie, pojawiły się niewidzialne dotąd okrycia głów: rogatywki... Gazet w domu nie było, więc wiadomości o powstaniu przynosił nam ojciec wyłącznie od księdza wikarego; po raz pierwszy usłyszałam wówczas słowa „warszawska cytadela”, które dziwnie głęboko wniknęły w mój mózg i w duszę. Na rodzinę naszą nieświadomą sobie ani celu, ani znaczenia powstania, spadła jak piorun z nieba wiadomość, że i mój starszy brat, Józio, ośmioklasista lwowskiego gimnazjum, poszedł z innymi do powstania...”

Po II wojnie światowej, gdy usunięto Polaków z Tuligłowa, kościół zamieniono na magazyn Inu, ale wkrótce zaczął funkcjonować jako cerkiew prawosławna pw. Pokrowy Matki Boskiej, od r. 1990 użytkowana wspólnie z grekokatolikami.

Dzięki stałej opiece kościół zachowany jest w dosyć dobrym stanie. W ubiegłym roku przy wsparciu finansowym byłych mieszkańców Tuligłowa wymieniono zniszczone pokrycie dachu.

Pomimo zmiany obrządku, we wnętrzu przetrwała część dawnego wyposażenia – struktura ołtarza głównego, ołtarz boczny (z ubytkami), ambona i organy. Wnętrze pokryto malowidłami cerkiewnymi, do prezbiterium wprowadzono ikonostas, wykonany z balustrady komuniowej i fragmentów ołtarzy bocznych.

Historia łaskami słynącego obrazu Matki Bożej Bolesnej z kościoła w Tuligłowach

Przy okazji opisu miejscowości nie sposób nie wspomnieć o obrazie Matki Bożej Bolesnej, którego kult miał i ma nadal duże znaczenie w życiu parafian. Obraz pochodzi z pierwszej połowy XVII wieku i został namalowany w Polsce przez nieznanego autora.

Wizerunek przedstawia Matkę Bożą w ujęciu frontalnym do połowy postaci, trzymającą rękami głowę zmarłego Syna. Twarz Maryi pełna jest smutku, lecz w oczach nie widać cienia rozpacz. Oczy zwrócone są ku dołowi, a po policzkach spływają obfite łzy. Wstrząsający jest wyraz oblicza Chrystusa z półprzymkniętymi oczyma.

Według przekazów byłych mieszkańców Tuligłowa obraz znajdował się początkowo w leśnej kapliczce koło Sądowej Wiszni w pobliżu pałacu. Już wówczas zasłynął łaskami i nawiedzany był przez wielu wiernych. Chcąc uniknąć szkód w swych dobrach hrabina kazała przenieść obraz z kapliczki do pałacu.

W roku 1653, w czasie uroczystości inauguracji Bractwa Św. Anny w Tuligłowach zrodził się pomysł przeniesienia obrazu *Matki Boskiej Bolesnej* do kościoła tuligłowskiego i wkrótce nastąpiła uroczysta translokacja. Malowidło umieszczono w prowizorycznym ołtarzu po stronie lekcji ołtarza głównego. Nowy ołtarz ufundował z czasem Mikołaj Krosnowski, stolnik lwowski, a jego matka, Katarzyna, ozdobiła obraz srebrną sukienką jako wotum za szczęśliwy powrót syna z kampanii wiedeńskiej. Korony i inne ozdoby srebrne ufundowali Jan i Franciszek Korytkowie.

Obraz odsłaniany tylko podczas wielkich uroczystości i Mszy niedzielnych.

W r. 1929 podczas rozbudowy kościoła odnowiono słynący łaskami obraz *Matki Boskiej Bolesnej*, a w r. 1930 został on ukoronowany (najprawdopodobniej przez biskupa Anatola Nowaka z Przemyśla).

Podczas napadów banderowskich na ludność polską podczas II wojny światowej Tuligłowy w sposób wyjątkowy doznały opieki Matki Bolesnej. Nie został spalony ani jeden dom i masowe mordy ominęły mieszkańców Tuligłowa. Polacy z okolic zaczęli zjeżdżać do miejscowości, która doświadczyła szczególnego działania Maryi. W kościele odbywały się nabożeństwa dziękczynne za uratowanie od śmierci.

W 1945 roku opuszczający przymusowo Tuligłowy ostatni proboszcz ks. Antoni Baszak potajemnie zabrał ze sobą obraz *Matki Boskiej Bolesnej*. Przed wyruszeniem w nieznaną drogę odprawiono Mszę Świętą i wszyscy Tuligłowianie przystąpili do Komunii. Na kolanach

całowano ściany kościoła i dzwony zdjęte z wieży kościelnej.

Losy mieszkańców Tuligłowa po usunięciu ich z Ojcowizny

Mieszkańcy Tuligłowa osiedlili się w różnych miejscowościach na ziemiach zachodnich w okolicach Wrocławia, Trzebnicy, Obornik Śląskich, Twardogóry, Strzelina, Legnicy i Drezdenka na pograniczu Ziemi Lubuskiej i Wielkopolski.

Znaczna część mieszkańców wraz ze swym duszpasterzem osiedliła się w Łozinie i pobliskich wioskach koło Wrocławia. Tutaj w r. 1948 umieszczono w ołtarzu głównym w kościele filialnym obraz Matki Bożej Bolesnej. Kult maryjny został przeniesiony wraz z parafianami z ziemi lwowskiej na ziemię wrocławską i trwa nadal.

Łozina dzięki obrazowi Matki Bożej stała się centrum skupiającym społeczność tuligłowską. Tutaj byli mieszkańcy spotykają się na uroczystościach religijnych, tutaj wybudowali pomnik ku czci poległych i zaginionych w czasie II wojny światowej.

We wrześniu 2000 roku podczas uroczystości odpustowych kościół w Łozinie został ustanowiony dekretem kardynała Henryka Gulbinowicza sanktuarium regionalnym Matki Bożej Bolesnej z wezwaniem: *Uzdrowienie Chorych*.

Artykuł opracowany na podstawie pracy autorki: „Ocalić od zapomnienia. Dzieje kościołów katolickich obrządku łacińskiego w Łaszkach Murowanych i Tuligłowach (dawne województwo lwowskie). Kontynuacja kultu religijnego po II wojnie światowej na ziemiach zachodnich”.

Wyższa Szkoła Języków Obcych i Ekonomii. Studia Podyplomowe: Pielgrzymki. Turystyka religijna. Częstochowa 2000.



Fot. Maciej Oziembłowski

Obraz Matki Bożej Bolesnej w Sanktuarium w Łozinie (przwieziony z Tuligłowa)

Monasterzyska – miasto mojego dzieciństwa – mówi Tadeusz Hnatów

Opracował Kazimierz Kulas na podstawie rozmowy z Tadeuszem Hnatów

Najwcześniejsze dzieciństwo spędziłem w domu przy ul. Mickiewicza. W niedługim czasie zamieszkaliśmy na Folwarkach przy ul. Dolnej, tam też chodziłem do ochronki, którą prowadziły siostry zakonne.

Z Folwark też zacząłem uczęszczać do szkoły podstawowej. Była to szkoła, do której uczęszczali sami chłopcy. Nasza sala pierwszej klasy była na parterze od strony kościoła. Pierwszym naszym nauczycielem był Pan Huk. Wówczas dyrektorem szkoły był Pan Olesiński. Jak pamiętam to do półroczka ćwiczyliśmy się w pisaniu kreseczek i laseczek. To pisanie nie zawsze dobrze nam wychodziło, stąd też było niezadowolenie naszego nauczyciela, który nie rokował nam zbyt dużej kariery w naszej dalszej edukacji. Jednak z pomocą Bożą przeszliśmy do drugiej, trzeciej i czwartej klasy, a nasz nauczyciel w międzyczasie wyjechał na Zadzie, aby tam nauczać polskie dzieci.

W czwartej klasie uczyły nas Panie Kędłowska i Hudynowa, pamiętam też dobrze naszego katechetę księdza Mikluszkę.

W drugiej klasie przystąpiliśmy do pierwszej Komunii Św., a po Komunii na placu przy kościele odbyło się wspólne skromne śniadanie (kakao + bułka z masłem). Po posiłku było wspólne zdjęcie oraz rozdanie obrazków. Niedługo, bo w czwartej klasie przystąpiliśmy do Bierzmowania, którego udzielał nam ks. bp Baziak.

Pamiętam wspaniałe powitanie ks. bp. na rogatkach miasta od strony Stanisławowa, a potem powitanie w cerkwi i w kościele.

Wspomnę też o religii jaka odbywała się w naszej szkole w jednym czasie dla rzymskokatolików, grekokatolików oraz dla Żydów.

Nie pamiętam aby były jakieś problemy.

Po Panu Olesińskim stanowisko dyrektora objął Pan Józefczuk.

Postrachem szkoły był Pan Kimel, nauczyciel gimnastyki i P. W., który krzychał: „ja jestem bizon, ty mnie jeszcze nie znasz”, a drugim był Pan Filipecki. Obaj zginęli – pierwszy rozstrzelany przez Niemców, a drugi zamordowany przez UPA.

Na wakacje po czwartej klasie część dzieci pracowników Fabryki Tytoniowej wyjechała na kolonie do Rymanowa Zdroju. W grupie tych dzieci byłem też ja. W Rymanowie wraz z dziećmi z Radomia zamieszkaliśmy w Wilii „Gwiazda”. Życie nasze było wesołe, polegało na ciągłych wycieczkach i zabawach i nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy z niebezpieczeństwa jakie zawisło nad naszym krajem. Pod koniec sierpnia szczęśliwie powróciliśmy do domu. Kilka dni po naszym powrocie wybuchła wojna.

My w tym czasie mieszkaliśmy na tak zwanej parcelacji nad rzeczką Dobrowódką. Pamiętam jak od strony Podhajec jechały kolumny z uciekinierami oraz wojskiem. Wszystko to kierowało się w stronę Buczacza i dalej do Zaleszczyk. Kolumny te jechały i dniem, i nocą.

A tu po południu 17 września (dokładnej daty nie pamiętam) zaczęła się strzelanina. Jak się potem okazało, że od strony Buczacza nadeszła „wyzwolicielska” Armia Czerwona, po krótkiej strzelaninie Wojsko Polskie zaczęło się poddawać. Wszyscy oni zostali zapędzeni do Fabryki, skąd szeregowcy i podoficerowie zostali zwolnieni, a oficerowie pognani na wschód. Przed podaniem się niektórzy żołnierze rzucali karabiny i amunicję do rzeczki. Pamiętam jak na drugi dzień kobiety z pobliskich wiosek Hryhorow i Sawalusi całymi naręczami nosiły broń do tych wiosek.

Nie widziałem, aby im w tym ktoś przeszkadzał. Już w październiku 1939 r. zaczęła się normalna nauka w szkole. Kto zajął stanowisko dyrektora nie pamiętam, ale pamiętam jak dotychczasowy dyrektor prowadził z nami naukę śpiewu, a pierwszą pieśnią był hymn ZSRR czyli międzynarodówka. Pamiętam też jak Pani Kędłowska w pierwszych miesiącach nowej władzy odmawiała z nami po cichu modlitwę do Ducha Świętego. Pewnego dnia po modlitwie Pani nasza podeszła do drzwi i gwałtownie otworzyła, za drzwiami stała konsomolka, która na co dzień organizowała pionierów. W niedługim czasie nauczono nas piosenki o Stalinie, która w języku ukraińskim zaczynała się od słów „Pisneju pro Stalina naczynajemo deń, kraszszych my ne znajemo na zemli piseń”, co po przetłumaczeniu brzmi „Pieśnią o Stalinie zaczynamy dzień, piękniejszych my nie znamy na świecie pieśni”. Pieśń ta miała prawdopodobnie zastąpić nam modlitwę. Naukę w szkole byliśmy dość obciążani, gdyż mieliśmy oprócz języka polskiego język ukraiński, rosyjski i niemiecki oraz normalne przedmioty.

Języka niemieckiego uczyła nas Rosjanka, która powtarzała słowa Lenina „Lenin sagte: lernen, Lernen und Lernen”. Z języka rosyjskiego wbijano nam do głowy o Powce Morozowie. Na zakończenie roku otrzymaliśmy świadectwa z ocenami za poszczególne semestry oraz średnią ocenę roczną, świadectwa były wypisywane w języku polskim. Nie wiem czy był brak pieczęci, czy też złośliwość, ale świadectwo nie zostało opieczetowane. Tak skończyliśmy po raz drugi klasę czwartą i piątą.

Po przyjeździe Niemców jeszcze rok chodziliśmy do szkoły, a Dyrektorem był Pan Wagner. Za Niemców podczas głodu przyszedł do naszego domu pan Dyrektor Józefczuk i przyniósł ze 2 kg zboża, aby je zemleć. U nas były ukryte w słomie żarna. Był też u nas nauczyciel pan Filipecki i przyniósł mi świadectwo siódmej klasy i powiedział: schowaj, bo może ci się przydać. Jak się okazało świadectwo to bardzo mi się przydało. W roku 1944 Pan Filipecki, lekarz wet. Domański oraz pracownik poczty zostali w nocy uprowadzeni przez UPA do wsi Słobódka Górna i tam zamordowani. Pod koniec wojny wczesną wiosną 1945 r. widziałem jak moich nauczycieli (3 panie), których nazwisk nie pamiętam, ale jedna z nich była Pani Hudymowa, aresztowane przez NKWD wieziono furmanką w stronę Buczacza.



Monasterzyska – kościół parafialny w okresie międzywojennym

Z początkiem 1945 roku rocznik mój został powołany na przeszkolenie do „Wojenkomatu”. Pewnego dnia w czasie pełnienia służby widzieliśmy łuny palących się Mazur. Tego wieczoru prawie nie było na miejscu nikogo z „Istribitelnogo Batalionu”, zostali oni ściągnięci do Buczacza. Pamiętam, że chciano wystrzelić z armaty w stronę Puźnik, ale ktoś ze starszych odwiódł od tego zamiaru. Na wiosnę 1945 r. wojna się zakończyła, a nasz rocznik uniknął frontu.

Jesienią nasza rodzina jak wiele innych załadowała swój dobytek na furmanki i udała się do stacji kolejowej Dżuryn (za Buczaczem). Pod koniec września załadowaliśmy się do wagonów węglarek. Stąd też udaliśmy się w daleką podróż do miejsca przeznaczenia.

Przeladunek do polskich wagonów krytych nastąpił w Strzelcach Opolskich. Do Koźuchowa dojechaliśmy w ostatnich dniach listopada. Kilka rodzin, w tym nasza, pojechało do Zielonej Góry. Jaka była radość, kiedy mogliśmy się wykapać i zjeść ciepłą strawę oraz palić naszą podróżną odzież. Z naszego transportu kilka osób podczas jazdy zmarło i tylko należy zawdzięczać Opatrzności, że nie wybuchła epidemia, gdyż insektów



Monasterzyska – kościół parafialny, a w 1993 roku już cerkiew

nie brakowało. Kilka lat temu po 50 latach znowu było mi dane stanąć na ziemi mojego dzieciństwa i młodości.

Kiedy stanąłem naprzeciw budynku naszej szkoły wróciłem myślami do naszych wspaniałych nauczycieli i kolegów.

Wiem, że co najmniej sześciu skończyło studia wyższe, w tym jeden został profesorem. Wiem też, że dwóch kolegów zostało pilotami, w tym jeden mistrzem świata w szybownictwie.

Stojąc przed kościołem przypominała mi się I-sza Komunia Św. oraz Bierzmowanie udzielone przez księdza bp. Baziaka. Również pamiętam procesję i odpusty, w tym odpust w Buczaczu.

Kiedy stanąłem na cmentarzu koło kaplicy – grobowca Potockich zobaczyłem kilka grobów polskich jak: Cisakowskich, Wagnerów oraz Marii Żeromskiej. Dziś miasto zostało rozbudowane, a stare kamieniczki są mocno zaniedbane, kościół, z którego władza sowiecka zrobiła magazyn, został przekazany na świątynię dla prawosławnych. Nie ma rzeczki Dobrowódki ani licznych strumyków, które do niej wpadały. Nie ma też łąk nad rzeką Koropiec, w której często kąpaliśmy się. Obecnie rzeka przypomina strumyk, który niesie z sobą nieczystości, a co ważniejsze, wysokie góry wyglądają obecnie jak małe pagórki. Samo miasto, które zostało wyniesione do rangi powiatu, robi wrażenie wymarłego.

Wszystkie wspomnienia wydają się być snem tym dobrym i tym złym, do którego nie chciałoby się wracać.

Międzyrzecz, styczeń 2002 r.

Kazimierz Kulas

Coś tam zostało...

*Coś tam zostało na wschodzie,
ślady dzieciństwa,
na ziemi w Dźwinogrodzie.*

*coś tam zostało pod lasem,
kapliczka przydrożna*

*może te zabawy
w pamięci noszone*

*może studnia z korbą
i czystą, zimną wodą*

*niejedna miedza między polami,
łan zboża do kolan,
jak zbierałem kłosa
na cudzym polu
Tam miejsca najmiłsze,
rodzinne strony,
tak bardzo ukochałem
domy stojące przy drodze.*

*– Kocham cię, mój Dźwinogrodzie,
dziś po latach pamięć wraca,
w odwiedzin tu przyjeżdżam,
by przytulić się do starej chaty.*

Kościółek św. Zofii Niedoceniony zabytek Lwowa

Zdjęcie Kościółka św. Zofii umieściłam w moim mieszkaniu na widocznym miejscu. I kiedykolwiek spojrzę – z wielką tęsknotą – na to zdjęcie, nasuwają mi się słowa: „mój utracony raj”. Bo też z Kościółkiem św. Zofii, jak również z tym uroczym miejscem gdzie on się znajduje, bardzo ściśle związane jest moje dzieciństwo i wczesna młodość.

Patrząc na Kościółek widzę także bardzo wyraźnie i jego wnętrze, niewielkie, lecz bardzo przytulne. Ale również rysuje mi się w pamięci to bardzo piękne otoczenie, wśród obfitej zieleni drzew i krzewów, bżów i jaśminów, i wiosną mnóstwem fiołków naokoło Kościółka.

I tak mogłabym jeszcze zachwycać się pięknem otaczającym Kościółek św. Zofii i w coraz szerszym zasięgu.

Ale Ci z Państwa, którym również bliski był Kościółek, na pewno mają także przed oczami ten przepiękny zakątek Lwowa.

Sądzę jednak, że nie wszystkim, a ośmielałam się twierdzić, że może nawet bardzo nielicznym Lwowiakom, którym serdeczne są wspomnienia związane z kościółkiem św. Zofii, znana jest jego historia. Dlatego bardzo pragnę podzielić się tą historią, którą i ja od bardzo niedawna poznałam.

Historia Kościółka św. Zofii została opisana w takiej skromnej książeczce pt. „Kościółek św. Zofii we Lwowie” autora Stanisława Rachwała. Lwów 1917 rok, nakładem X.X. Misyjonarzy we Lwowie z drukarni Wł. Łozińskiego, ulica Czarnieckiego 19.

A tą skromną, lecz bardzo cenną, książeczkę zdobył, znalazł w Krakowie na targu wyprzedaży książek jeden z naszych drogich, szanownych Kolegów w TML-u, znakomity bibliofil, i udostępnił nam ją w naszym Klubie w Katowicach.

Bardzo wielką radość sprawiła mi ta książeczka ze zdjęciem mojego ukochanego Kościółka św. Zofii i jego ciekawą historią.

Postanowiłam więc i Państwu, Szanownym Czytelnikom *Semper Fidelis* przesłać za pośrednictwem naszego czasopisma to zdjęcie Kościółka św. Zofii z jego historią, jako naszą drogą, serdeczną pamiątkę.

Zofia Żółkiewicz

Kościółek św. Zofii został wybudowany w roku 1594 przez Zofię Hanlową, żonę bogatego kupca Stanisława Hanla.

Familia Hanłów wywodząca się z możnej rodziny patrycuszowskiej, przybyła do Lwowa z Niemiec około roku 1479-tym.

Stanisław Hanel, majątny kupiec i mieszczanin lwowski, był właścicielem domów w mieście, ogrodów, lasów, folwarków, poza Lwowem utrzymywał stadninę, w Pustomytach arendował stawy rybne od Wacława Dzieduszyckiego.



Marzeniem patrycuszów lwowskich było pozostawienie po sobie czegoś cennego. To też Hanlowie budowali szereg cennych obiektów w mieście Lwowie i między innymi kamienicą „czarna” w rynku była ich fundacją.

Po śmierci męża Zofia Hanlowa – aby pozostawić po sobie wieczną pamiątkę – wystawia w uroczym gaju na halickim przedmieściu kaplicę pod wezwaniem św. Zofii (rok 1594) swojej patronki, od którego to imienia okolica przybrała nazwę Zofiówki.

Kościółek św. Zofii miał i swoją dotację. Zofia Hanlowa złożyła na ręce mieszczanina 200 flor. na utrzymanie księdza i odprawianie Mszy świętych.

Po śmierci Zofii Hanlowej w r. 1595-tym, która jako wdowa mieszkała sama w jednej z komnat szpitala św. Ducha, Kościółek przez długie lata stał cicho i tylko pszczoły wokół brzęczały z pasieki pobliskiej, aż w końcu przeszedł na własność gminy miasta Lwowa. W roku 1672-gim straszny los spotkał Kościółek św. Zofii. Podczas oblężenia hordy nieprzyjacielskiej, która rozłożyła się na pagórkach koło Kościółka, został on spalony.

Odbudowany został i stał się murowanym. Jednakże znajdował się w bardzo zaniedbanym stanie.

I w takim to stanie nabył go w roku 1789-tym w drodze licytacji – Jan Antoni Lukiewicz.

Nowy właściciel zadbał o piękno Kościółka i całego otoczenia tego uroczego miejsca, który stał się celem wycieczek Lwowiaków. Po śmierci zacnego właściciela Kościółek wraz z przyległościami przeszedł na cel dobroczynny – wg zapisu byłego właściciela – to jest pod Zarząd Sióstr Miłosierdzia, prowadzących Zakład Sierot i Szpital św. Wincentego, z szeregiem zastrzeżeń, zobowiązujących ten zapis do przestrzegania dobrego stanu Kościółka św. Zofii. W 1914-tym r. dzięki staraniom Księża Misjonarzy lwowskich, wydał Ks. Arcybiskup Józef Bilczewski stały indult dla Kościółka św. Zofii poczem zamieszkał tam ks. Antoni Skrzydlewski ze Zgromadzenia księży Misjonarzy.

Kościółek został odnowiony i objęty staranną opieką i zadbanie O. Misjonarzy.

„Jak ongiś za Lukiewicza przedstawia się dzisiaj Kościółek, mieszczący się w lasku przy ul. św. Zofii 135, bardzo pięknie dzięki usilnym zabiegom Zgromadzenia Ks. Misjonarzy.

Chodnikiem, wyłożonym płytami, dzięki ofiarności miasta, dostajemy się do domku, który zamieszkują w porze letniej sieroty Zakładu Sióstr Miłosierdzia. Po prawej stronie domku wznosi się Kościółek św. Zofii w stylu renesansowym, pomieszanym z barokiem. U góry na wieżyczce nad ścianą frontową wiszą dwa dzwonki z linkami, sięgającymi aż do chóru. Cztery figury świętych na frontonie witają wchodzących.

Kościółek sam jednonawowy o powierzchni przeszło 10 metrów w kwadracie został w roku 1914 odnowiony.

Wewnątrz zwraca na siebie uwagę świeżością ołtarz główny z obrazem św. Zofii i trzech córek, i filarami. Balaski oddzielają prezbiterium od nawy, w której stoją ławki i krzesła. Ściany malowane stylowo. Ozdobę Kościółka stanowią cztery witraże po bokach w oknach u góry z wizerunkami po prawej ręce św. Zofii z trzema córkami w jednym oknie, w drugim przy chórze z wizerunkiem św. Jana Chrzciciela.

Po lewej ręce od ołtarza trzeci witraż z wizerunkiem świętego Kazimierza, a czwarty od chóru z wizerunkiem św. Wincentego a Paulo. Piąty witraż największy we frontowym oknie przedstawia Najświętszą Pannę Maryę Niepokalaną Poczętą.

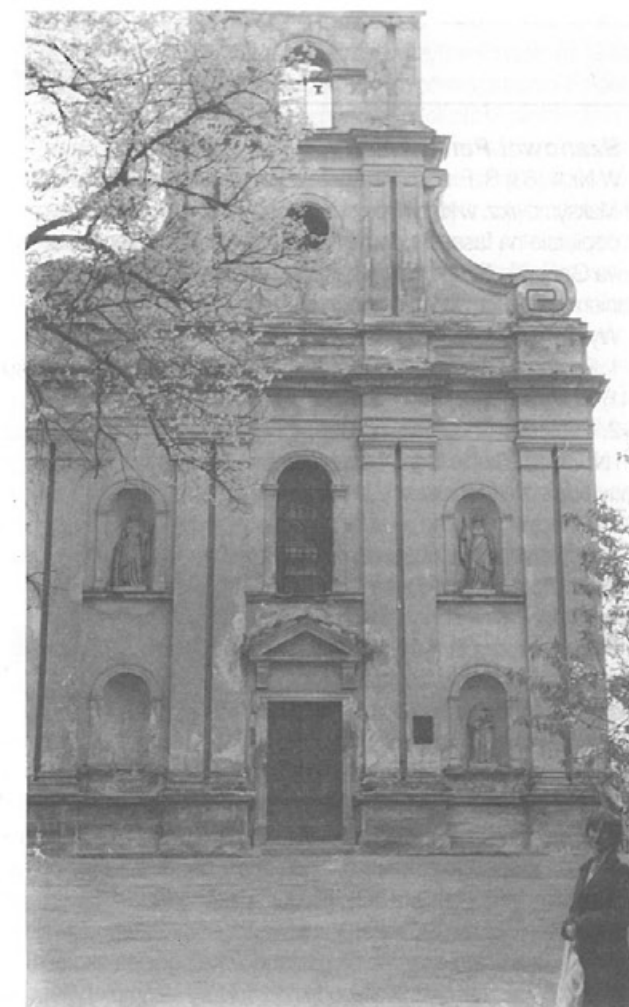
Witraże są zabezpieczone kratami żelaznymi i siatkami drucianymi. Wzdłuż ściany frontowej biegnie chórerek poręczny, na który wchodzi się schodami żelaznymi, krętymi po lewej stronie w rogu u wejścia. Na chóru stoją organki od Ks. Misyjonarzy z Kleparza, postawione dnia 1 listopada 1916 roku przez p. Żebrowskiego.

Pod chórem są wmurowane dwie tablice informujące o zmarłych dobroczyńcach.

Do Kościółka opalanego zimową porą i oświetlanego gazem, po lewej ręce ołtarza jest przybudowana zakryta nieduża, z drzwiami wprost do prezbiterium prowadzącymi, a do niej pada światło pół oknem na dużą szafę dębową i kłęcznik.

Z zakrystii prowadzą schody do magazyniku nad zakrystią jasnego, bo z dwoma oknami.

Pierwsza myśl założycielki Kościółka św. Zofii patrycjuszki lwowskiej Zofii Hanlowej po latach obecnie się urzeczywistniła. W Kościółku bowiem odbywają się stale nabożeństwa: codziennie o godz. 6 rano Msza św., a w niedzielę i święta uroczyste, o godz. 10 jest suma z nauką. Podczas sumy podnosi nastrój piękny chór,



Kościół św. Zofii – obecnie

często z solowymi śpiewami kościelnymi. Po południu o 4-tej nieszpory. W piątki o 6 wieczorem odbywa się błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem.

W okresie Świąt Bożego Narodzenia oglądaliśmy uroczą szopkę przywodzącą na myśl tajemnice spełnione w Betlejemie.

Najwięcej jednak miłe i pociągające jest nabożeństwo majowe, odprawiane wieczorem. Świeża zieleń obszernego parku harmonizuje pięknie z dekoracją wewnątrz Kościółka oraz z samą uroczystością. Skutkiem tego Kościółek staje się za mały dla pobożnej publiczności, która zmuszona jest słuchać nabożeństw pod rozłożystymi drzewami, otaczającymi to naprawdę uroczyste miejsce.

Podobne nabożeństwa odbywają się w czerwcu ku czci Najświętszego Serca Pana Jezusa, a w październiku nabożeństwa różańcowe.

Miło tu i zacisznie, dlatego nie dziwić się, że takie uroczystości jak śluby, tutaj czasem się odbywają. Kościółek ten nadaje się bardzo na odprawianie w zaciszu rekolekcji, tym bardziej, że oprócz oddalenia od zgiełku miasta, w porze zimowej jest opalany. Naprawdę można tu pomodlić się szczerze i warto choć raz do Kościółka św. Zofii wstąpić, by stale doń uczęszczać.”

Cieszę się i dziękuję za przypomnienie tych wiadomości. Osobiście mam sentyment, bo moja matka Michalina Kindinger 25. 07. 1943 brała tam ślub.

A. Kaminski

LISTY DO REDAKCJI

Szanowni Państwo!

W Nr. 4 (63) S. F. za 2001 r. przeczytałam list p. dr Krystyny Węgieł-Maksymowicz, w którym prosi o pomoc w ustaleniu kogo przedstawia popiersie na fasadzie domu Nr 33 przy ul. Potockiego (obecna nazwa Generała Czuprynki). Otóż ja też zastanawiałam się nad tym pytaniem i doszłam do wniosku, że jest to popiersie Chopina.

Wysłałam również 3 zdjęcia:

1. Popiersie Chopina – ul. Sykstuska (obecnie – ul. Dobroszenko Nr 11)

2. Popiersie Chopina – ul. Chopina, dom Nr 7 (na balkonie 2-go piętra z jednej strony popiersie Moniuszki, z drugiej popiersie Chopina)

3. Popiersie na fasadzie domu Nr 33 przy ulicy Potockiego (o które pyta właśnie pani dr).

Proszę się przypatrzeć tym zdjęciom – ja mam takie wrażenie, że są identyczne (albo bardzo podobne).

Niestety, innej informacji, mimo poszukiwania, nie mam. Natomiast na drugie pytanie p. dr mogę odpowiedzieć: otóż dom zbudowany w 1898 r. dla profesora Lwowskiej Politechniki Kowalczyka, w 1900 r. sprzedany został komisarzowi powiatowemu Bronarskiemu. Jeśli chodzi o ulicę Potockiego i dzielnicę, w której się znajduje – otóż po raz pierwszy w r. 1483 ziemia ta należała do rodziny Hanzłów. Od imienia jednego z tej rodziny „Sztancel” – nazwano „Łany Sztancelowskie”, później nazwa ta zmieniła się na „Sztandówkę”, gdzieś około 1863 roku ulicę nazwali „Krzyżową” – od krzyża, który stał mniej więcej w miejscu, gdzie zaczynała się ulica Szymonowiczów (obecnie ul. Mielnika). Nazwa „Krzyżowa” trwała do roku 1910, została zmieniona na ul. Potockiego, w związku z tym, że Potocki zginął z ręki studenta Siczyskiego w 1908 roku.

Tyle wiadomości o tej ulicy i dzielnicy. Parę słów o sobie: jestem lwowiaką, urodzoną w 1922 r. Ojciec mój Włodzimierz Bryła pracował w Magistracie m. Lwowa, w Izbie Obrachunkowej, oprócz tego pracował w szkołach muzycznych – im. Noskowskiego i w szkole s. Kapezowej. Aresztowany przez NKWD, stracony (jest na liście dodatkowej do „Listy Katyńskiej” – zamordowani na Ukrainie). Matka i ja zostałyśmy wywiezione 13 IV 1940 r. do Kazachstanu Semipalatyński. Z powodu jestem pielęgniarką, 36 lat pracowałam w poliklinice przy ul. Fredry we Lwowie. Obecnie jestem rencistką, bardzo interesuję się historią, architekturą Lwowa, należę do klubu „Klii”. Uczęszczam na Uni-

Wrocław, 9. 01. 2002 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Chciałabym podziękować za zamieszczenie w nr. 6 (59) 2000 „Semper Fidelis” publikacji mojej śp. Mamę Wandy Richter pt. „Moje wspomnienia z lat lwowskich”.

Niezależnie od umożliwienia wypełnienia Jej życzenia, wydrukowanie wspomnień miało o tyle szczególne znaczenie, że spowodowało odnalezienie się po latach dwóch kuzynek ze strony rodziny mojej Mamę: Zofii i Danuty Szuler. Ojciec kuzynek oraz moja śp. Babka Julia Prokopowicz (z domu Szuler) byli rodzeństwem. Babka z liczną rodziną mieszkała przez wiele lat we Lwowie, na Starym Zniesieniu, natomiast rodzina jej brata w Starym Samborze. Czytając w/w wspomnienia kuzynki były ogromnie wzruszone, gdy na zamieszczonych zdjęciach rozpoznały moją Mamę z lat międzywojennych i mojego Wujka (a swojego kuzyna) Rudolfa Prokopowicza, oficera Wojska Polskiego, zmarłego na emigracji w Anglii. Publikacja pozwoliła odszukać poprzez Pańską Redakcję naszą rodzinę we Wrocławiu. Wg relacji kuzynek prowadziły one poszukiwania przez kilkadziesiąt lat, m. in. poprzez



U góry zdj. nr 1, z lewej zdj. nr 2, poniżej zdj. nr 3



wersytet III Wieku przy Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Bardzo chciałabym prenumerować „Semper Fidelis” – tutaj trafia „SF” rzadko do moich rąk.

Z poważaniem **Bogusława Bryła-Czerna**

Centr. Biuro Adresowe, Czerwony Krzyż, Wspólnotę Polską i biuro poselskie – jednak bez rezultatu. Jako samotne i starsze osoby straciły wtedy nadzieję na odnalezienie kogoś bliskiego z naszej strony. Wzruszające było więc nasze spotkanie w Sanoku, latem ubiegłego roku, dokąd pojechałam z żoną Urszulą i synami Leszkiem i Bogusławem. Przeżyliśmy wiele emocji, gdyż spotkaliśmy rodzinę niewidzianą nigdy w życiu, znaną jedynie z relacji mojej Matki. W czasie tego wspólnego poznania się, dla mnie osobiście bardzo wzruszający był dzień, gdy kuzynki przekazały mi piękną fotografię mojej Mamusi z roku 1922, gdy uczęszczała jeszcze do liceum P. Olgi Filippi-Zychowiczowej we Lwowie oraz wspomnienia lat młodości moich Rodziców. Odwiedzały ich w Suszycy k/Starego Sambora, gdzie Rodzice spędzali, z moim rodzeństwem wakacje. Tak więc niecodzienne i przedziwne odnalezienie się i spotkanie rodzinne po latach – zawdzięczamy życzliwości Redakcji „Semper Fidelis”, która się do tego przyczyniła.

Składam tą drogą serdeczne podziękowanie na ręce Pana Redaktora i Zespołu w imieniu swoim, Rodziny i odnalezionych kuzynek.

Z poważaniem **Wiesław Richter**

Alfred Janicki

Opowiadania Mamy...

W tym czasie, w którym rozegrała się tragedia w rodzinie Skulskich następowały wydarzenia poprzedzające tragedię rodziny Tyczyńskich w Ruzdwanach.

Od pewnego czasu na mieszkańcach Ruzdwan ciążył obowiązek pełnienia warty nocnej na moście położonym na Serecie. Wartowników wyznaczał Kulikowski (Ukrainiec) jako sołtys Ruzdwan. Jeszcze jesienią 1943 roku wartę mieli pełnić: Tadeusz Tyczyński (syn stolarza) i ktoś z Ukraińców. W ostatniej chwili dowiedzieli się Tyczyńscy, że do Tadeusza dołączy inny Polak. Początkowo Tadeusz nie chciał iść na wartę, ale w końcu poszedł. Przy moście skrył się w zaroślach i czekał na swego partnera. Po jakimś czasie usłyszał kroki... zauważył dwie osoby. Szedł 18-letni syn Kulikowskiego ze swoim rówieśnikiem – Ukraińcem. Obaj pilnie rozglądali się. Tadeusz usłyszał ich rozmowę: „koły prijde Tyczyński to ty jemu powidaj, szo ty budeś stał na warti, ja pidu wid zada i dam jemu nożom.” Dreszcze przebiegły przez ciało Tadeusza. Nie wiedział, jakim cudem zesunął się bezszelestnie ze skarpy i niezauważony przez Ukraińców pobiegł do domu. Opowiedział o całym zdarzeniu rodzicom. Mimo późnego wieczora Tyczyńscy, cała rozdygotana, pobiegła do Kulikowskiego. Domagała się od Kulikowskiego zezwolenia na wyjazd z Ruzdwan, bo ma obawy o życie swego syna (opowiedziała o zdarzeniu, w którym uczestniczył syn Kulikowskiego). W odpowiedzi usłyszała, że to jakieś młodzieńcze żarty i będzie dobrze, jeżeli nie będzie z tego powodu robić hałasu. Rano niech przyjdzie sam Tadeusz i opowie, jak to było. Rankiem Tyczyńska przyszła z synem i powtórzyła swą prośbę o wydanie dla Tadeusza zezwolenia na opuszczenie Ruzdwan. Jeśli sołtys tego nie uczyni, to ona pójdzie na żandarmerię niemiecką. Kulikowski nie dał zezwolenia. Tadeusz udał się samowolnie do Tarnopola, a później do Lwowa. Przez kilka tygodni była nerwowa cisza... nic się nie działo.

W dwa dni po śmierci Skulskiego szwagier Tyczyńskiego poradził, by na noc przychodzić do niego, do Bernadówki „nie ma się co bać, ja mam broń, to jak ich kilku przyjdzie, to damy sobie radę, zresztą i dom jest pod blachą, obronimy się”. Tyczyński – stolarz za radą szwagra zjawił się u niego. Wtedy jednak przyszli banderowcy. Wpierw wołali, że mają sprawę do Tyczyńskiego, a gdy ten nie wychodził na dwór, wtedy do środka wrzucono kilka granatów. Z obu stron padały strzały karabinowe. Dom płonął. Tyczyński z sześciorgiem członków rodziny zabarykadował się w piwnicy. Banderowcy wokół domu czuwali. W następnym dniu rano, po pożarze, z piwnicy wydobyto siedem spalonych ciał. Tym ofiarom nie miał kto zrobić trumien, pochowano ich w skrzyniach zbitych z desek.

W całej okolicy jeszcze od czasów „sowieckich” wiadano, że prowdyrem ukraińskich nacjonalistów na tym terenie był jeden z Cyszków. Kiedy w okolicy zaczęli znikać niemieccy żołnierze (pojedynczo, czy w patrolach) Niemcy nasilili naciski na administrację (sołtysów) będących Ukraińcami, aby wskazali miejsce pobytu Cyska z Ruzdwan. Któregoś dnia (po kolejnej próbie podpalenia przez banderowców mostu na drodze do Darachowa) rano, mieszkańcy Ruzdwan, Bernadówki, Strusowa zobaczyli dużą ilość żołnierzy niemieckich. Z tymi żołnierzami szli też cywile (byli to Ślązacy znający język niemiecki). Żołnierze szli od domu do domu i kazali wszystkim mężczyznom udać się do Strusowa do szkoły. Na pytanie, czy można, czy należy coś brać ze sobą, odpowiadali, że niczego nie trzeba zabierać. Ciekawym był fakt, że wchodząc do mieszkania patrzyli na obrazy znajdujące się na ścianach. Z nich wnioskowali, jakiej narodowości są mieszkańcy domu, do którego przyszli. Za Ruzdwanami, w pobliżu Zubowa można było zauważyć, że w stronę Ostrowczyka idą (pod nadzorem żołnierzy niemieckich) mężczyźni. Okazało się później, że z miejscowości Zubów, Kaptury, Ostrowczyk, Zaścincze, Słobódka Strusowska,

Małów spędzono wszystkich mężczyzn do ukraińskiej czytelnicy „Proświeta”. W Strusowie i w Humniskach Niemcy wyczytywali nazwiska Ukraińców, następnie zgromadzili ich w oddzielnym pomieszczeniu. Polakom kazali wyjść na plac. Po dłuższej chwili wystąpił oficer niemiecki w towarzystwie tłumacza i odczytał wyrok, wymienił również nazwiska Ukraińców. Po odczytaniu wyroku zostali uruchomione silniki czołgów znajdujących się na placu. Na oczach wszystkich spędzonych na plac wprowadzano po sześciu Ukraińców i rozstrzelano. W ten sposób w Strusowie rozstrzelano 25 Ukraińców, a w Humniskach 36. Pozostałym kazano iść do domu. Jak się później okazało, Niemcom nie udało się schwycić Cyska pełniącego ważną funkcję w Ukraińskiej Powstańczej Armii. Dzień ten był tragiczny też dla Polaka Harasimowicza mieszkającego na skraju Ruzdwan (był starym kawalerem, jego brat był księdzem i w tym czasie był we Lwowie). Kiedy do jego domu weszli Niemcy, Harasimowicz wykazał wielkie zdenerwowanie. Na pytanie Niemca (z uśmiechem), czy czegoś nie ukrywa, Polak odpowiedział, że sam wszystko pokaże. Niemcy spojrzeli po sobie i ku ich zdumieniu Harasimowicz z sąsiedniej izby przyprowadził Żydówkę z dzieckiem na ręku. „Jak długo ją ukrywasz?” Od 1941 roku, ona jest z Trembowli – odpowiedział Harasimowicz. „No, ja” Jeden z Niemców kazał Harasimowiczowi objąć Żydówkę ramieniem. Kiedy Harasimowicz to uczynił, wówczas drugi Niemiec powiedział, że stanowią ładną parę i chodź wokół nich... w pewnym momencie oddał strzał w tył głowy Harasimowicza, ten osunął się na podłogę, nie żył. Żydówkę z dzieckiem Niemcy zabrali, nie znam ich losu.

Po tych wydarzeniach we wsi wyznaczono dużo kwatery mieszkalnych dla lotników niemieckich. Wiedzieliśmy, że coś z Niemcami nie jest dobrze. Rozpoczęto odbudowę lotniska opuszczonego dawniej przez Rosjan. Do prac na lotnisku spędzano ludność z sąsiednich miejscowości. Większość pracujących stanowili Polacy (mimo wydarzeń opisanych wyżej, władza we wsi należała do Ukraińców). Niemcy przestali być tacy butni jak poprzednio, stali się łagodniejsi. W trakcie prowadzonych prac nad lotniskiem pojawiały się coraz częściej samoloty sowieckie, z których wrzucano bomby. W trakcie nalotów rozbiegaliśmy się i każdy starał się skryć chociaż w leju bombowym. Do pobliskiego lasu, na przedmieściach Trembowli Niemcy przez całe dni i noce zwozili samochodami amunicję. Przy urządzaniu „parku bombowego” pracowali jeńcy rosyjscy (Boże, jacy to byli nieszczęśnicy. To były cienie istot żywych). W dniu 10 marca (a był to trzeci piątek Wielkiego Postu) kilka polskich rodzin wybrało się na nabożeństwo do kościoła. Zwykle przychodziła też ludność z Słobódki Strusowskiej. Tym razem z tej miejscowości przyszła tylko jedna kobieta. Ani przed, ani po nabożeństwie nie chciała z nikim rozmawiać. Po kilku godzinach wyszło na jaw, że w nocy z 9 na 10 marca banderowcy „pohulali” sobie z Polakami w Słobódce Strusowskiej. Zamordowali w tę noc 25 Polaków i dwoje Ukraińców, których uznano za sympatyzujących z Polakami. W tę tragiczną noc wielu mieszkańców Słobódki Strusowskiej uciekało boso, często w bieliźnie nocnej na teren niemieckiego lotniska. Do wieczora 10 marca wielu mieszkańców Ostrowczyka uciekało z podręcznym bagażem do Trembowli. Słobódka od zachodu była przedłużeniem Ostrowczyka. Z Trembowli wieczorami obserwowaliśmy łuny pożarów nad sąsiadującymi wioskami. Najbardziej pamiętną łuną gorzała polska wieś Tiutków, którą banderowcy spalili niemal całkowicie, a uciekających Polaków mordowali. To było gdzieś koło 14, może 15 marca. Od Wschodu dawała się słyszeć coraz częściej artyleryjska kanonada. Około 20 marca duża ilość żołnierzy niemieckich przetończyła się przez Trembowię. Kilkunastu spało jedną noc w naszej kamienicy, na podłogach, w ubraniach. Znużenie i strach – to było widać w ich oczach. 22 marca byliśmy znów „wyzwalani” przez Sowietów. Po krótkiej kanonadzie na przedmieściach Trembowli ulicami przetaczały się potężne czołgi, na których jak winogrona siedzieli z bronią w rękach umorusani żołnierze (nie tacy, jak w 1939 r.). Widok niesamowity, bo oto nie wiedzieć skąd pojawiły się na chodnikach miasta wiwatujące sylwetki ludzkie! Brudni, zaronieni, w lachmanach, do szkieletów raczej podobni niż do ludzi. Wiwatowali Żydzi, którzy cudem ocalili z pogromów. Życie! □

Jerzy Duda

Z przewodnikiem po ziemi tarnopolskiej

Ludwik Wawryszyn: Województwo tarnopolskie i jego zabytki do 1939 roku. Opole 2000 Opolska Oficyna Wydawnicza. Str. 184 + mapa.

Autor swoją książkę poświęcił „...pamięci i ku przestrodze narodu o milionach Polaków, którzy zginęli i zaginęli lub zostali wypędzeni w latach 1939–1947 w ramach czystek etnicznych przeprowadzonych w województwach: Tarnopolskim, Lwowskim, Łuckim i Stanisławowskim...”

Bardzo starannie wydana książka w graficznym opracowaniu Józefa Lewczaka podzielona jest na dwie części, w pierwszej przedstawiono ogólną charakterystykę województwa tarnopolskiego, wraz z silnymi organicznymi związkami z województwami ościennymi, w drugiej opisane zostały najważniejsze zabytki i zespoły zabytkowe w poszczególnych powiatach województwa; powiaty ustawione w porządku alfabetycznym, rozpoczyna Borszczów, kończy Złoczów. Podstawą dla opracowania publikacji były numery 8–10 „Wiadomości turystycznych województwa tarnopolskiego” z 1932 roku wydane przez Wacława Olszewskiego reprezentującego Polską Wszelchświatową Turystykę w Warszawie. Cennym wzbogaceniem pozycji jest reprint mapy wykonanej w 1926 roku przez Z. Ziłowskiego, zatytułowanej „Karta zabytków województwa tarnopolskiego” (skala 1:1.500.000).

Tarnopolskie było województwem najdalej wysuniętym na wschód II Rzeczypospolitej, podzielone na 17 powiatów funkcje administracyjne zaczęło spełniać począwszy od 1921 roku. Ciekawa to kraina, na krawędzi głębokich jarów, dnem których srebrzyste wody toczą bystre rzeki, stoją ruiny zamków kresowych, stanic strzegących granic polskich, z ich baszt i wieżyc rozciąga się nieporównywalny z niczym widok na szeroko rozlane morze bujnych łąk zboża, ginących hen za widnokręgiem. Najpiękniej opisał to Wincenty Pol:

„...Jak rozległe ziemie Boże
Przebież kraje, przebież role.
Znajdź kraj cały, przepłyni morze
Nie ma kraju nad Podole...”

Dla udostępnienia turystom poszczególnych obiektów historycznych, zabytków, którymi tak hojnie obsypane jest Podole, Urząd Wojewódzki w Tarnopolu wspólnie z Podolskim Towarzystwem Turystyczno-Krajoznawczym mającym swą siedzibę także w Tarnopolu wytyczył szlaki turystyczne obejmujące „magistralę główną” biegnącą od Lwowa do Przemyśla, ale są też liczne „szlaki boczne”, odnogi trasy głównej,

takie jak dla przykładu: Złoczów-Podhorcie, Tarnopol-Zbaraż, Krzywcze-Okopy św. Trójcy. Wspomniane Podolskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze powołane do życia w 1925 roku odegrało doniosłą rolę w promocji regionu w kraju. Zorganizowana w 1927 roku wystawa krajoznawcza i zabytków kultury, sztuki i tak licznych tu zamków i grodów dała możliwość ukazania tej krainy w całej jej niezwykłej krasie. Akcją propagandową zachęcającą do odwiedzenia Podola rozwinięto poprzez powołanie własnych placówek w różnych miejscowościach na terenie kraju, poprzez wydanie albumu „Zamki Podolskie”, a za pośrednictwem Ministerstwa Spraw Zagranicznych rozesłano po całym świecie materiały informacyjne zapraszające gości do przyjazdu.

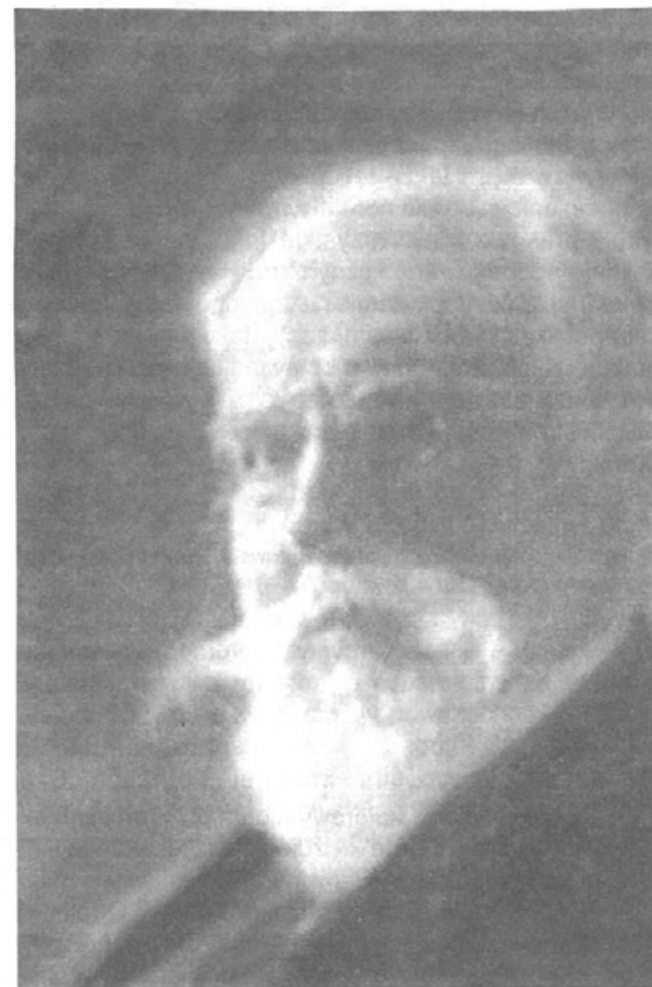
Utworzone zostało w Tarnopolu Muzeum Regionalne, będące centralną placówką skupiającą u siebie całokształt życia kulturalnego i naukowego województwa. Zagospodarowano i udostępniono do zwiedzania największe i najpiękniejsze w Polsce jaskinie krystaliczne w Krzywczu Górnym, wiodący przez nie szlak miał kilkanaście kilometrów długości! Otwarto domy wycieczkowe m.i. w Krzywczu Górnym, Zaleszczykach i w paśmie Miodoborów. Te wszystkie przedsięwzięcia świadczą o tym, że władze Ziemi Tarnopolskiej doskonale zdawali sobie sprawę z niezwykłych walorów regionu, przewidując, że już w niedalekiej przyszłości turystyka może być zarówno jednym z istotnych czynników dynamicznego rozwoju województwa jak i źródłem bogactwa jego mieszkańców.

A w części drugiej opisy zabytków, kolejno powiat za powiatem. Rozpoczyna „Powiat Borszczowski”: „...może najpiękniejszy z całego województwa...oparty od wschodu o Zbrucz, ciągnie się on na całej tej linii wschodniej, wzdłuż granicy sowieckiej...”, a kiedy dojdziemy do „Powiatu Brodzkiego” to możemy przeczytać: „...Ze szkół posiada powiat państwowe gimnazjum męskie, prywatne żeńskie z prawami szkół państwowych i 2-klasową szkołę handlową, wszystko w Brodach, oraz 79 szkół powszechnych, z czego z językiem wykładowym polskim 45, z ruskim 11, utraktystycznych zaś 21...” Każdy powiat jest szczegółowo opisany, i nie tylko o zabytkach, o pięknie tej ziemi mowa, ale o wszystkich sprawach, którymi żyli mieszkańcy Tarnopolszczyzny. Dlatego warto po tę książkę sięgnąć, dla jednych będzie to nostalgiczna podróż do kraju utraconego dzieciństwa i młodości, dla drugich źródło wiedzy o życiu społecznym, kulturalnym i gospodarczym ludzi zamieszkujących Kresy Wschodnie II Rzeczypospolitej. □

demii Pedagogicznej w Krakowie. Autorką jej jest profesor tej uczelni, Henryka Kramarz¹⁾.

Był politykiem i parlamentarzystą, gruntownie wykształconym dziennikarzem, działaczem samorządowym, ekonomistą i statystykiem, muzealnikiem, znawcą i krzewicielem kultury na kresach. Ciągłe absorbował się sprawami Galicji, w tym szczególnie Lwowa – takiego w pełni pokazała uczona. Myślą przewodnią zdaje się tu być zdanie zawarte w jego pismach: „Tylko wspólną pracą podważyć się da głaz grobowy, co nas gniewa”²⁾.

Urodził się 2 grudnia 1852 roku w Tarnowie w rodzinie ziemiańsko-inteligenckiej. Studiował w Politechnice Wiedeńskiej, następnie na Wydziale Prawa Uniwersyte-



tu Wiedeńskiego, w roku akademickim 1872/73 przeniósł się na Wydział Filozoficzny tej uczelni. Do ojca pisał w tym czasie: „My nie mamy się czego spodziewać z zewnątrz – istnienie zależy od własnych, rodzimych sił, tych nam brakuje. Żadnej nauki od dołu, aż do najwyższych sfer! Ciemny lud, miasta nędzne, ciemne społeczeństwo, zaschnięte w przesądach, antypostępowe i głupie. Wszystkie składki narodowe, posty i żaloby to iluzje, do których rasa słowiańska, szczególnie Polacy nadzwyczaj skłonni. [...] Smutna przyszłość Polaków wobec germanizmu. Element niemiecki po zwycięstwach we Francji zhardział beczelnie, a w gruncie podły. Przekręcona teoria Darwina walki o byt – to dewiza tych doktrynerów postępu”³⁾. Tym poglądom był stale wierny.

W lipcu 1878 r. zdał egzamin na doktora. Rozprawa nosiła tytuł „Herders Philosophie der Geschichte”. Myśl filozofa niemieckiego, Johana Gottfrieda Herdera (1744–1803) – apologety Słowiańszczyzny, wzbudzała zainteresowanie i aplauz wśród Polaków. Wśród nich znalazł się także Tadeusz Rutowski. Jednym z recenzentów jego pracy był słynny Franciszek Brentano.

W 1879 r. przeniósł się do Krakowa. Tu założył rodzinę.

Prasa i pisarstwo publicystyczne stały się dla Rutowskiego rodzajem pasji życiowej. 1 stycznia 1881 r. zaczął wydawać własny dwutygodnik „Muzeum”. Było to pismo politycznie niezależne, służyło idei rozwoju kraju w dziedzinach: ekonomicznej, społecznej, naukowej i kulturalnej. Na jego łamach głosił poglądy liberalno-demokratyczne, zwracał usilnie uwagę na potrzebę pracy

organicznej w Galicji. Jednak po kilku miesiącach upadło. 18 stycznia 1882 wraz z Adamem Asnykiem i Tadeuszem Romanowiczem tworzy dziennik „Reforma”, wymierzony przeciwko konserwatystom i ich organowi – „Czasowi”. Pod koniec tego roku pismo przybrało tytuł „Nowa Reforma”. Zamieszczał w nim krytyczne artykuły o gospodarce w Galicji, krytykował elity, co nie przysparzało mu przyjaciół.

Publikował także broszury i książki. Jedną z nich „W sprawie przemysłu krajowego” dedykował Marszałkowi Krajowemu Mikołajowi Zyblikiewiczowi, którego nazywał przodownikiem w pracy nad odrodzeniem ekonomicznym kraju i najgorliwszym rzecznikiem sprawy przemysłu. Zostaje koncypientem w Biurze Statystycznym Wydziału Krajowego i w 1884 r. przenosi się z całą rodziną z Krakowa do Lwowa. W latach 1885–1894 redaguje „Rocznik Statystyki Przemysłu i Handlu Krajowego”. W latach 1887–1898 publikował także „Rocznik Statystyki Galicji” (tomy I–V).

Gdy w 1896 r. zaczął wychodzić we Lwowie wysoko nakładowy dziennik „Słowo Polskie”, nawiązał z nim kontakt. Początkowo kształt ideowy pisma nie podobał mu się. Pisał o nim: „ni to mięso, ni ryba, czasem banalnie zacofane, a czasem tromtadrackie”⁴⁾. Zmiany w tej mierze dokonał, gdy zastępował redaktora naczelnego, Tadeusza Romanowicza, przebywającego na kuracji. Nadał piśmie charakter polemiczny. Rósł nakład. W 1897 r. zaczęło wychodzić dwa razy dziennie.

W 1889 r. Rutowski wszedł do Sejmu Krajowego, reprezentując warstwę inteligentno-mieszczańską i drobnoszlachecką. Uchodził za demokratę i liberała. Zwalczając Stańczyków, licznie występujących we władzach autonomicznych, rekrutujących się spośród ziemian. Krytykował tzw. Podolaków – ekstremalnych konserwatystów wschodniogalicyskich. Wilhelm Feldman pisał w „Dziejach polskiej myśli politycznej”, że jego wysiłki natrafiały „na tępy opór ze strony gospodarzy szlacheckich”⁵⁾. Był także posłem do Rady Państwa. Stale dbał o rozwój przemysłu, zwłaszcza drobnego, w Galicji, także o rzemiosło, interesował się sytuacją wsi.

W 1905 r. zostaje wiceprezydentem Lwowa. Do obowiązków należało dbanie o kulturę i sztukę Lwowa. Wywiązywał się z nich wyjątkowo ofiarnie. Z żelazną konsekwencją realizował ambitny projekt założenia Miejskiej Galerii obrazów we Lwowie, wysunięty przez malarza Kornela Szlegla już w 1861 r. Wnosił pomysły i smak estetyczny w rozbudowę miasta. Zainspirował miasto do utworzenia Muzeum Narodowego im. Króla Jana III. Zaczął wydawać własnym sumptem miesięcznik „Sztuka”, poświęcony malarstwu, rzeźbie, architekturze, rękodzielnictwu, przemysłowi artystycznemu, zdobnictwu, estetyce miasta. Pod względem merytorycznym i graficznym dorównywało to pismo najlepszym tego typu wydawnictwom europejskim. Warto podkreślić, że na jego łamach ukazywano kulturę polską w powiązaniu z ukraińską, ormiańską, żydowską, z folklorem cygańskim, góralskim, huculskim, także w łączności z kulturą ogólnoeuropejską. Pismo wychodziło do 1913 roku.

Gdy 28 lipca 1914 roku Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbii, jako wiceprezydent zwołał w dniu 31 sierpnia tego roku nadzwyczajne posiedzenie Rady Miejskiej. Powołano miejską straż obywatelską, by zapobiec wszelkim incydentom, które mogłyby sprowokować ak-

cję bojową ze strony Rosjan i obrócić, jak się wyraził, miasto w perzynę. Gdy Rosjanie podchodzili do Lwowa, starał się zapobiec panice i dantejskim scenom, jakie rozgrywały się na ulicach, a zwłaszcza w pobliżu dworca. 3 września zajęli miasto bez jednego wystrzału. Tak rozpoczął się ponaddziesięciomiesięczny okres okupacji.

Rutowski wraz ze zdekompletowaną Radą Miejską podjął się trudnego zadania zorganizowania życia gminy w wojennych warunkach. Rosjanie zażądali 16 zakładników jako gwarancji własnego bezpieczeństwa. Pierwszy zgłosił się, lecz Rada odrzuciła ten pomysł. Udało się mu osiągnąć modus vivendi z okupacyjnymi władzami. Jako prezydent z całą Radą Miejską z powodzeniem organizował życie miasta.

Wycofujący się Rosjanie w 1915 r. wywieźli z miasta ponad 40 obywateli grodu, wśród których znalazł się także Rutowski wraz z całym Prezydium Rady Miejskiej. Stało się to w nocy z 18 na 19 czerwca tego roku.

Zakładnicy przebywali w Rosji około 19 miesięcy. Najpierw znajdowali się pod strażą. Pod koniec sierpnia 1915 r. otrzymali prawo swobodnego poruszania się. Gdy 1 lutego 1917 powracał z zesłania do Lwowa, tłumy witały go entuzjastycznie. Powiedział wzruszony do mieszkańców: „Raczej mi wierzyć, że w ciężkich chwilach, które przeżywać musiałem, mniej mi potrzeba było sił do ich przetrwania, aniżeli mi ich trzeba dzisiaj do tego, ażeby wytrzymać to wszystko, coście mi zgotowali – dajecie mi bowiem coś, co przechodzi wszelkie najśmielsze nawet oczekiwania, i choćbym był najzarozumialszym, czegoś równego oczekiwać nie mogłem”⁶⁾. Nie przypuszczał, że pozostało mu niewiele życia.

Państwo Rutowscy z młodszą córką Marią udali się na Wielkanoc 1918 roku do córki Zofii i zięcia Wilhelma

Stanków w Krechowie koło Żółkwi. Tu prezydent Lwowa zmarł 30 marca. Pochowany został na koszt miasta na cmentarzu Łyczakowskim.

Książka Henryki Kramarz posiada bogaty aparat naukowy. Bibliografia liczy około 300 pozycji, w tym obok druków zwartych także rękopisy, pamiętniki i materiały wspomnieniowe, druki normatywno-sprawozdawcze, artykuły prasowe i in. Wszystkie fakty i oceny zostały solidnie podbudowane licznymi przypisami. Indeks nazwisk i spis ilustracji zamieszczonych w tekście zamykają publikację. Chciałbym z satysfakcją podkreślić ten umiar i rzetelność autorki w omawianiu postaci budzącej swoją działalnością jeszcze za życia tak silne namietności. Strona estetyczna publikacji skłania do sięgania po nią.

Przypisy:

- 1) Henryka Kramarz: Tadeusz Rutowski. Portret pozytywisty i demokracji galicyjskiej. Kraków, Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej, 2001, 156 s.
- 2) Tamże, s. 7.
- 3) Tamże, s. 28-29.
- 4) Tamże, s. 63.
- 5) Tamże, s. 66.
- 6) Tamże, s. 127.

.....
 Pięknie wydany, kolorowy album pt. „**Tam, gdzie lwowskie śpią Orle**ta” – zdjęcia Krzysztofa Hejke, tekst prof. Stanisława Sławomira Niciejki, wstęp min. Andrzeja Przewoźnika – o historii budowy Cmentarza Orłat, jego dewastacji i profanacji oraz ponownego odrodzenia się z gruzów, jest do nabycia w Zarządzie Głównym TMLiKPW (w cenie wydawniczej), Wrocław, ul. Ruska 32/33.

† Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 19 stycznia 2002 roku zmarła

ś p

dr DANUTA KRUPSKA

ur. w Kołomyi

Członek Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, współzałożycielka wrocławskiego Oddziału Miłośników Kołomyi „Pokucie” i czasopisma „Gdzie szum Prutu...” oraz jego wieloletnia współredaktorka.

Za swą pełną zaangażowania działalność na rzecz Towarzystwa i środowiska kresowego uhonorowana została Srebrnym Krzyżem Zasługi i Złotą Odznaką TML.

W przedwczorajszym Zmarłej tracimy człowieka dobrego serca, uczynnego, serdecznego przyjaciela. Taką pozostanie na zawsze w naszej pamięci.

Pogrzeb odbędzie się 29 stycznia 2002 r. o godz. 12 na cmentarzu przy ul. Grabiszyńskiej.

Rodzinie śp. Danuty składamy wyrazy głębokiego współczucia i żalu.

Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich

Śp. Danuta Maria Krupska (1932-2002)



Danuta Krupska, lekarz neurolog i społecznik – współzałożyciel, wieloletni sekretarz i prezes Oddziału Towarzystwa Miłośników Kołomyi „Pokucie”, współredaktor pisma *Gdzie szum Prutu*, działacz społeczny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Maria Danuta z domu Mossur urodziła się 5 września 1932 roku w Kołomyi jako córka Tadeusza, pracownika poczty w Gody-Turce, późniejszego właściciela Biura Pisania Podań w Kołomyi, i Karoliny, przyszłej nauczycielki w powiecie bystrzyckim w Kotlinie Kłodzkiej. Dzieciństwo spędziła wraz z młodszymi siostrami w domu rodzinnym przy ulicy Młyńskiej 19. Edukację szkolną rozpoczęła w pamiętnym 1939 roku. Uczęszczała do dawnej szkoły powszechnej im. Królowej Jadwigi, a następnie do Średniej Szkoły Polskiej nr 3, ucząc się jednocześnie gry na skrzypcach w Szkole Muzycznej. 9 kwietnia 1946 roku zaliczona jej ukończenie klasy siódmej. Okres okupacji sowiecko-niemiecko-sowieckiej był dla rodziny Mossurów czasem głodu, potwornej biedy i nieszczęścia. Z 8-osobowej rodziny z głodu zmarli dziadkowie, a ojca Tadeusza Niemcy aresztowali 11 listopada 1942 roku, wywożąc go do obozu koncentracyjnego w Majdanku. Jedynym źródłem utrzymania był własny ogród oraz upokarzający handel tym, czym się dało. Przydział chleba pracującej w szpitalu młodszej siostry matki, musiał starczyć dla całej rodziny. W tych warunkach wysyłanie dwa razy w tygodniu paczek żywnościowych do obozu dla ojca pogarszało życie i graniczyło z cudem. Rok 1944 przyniósł kolejny horror – mordercze ataki nacjonalistów ukraińskich na bezbronną ludność polską. Południowa dzielnica położona nad Prutem była poważnie zagrożona, rodzina Mossurów czasowo ukrywała się w dużych murych domach u życzliwych sąsiadów. W następnym roku Polacy zmuszeni zostali do opuszczenia ojczystej ziemi, by udać się w nieznane miejsca na Zachodzie, po wypędzonych Niemcach. Około 12 kwietnia 1946 roku Danuta, żegnana przez kolegów szkolnych wyruszyła z rodziną na Zachód. Transport na Wielkanoc dotarł do Bystrzycy Kłodzkiej. Tu okaleczona przez wojnę rodzina – matka z trzema nieletnimi córkami i z siostrą – znalazła swą przystań w domu ponemieckim przy ulicy Furmańskiej 19. Tu Danuta ukończyła w 1946 szkołę powszechną oraz Miejską Niższą Szkołę Muzyczną w klasie skrzypiec, stąd wyruszyła z hufcem „Służba Polsce” do stolicy budować trasę W-Z. Już w latach szkolnych widać było jej czupurny i zdecydowany charakter: W kołomyjskiej szkole nielubianym nauczycielom wypisywała na tablicy złośliwe wierszyki, a w maturalnej klasie odmówiła noszenia czerwonego krawata, co groziło niedopuszczeniem do matury i wydaleniem ze szkoły. Po złożeniu upokarzającej „samokrytyki” w 1951 roku otrzymała świadectwo dojrzałości w Państwowym Gimnazjum i Liceum w Bystrzycy Kłodzkiej.

W tym samym roku rozpoczęła studia medyczne na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej we Wrocławiu. Wobec dużych trudności finansowych zmuszona była je przerwać. Pracowała jako laborantka w Przedsiębiorstwie Robót Wiertniczych i Fundamentowych, próbowała studiować zootechnikę, w końcu wyszła za mąż za Leszka Krupskiego, studenta prawa, byłego komendanta hufca Szarych Szeregów pod Częstochową, działacza Harcerstwa, i powróciła na studia medyczne. Dyplom lekarza uzyskała w 1967 roku i po stażu podyplomowym w Miejskim Szpitalu im. Rydygiera rozpoczęła pracę w Przychodni Obwodowej nr 4 przy ul. Żelaznej, następnie w Przychodni Obwodowej nr 8 przy ul. Sienkiewicza (23 lata pracy) i w Centralnej Wyjazdowej Pomocy Wieczorowej (25 lat pracy), gdzie pracowała aż do jej likwidacji jako kierownik. W 1974 zatrudniona została w Szpitalu MSW przy ul. Olbińskiej. Tu pod kierunkiem dr Zofii Horoch-Hackemer, wybitnego neurologa i ordynatora rodem z Gwoźdźca, zdobyła w 1976 roku specjalizację I stopnia z neurologii, a II stopnia w 1983 roku w WAM w Warszawie. Równocześnie pełniła dyżury w Pogotowiu Ratunkowym przy ul. Traugutta. Po przejściu na emeryturę prowadziła prywatną praktykę, a także pracowała w Dolnośląskim Centrum Diagnostyki Medycznej DOLMED przy ul. Legnickiej, Areszcie Śledczym przy ul. Świebodzkiej i Zakładzie Karnym w Wolicy. W pracy zawodowej zawsze starała się pomóc potrzebującym, czyniąc to z uśmiechem, za co pacjenci darzyli ją uznaniem i szacunkiem. W każdym miejscu pracy niezwykle towarzyska, utrzymywała serdeczne stosunki z lekarzami i personelem medycznym, była przez to bardzo lubiana.

Z wielkim sentymentem wspominała swoje rodzinne miasto Kołomyję. Od lat 50-tych utrzymywała bliskie kontakty z koleżankami i kolegami ze szkolnej ławy, uczestniczyła we wspólnych spotkaniach, z których pierwsze odbyło się w 1967 roku. Podczas stanu wojennego solidarnie udzieliła pomocy szkolnemu koledze, chroniąc go przed dalszym więzieniem. W 1968 po raz pierwszy po wojnie odwiedziła z koleżanką ukochaną Kołomyję, a w 1989 zawiozła tam swą rodzinę.

Po powrocie przyłączyła się do działającej we Wrocławiu grupy Kołomyjan, skupionych wokół ppłk. Mieczysława Rutowicza i ks. Stanisława Jaremczuka. Tak rozpoczęła swą chlubną pracę społeczną na rzecz Kołomyi i Pokucia, stając się współzałożycielem organizacji zrzeszającej Kołomyjan pod patronatem TMLiKPW. Z inicjatywy wymienionych osób we wrześniu 1990 powołano Klub Kołomyjan, na jego czele stanął Tymczasowy Zarząd Klubu Kołomyjan z prezesem M. Rutowiczem i sekretarzem Danutą Krupską, pełniącą rolę prawej ręki prezesa. Powołano wówczas koła terenowe w Oławie, Oleśnicy, Kluczborku i we Wrocławiu oraz ustanowiono dwa ważne dla Kołomyjan terminy wspólnych spotkań: datę pielgrzymowania do Orazu MB Kołomyjskiej w Skomielnej Czarnej, w pierwszą sobotę i niedzielę września, oraz stałą datę spotkań przy Oplątku, w pierwszą sobotę po święcie Trzech Króli we Wrocławiu. W marcu 1991 Klub przekształcił się w Oddział Miłośników Kołomyi „Pokucie” przy TMLiKPW. Lata 1990-91 stanowiły najintensywniejszy okres działalności: cztery wycieczki do Kołomyi, pielgrzymki autokarowe do Skomielnej Czarnej, audycja radiowa redaktor Sobkowicz z

udziałem M. Rutowicza i D. Krupskiej, pierwsze artykuły sekretarza Oddziału w *Semper Fidelis* i *Strzesze Stryjskiej*. Oddział liczył wówczas około 200 osób. Po śmierci prezesa założyciela nastąpił poważny kryzys, grożący rozpadem Oddziału. Tylko nieustająca i nieustępliwa postawa Danuty Krupskiej spowodowała utrzymanie jedności i integrację środowiska kołomyjsko-pokuckiego. Dzięki Stryjanom znalazła godną siedzibę na spotkania kołomyjskie w Domu Parafialnym przy parafii Św. Bonifacego u ks. Wojciecha Tokarza, wrażliwego duszpasterza przegarniającego, wszystkich potrzebujących. Od 1992 roku przez osiem kolejnych lat była głównym organizatorem wszystkich spotkań Kołomyjan i Pokucian. W okresie, gdy pełniła funkcję prezesa Oddziału w latach 1996-2000 na spotkaniach tych gościła poezja, muzyka, śpiew i film oraz ciekawi ludzie z Pokucia i Kresów Południowo-Wschodnich. Obowiązywał demokratyczny zwyczaj udzielania głosu każdemu chętnemu. Niezapomniany klimat i przyjazną atmosferę Kołomyjanie zapamiętają na długo.

Jednym z głównych zadań Oddziału były wyjazdy do Kołomyi i udzielanie pomocy pozostałym tam Rodakom. W latach 1992-94 i 1996-97 Danuta Krupska współorganizowała bądź organizowała samodzielnie wycieczki do rodzinnego miasta zawożąc pomoc finansową na remont kościoła, plebanii, cmentarza i na potrzeby Rodaków oraz pomoc charytatywną: żywność, słodycze dla dzieci, lekarstwa, odzież, obuwie, książki, mapy, czasopisma, przedmioty liturgiczne dla kościołów. Gdy w 1998 i 1999 zabrakło chętnych na kresowe wyprawy wsiadała z córką w pociąg, by osobiście dostarczyć pomoc finansową ks. Alkowi Górskiemu, proboszczowi parafii kołomyjskiej. Na miarę swych możliwości wspierała prywatnie zarówno Polaków jak i Ukraińców. Przy organizowaniu pielgrzymek do Skomielnej Czarnej w 1996-97 współpracowała z klubami w Oławie, Oleśnicy i Kluczborku. Gdy w listopadzie 1995 wydano z Kołomyi ks. Piotra Buka, a z Obertyna ks. Józefa Trelę, wystosowała w obronie księży list *Przerwany lot* do redakcji gazet: *Gazety Wyborczej*, *Słowa-Dziennika Katolickiego* i *Gazety Lwowskiej* (list ten opublikowało jedynie *Gdzie szum Prutu...*). Od 1990 wydawała jako

sekretarz Oddziału „Biuletynu Informacyjne” na przemian z Mieczysławem Budzianowskim, prezesem Klubu „Pokucie” w Kluczborku. Realizując hasło „Ocalić od zapomnienia” w 1994 zainicjowała razem z córką, która została redaktorem naczelnym pisma dla Kołomyjan i Pokucian *Gdzie szum Prutu...*, stając się fundatorem pierwszego numeru i redaktorem pisma. W ciągu siedmiu lat ukazywania się pismo zyskało sympatię Kresowian, zjednoczyło rozrzuconych po całym świecie Kołomyjan i Pokucian w jedną wspólnotę, stało się materiałem źródłowym dla wielu autorów, przyczyniło się do uratowania wielu ksiązek, czasopism i dokumentów przedwojennych i nawiązania przyjaznych kontaktów z muzeami ukraińskimi w Kołomyi. Zawsze wspierała wszystkie wartościowe inicjatywy Kołomyjan oraz pomysły swojej córki, której przekazała swoje kresowe pasje (wystawa *Pokucie – ziemia Vincenza*, tabliczki pamięci poświęcone nieżyjącym Kołomyjanom, plan miasta Kołomyi, praca nad książkami o Kołomyi oraz o Kołomyjanach i Pokucianach). Jej dwunastoletnia działalność w Klubie, a potem w Oddziale „Pokucie” i w Zarządzie Głównym wniosła wiele cennych inicjatyw, co doceniali dolnośląscy Kołomyjanie i Kresowianie, a szczególnie Polacy z Kołomyi, wśród których była doskonale znana, lubiana i szanowana.

W latach 1996-2000 pełniła zaszczytną funkcję wiceprezesa Zarządu Głównego TMLiKPW, biorąc żywy udział w akcjach krajowych i zagranicznych.

Za żywe zaangażowanie w pracy społecznej na rzecz Kresów została odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi i Złotą Odznaką TMLiKPW.

Kochała życie, z pasją uprawiała pracę zawodową, działalność społeczną i liczne podróże, pracowała zawodowo do ostatniej niemal chwili, nie poddawała się – sama walcząc o swe zdrowie, w czym solidarnie pomagali jej koledzy lekarze. Po długotrwałej chorobie odeszła cicho, zdumiona, że nadszedł już jej kres, 19 stycznia 2002 we Wrocławiu. Po kremacji zwłok została pochowana 29 stycznia na Cmentarzu Grabiszyńskim, żegnana przez rodzinę, przyjaciół, świat medyczny, pacjentów i kresowian.

Cześć Jej Pamięci!

Władysław Łukaszyński

Pamięci ks. infułata Walentego Bala – kapelana Rzeszowskiego Oddziału TMLiKPW

W dniu 10 stycznia 2002 r. zmarł, w wieku 82 lat, ks. infułat Walenty Bal.

Odszedł od nas jeden z najwybitniejszych Kapłanów i Obywateli w powojennej historii miasta Rzeszowa. Odszedł człowiek dobry i mądry, wrażliwy i szlachetny, wielki patriota i autorytet moralny. Był znakomitym katechetą i kaznodzieją, nauczycielem wiary i patriotyzmu wielu pokoleń młodzieży. Sylwetkę ks. Walentego Bala przedstawiłem szerzej w „Semper Fidelis” Nr 3. 1999 r. s. 3.

W kapłaństwie przeżył 58 lat. Z Rzeszowem związany był przez 54 lata, w czasie których przez 50 lat był

duszpasterzem w kościele Św. Krzyża (gimnazjalnym), w tym przez 28 lat pierwszym proboszczem tej parafii, powstałej w 1970 r.

Wielkie zasługi ks. infułata W. Bala dla Kościoła i parafii Św. Krzyża oraz miasta Rzeszowa zostały docenione zarówno przez hierarchię kościelną jak i władze samorządowe i administracyjne, czego dowodem są nadane Mu znaczące urzędy i odznaczenia oraz tytuły: Protonotariusza apostolskiego – infułata, prałata papieskiego, dziekana Dekanatu Rzeszów I, kanonika gremialnego Kolegiackiej Kapituły Jarosławskiej, rektora, a następnie proboszcza parafii Św. Krzyża, kapelana



Msza św. odprawiana we własnym mieszkaniu przez ks. infułata W. Bala (siedzi) z udziałem, od lewej: siostry Heleny, ks. Wł. Jagustyna – proboszcza parafii Św. Krzyża, braci Stefana i Tadeusza oraz córki lekarza opiekującego się chorym ks. infułatem (zdj. z wyd. spec. „Nauczyciel wiary” s. 16)

Związku Żołnierzy Armii Krajowej i Cechu Rzemiosł Wielobranżowych.

Był też do końca swoich dni kapelanem Rzeszowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Z rąk arcyb. Ignacego Tokarczuka otrzymał „Medal Budowniczego Kościoła”, od Rady Miasta Rzeszowa tytuł Honorowego Obywatela Miasta Rzeszowa, a od Wojewody Rzeszowskiego i Kuratora Oświaty dyplom za zasługi na polu nauczania i wychowania młodzieży.

Również Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich przyznał Mu w 1999 r. „Złotą Odznakę Zasłużonego dla TML”.

Uroczystości żałobne rozpoczęły się już 13 stycznia wystawieniem trumny ze zwłokami Zmarłego w kościele Św. Krzyża i tutaj odprawiono trzy Msze św. w Jego intencji. Tutaj też przychodzili bez przerwy mieszkańcy Rzeszowa, parafianie i uczniowie Zmarłego, by pożegnać Go i pomodlić się w Jego intencji.

W dniu 14 stycznia o godz. 11.30 trumna zostaje przeniesiona do kościoła Farnego w Rzeszowie, gdyż życzenie ks. infułata W. Bala, wyrażonym przed śmiercią, było, by Msza św. pogrzebowa odprawiona została właśnie w tym kościele, gdyż jak twierdził, z kościołem tym duchem był związany zawsze. To właśnie w tym kościele rozpoczął w 1948 r. w Rzeszowie swoją ponad 50-letnią posługę duszpasterską jako wikariusz, a także, jako najstarszy wikary w tym kościele, pełnił w latach 1954-1957 obowiązki administratora tej największej wówczas w Rzeszowie parafii (po aresztowaniu jej proboszcza ks. infułata Jana Stączka).

Przed wyprowadzeniem trumny z kościoła Św. Krzyża, proboszcz tej parafii, ks. Władysław Jagustyn, następca ks. infułata W. Bala, wygłosił mowę pożegnalną nad trumną Zmarłego, w której w sposób wzruszający przypomniał Jego zasługi dla tego kościoła i dla tej parafii.

Mszę św. pogrzebową celebrował ordynariusz diecezji rzeszowskiej, ks. bp Kazimierz Górny z udziałem: bpa Edwarda Białogłowskiego – sufragana rzeszowskiego, bpa kieleckiego Kazimierza Ryczana, bpa Adama Szala – sufragana przemyskiego, bpa seniora Bolesława Łukasza Taborskiego z Przemyśla oraz księży infułatów. Homilię poświęconą Zmarłemu wygłosił ks. prof. Jan Twardy z Wyższego Seminarium Duchownego Archidiecezji Przemyskiej.

Z okazji pogrzebu ks. infułata W. Bala ukazało się wydanie specjalne pt. „Nauczyciel wiary”, które rozdawane było w kościołach Św. Krzyża i Farnym wśród uczestników uroczystości żałobnych.

Po zakończonej Mszy św. pogrzebowej chór katedralny zapiewał „Requiem”, utwór żałobny Mozarta, po czym trumnę przewieziono samochodem – karawanem na cmentarza Rzeszów-Wilkowja.

Tam, przed bramą cmentarną uformował się i ruszył kondukt pogrzebowy: orkiestra wojskowa, 17 pocztów sztandarowych, delegacje z wieńcami, a za nimi trumna niesiona na ramionach parafian i uczniów Zmarłego, duchowieństwo, przedstawiciele władz miejskich i wojewódzkich oraz ogromne rzesze, tysiące ludzi – mieszkańców Rzeszowa, okolicznych wsi i powiatów.

Po odprawieniu modlitw nad trumną Zmarłego, ks. bp Kazimierz Górny, a następnie brat Zmarłego Stefan i przedstawiciel Stobiernej – rodzinnych stron Zmarłego, podziękowali wszystkim uczestnikom pogrzebu. W chwili opuszczania trumny do grobu wszystkie sztandary pochylały się nad nią, a orkiestra odegrała pożegnalny marsz żałobny. Wielu ludzi płakało.

W uroczystości tej uczestniczyli też członkowie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, w imieniu których wieniec na grobie Zmarłego złożyli: Bolesław Opalek – honorowy prezes oraz Władysław Łukaszyński – wiceprezes Zarządu Oddziału. Na szarfie tego

wieńca umieszczony był napis: „Naszemu Kapelanowi Ks. Infułatowi W. Balowi – członkowie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich”.

Nasz Kapelan – wielki kapłan, patriota i przyjaciel Kresowiaków, znalazł też godne, podkreślające Jego zasługi, miejsce wiecznego spoczynku, miejsce sąsiadujące z pomnikami Ofiar Stalinizmu i Pamięci Ofiar Hitlerowskich Obozów Koncentracyjnych, ofiar, o których stale pamiętał i za które jako kapłan-patriota modlił się do ostatnich dni swojego życia.

Wspominając swoją drogę życiową i kapłańską w listopadzie 2001 roku ks. infułat W. Bal powiedział tak:

„Moje życie dobiega do kresu, coraz częściej przebywam w szpitalu, ale o Ojczyźnie nigdy nie zapominam. Modlę się za Kościół, ale i za Polskę, aby Polska nie zatraciła swojego chlubnego tytułu „Polonia semper fidelis”. Aby tak się stało”.

Jego postać pozostanie na zawsze w naszej pamięci, w pamięci Kresowiaków i mieszkańców Rzeszowa. Niech Mu ta Ziemia Rzeszowska, której tak wiernie i dobrze służył przez tyle lat, lekką będzie. Niech odpoczywa w pokoju.

Cześć Jego pamięci!

Śp. Henryk Kogus (1921-2001)



Urodził się 17 lipca 1921 r. we Lwowie, jako syn Władysława i Anny Czosnykowskiej. Tam też zamieszkiwał do sierpnia 1944 r., ukończył szkołę powszechną i gimnazjum. Za okupacji sowieckiej pracował dorywczo jako pracownik fizyczny, a za okupacji niemieckiej wraz z bratem jako ślusarz w warsztatach samochodowych. W połowie m-cu maja 1942 r. wraz z ojcem i bratem Witoldem został

zaprzyśiężony jako żołnierz Armii Krajowej otrzymując ps. „Banita”. W jesieni 1943 r. wraz z bratem wstąpił do partyzantki i w 1944 r. został powołany do oddziału leśnego w lasach janowskich pod dowództwem Jana Lecha, cichociemnego, ps. „Granit”. Brał czynny udział w akcji „Burza” walcząc w szeregach 19 pp 5 Lwowskiej Dywizji AK. Uniknął aresztowania zostając powołanym do odrodzonego Wojska Polskiego do 4 Pułku Kawalerii szwadronu szkolnego, skąd został przeniesiony do I Oficerskiej Szkoły Lotnictwa w Zamościu. W roku 1945 w m-cu marcu został aresztowany przez „Informację” za przynależność w okresie okupacji do AK i osadzony w obozie dla internowanych w Skrobowie koło Lubartowa, skąd został wywieziony bez sądu do łagrów w głąb Rosji – do Omska, Tosku, Dubowca i Stalinogorsku II. Wiosną 1947 powrócił do Polski i po odnalezieniu rodziców osiedlił się w Przemyśle, gdzie założył rodzinę, pracował aż do emerytury w firmie C. H. Hartwig w Żurawicy.

Był jednym z członków założycieli Przemyskiego Oddziału TML w 1989, jego aktywnym członkiem, jako lwowianin zawsze wspominał i odwiedzał swoje rodzinne miasto. Posiadał wiele orderów i odznaczeń, między innymi Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, Krzyż Obrony Lwowa II 1939-1944, Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Partyzancki, trzykrotny Medal Wojska Polskiego i inne. Zmarł w Przemyśle 18 października 2001 r. i tam został pochowany.

Śp. Marian Macieboch (1910-2001)

Urodził się w 1910 roku we Lwowie, tam spędził dzieciństwo i młodość, uczęszczał do szkoły powszechnej i średniej im. Stefana Batorego, a następnie

ukończył Uniwersytet im. Jana Kazimierza, Wydział Prawa. Po ukończeniu studiów został zatrudniony w Dyrekcji Kolei Lwowskiej, gdzie pracował aż do wybuchu II wojny światowej. W międzyczasie odbywał służbę wojskową jako instruktor narciarstwa. Zawiera związek małżeński z Wiktorią, nauczycielką uczącą na wsi pod Brodami, buduje dom na peryferiach Lwowa. Po wybuchu wojny wraz ze swoją jednostką dociera do Warszawy, bierze udział w jej obronie i dostaje się do niewoli, skąd ucieka i przedostaje się do Lwowa, tam też przebywa pod okupacją sowiecką wstępując do Związku Walki Zbrojnej przekształconego z czasem w Armię Krajową. Podczas okupacji niemieckiej działa również w konspiracji we Lwowie, a następnie w oddziałach leśnych AK koło Pruchnika. Po wojnie osiedla się wraz z rodziną w Przemyśle, gdzie pracował i działał aż do chwili śmierci, gdzie został pochowany, choć zawsze chciał spocząć w rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Był jednym z członków założycieli Przemyskiego Oddziału TMLiKPW, aktywnym członkiem kolejnych zarządów, komisji rewizyjnej, Wiceprezesem, uhonorowanym przez Zarząd Główny Złotą Honorową Odznaką Towarzystwa.

Śp. Roman Koba (1916-2001)

Urodził się 9 sierpnia 1916 r. w Jarosławiu, syn Józefa Koby, który w 20-lecie uzyskania niepodległości otrzymał w 1938 roku dyplom nadania Honorowego Członka Miasta Jarosławia jako współtwórca pierwszych w II RP sił zbrojnych ziemi jarosławskiej. Roman Koba otrzymał taki tytuł w 80 rocznicę uzyskania niepodległości. W Jarosławiu spędził dzieciństwo i lata młodości, w 1939 roku ukończył Szkołę Podchorążych Piechoty w Komorowie. Po klęsce wrześniowej powrócił do Jarosławia, gdzie starszy jego brat Władysław ps. „Rak” zaprzysiężył go do Związku Walki Zbrojnej, gdzie był jego zastępcą w oddziale dywersyjnym AK. Aresztowany 9 stycznia 1944 r. trafił do Gross-Rosen, a stamtąd do Gergen Belsen. W 1945 roku odpłynął statkiem do Szwecji na półroczne leczenie nie widząc, że odpływa na zawsze. Tam poznał swoją przyszłą żonę, przebywającą również na leczeniu uczestniczkę Powstania Warszawskiego, osiedlił się w miejscowości Vasteras niedaleko Sztokholmu. Był jednym z założycieli Związku Wolnych Polaków w Szwecji, który organizował zbiórki lekarstw, odzieży i obuwia oraz żywności dla rodaków w kraju. W stanie wojennym powołano Kongres Polaków w Szwecji, a jego prezesem został Roman Koba. Dalej

zajmował się pomocą humanitarną dla kraju, występował w obronie więźniów politycznych, udzielał poręczeń tym, którzy starali się o azyl w Szwecji, wspierał inicjatywy społeczne w Polsce, na Białorusi i Ukrainie. Do swojej wolnej Polski przyjechał po raz pierwszy w 1991 roku, po 47 latach. Za swoją działalność został uhonorowany przez Prezydenta na Uchodźstwie Krzyżem Oficerskim, a przez Prezydenta RP – Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Utrzymywał kontakty z Przemyskim Oddziałem TMLiKPW poprzez swego bratanka Wojciecha, długoletniego działacza oddziału oraz osobiście brał udział w spotkaniach z członkami i zarządem, wspierał finansowo

humanitarną działalność naszego oddziału oraz kolonie dla dzieci z rodzin polskich z Ukrainy.

Zmarł w dniu 27 grudnia 2001 w Szwecji i tam został pochowany na cmentarzu w Vasteras.

Zmarli byli dobrymi Polakami, przyjaciółmi i kolegami, lwowianinami, kresowianami, gorącymi patriotami. Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie.

Cześć Ich Pamięci!

**Zarząd Oddziału TMLiKPW w Przemyśle
Koleżanki i Koledzy, Lwowianie i Kresowianie**

Śp. Bogdan Pacewicz



12 sierpnia 2001 r. zmarł w wieku 68 lat **Bogdan Pacewicz** prezes Świdnickiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Od 1989 r. był jego członkiem, od lat uczestniczył w pracach zarządu Naszego Towarzystwa. Zasługiwał na szczególne uznanie i wyróżnienie. Odpowiedzialny, koleżeński, pełen inicjatywy, sprawny organizator, patriota. Za działalność społeczną i polityczną odznaczony:

- Krzyżem Więźnia Politycznego 1939-1956,
- Krzyżem za Wolność i Niepodległość,
- Orderem Męczeństwa i Zwycięstwa dla represjonowanych od 1939 r. do 1989 r.

– Orderem Przelanej Krwi za Ojczyznę.

Uważał, że winniśmy naszym przodkom pamięć i szacunek. Zawsze to podkreślał organizując rocznicowe obchody, a także podejmując starania o utrwalenie w nazwach ulic i tablicach pamiątkowych bohaterów walk o niepodległość. Cenił inicjatywy współpracowników, którzy przekazywali młodzieży swoje doświadczenia z czasów wojny i wiadomości o kulturze narodowej, ukształtowanej na Kresach. Wspierał wszelkie inicjatywy pomocy rodakom na Wschodzie, a zwłaszcza udział w organizowaniu wakacyjnego wypoczynku dla ich dzieci. Za czynną pracę w naszym Towarzystwie uhonorowany Złotą Odznaką Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Całym sercem oddany Ojczyźnie, Polsce, Kresowianom. Jego odejście głęboko zasmuciło członków naszego Towarzystwa.

**KOLEŻANKI I KOLEDZY
Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów
Południowo-Wschodnich Oddział Świdnica**

Śp. Krystyna Ciesielska-Zawadzka (1938-2001)



31 października 2001 roku zmarła nasza koleżanka Krystyna Ciesielska-Zawadzka. Była utalentowana. Widziała piękno świata i potrafiła go utrwalić.

Urodzona 9. 04. 1938 roku we Lwowie, jako małe dziecko, w czasie wojny, wraz z matką została wywieziona do Kazachstanu. To cud, że przeżyła. Niewiele dzieci wróciło do Polski z warunków, w jakich przyszło im żyć. Ale jak sama o sobie mówiła, była nie do pokonania. Po wojnie z rodziną zamieszkała w Bydgoszczy, gdzie ukończyła naukę w Państwowym Liceum Technik Plastycznych na Wydziale Grafiki Reprodukcyjnej. Swoją pasję artystyczną pogłębiała studiując w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu na Wydziale Architektury Wnętrz. Jej profesorami byli wybitni artyści: prof. Eustachy Wasilkowski, Franciszek Burkiewicz i Zbigniew Kaja. Dyplom uzyskała w 1963 r. u prof. Jana Węclawskiego z architektury wnętrz i projektowania mebli.

Od 1957 roku na stałe związała się z Poznaniem. Tutaj do końca zajmowała się wieloma kierunkami sztuk plastycznych: grafiką użytkową i artystyczną (linoryt, drzeworyt), malarstwem, architekturą wnętrz oraz ceramiką artystyczną. Brała udział w wystawach indywidualnych, grupowych, ogólnopolskich i zagranicznych. W zakresie sztuki współpracowała z różnymi instytucjami i firmami, a przez 25 lat na MTP w Poznaniu wykonywała oprawy plastyczne i okolicznościowe. Ulubionym tematem w grafice i malarstwie był pejzaż związany z architekturą. Zafascynowana była morzem i światem podwodnym. Sztuka była dla niej azylem. Uciekała do niej przed codzienną szarością, wracaniem do wspomnień i podróży. W swej twórczości, a szczególnie w ceramice, dno morza było dla Niej nieustającym źródłem inspiracji. Działalność artystyczną łączyła z działalnością społeczną w Zarządzie Związku Polskich Artystów Plastyków, Polskiej Sztuki Użytkowej, Stowarzyszenia Marynistów Polskich oraz Towarzystwie Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddział w Poznaniu. Wielokrotnie wyróżniano Ją za zasługi artystyczne. Były to: Odznaka Honorowa „Za Zasługi w Rozwoju Województwa Poznańskiego” w 1987 r., Odznaka Honorowa Miasta Poznania w 1988 r., Medal „Zasłużony dla Marynistyki Polskiej” w 1997 r.

Przez 12 lat istnienia naszego Oddziału, wchodząc w skład Zespołu Redakcyjnego, pięknie ilustrowała Biuletyn Informacyjny. Była to grafika o tematyce lwowskiej, kresowej, tworzona z głębi serca, tęskniącego do swoich korzeni człowieka, któremu odebrano to, co dla niego było święte. Jednak największym Jej dziełem stała się Kronika, prawdziwe dzieło sztuki, podziwiane przez wszystkich. Krysia w środy przychodziła na dyżury do siedziby Towarzystwa w Zamku, wyjeżdżała na Pikniki Lwowskie, gdzie wraz ze swym mężem Wacławem była duszą towarzystwa. Zawsze brała udział w organizowaniu pomocy charytatywnej dla rodaków mieszkających na południowo-wschodnich Kresach Drużby Rzeczypospolitej. Za swą pełną oddania pracę na rzecz Towarzystwa w 1988 r. otrzymała Złotą Odznakę

TMLiKPW, a w 1999 r. Medal z okazji 10-lecia Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Była także uatentowaną poetką. Jej wiersze, ilustrowane przez nią, publikowaliśmy w Biuletynie Informacyjnym. Wiersze te powstawały z potrzeby serca, po sentymentalnych podróżach na Jej Ziemię Świętą – na Kresy. Przepelnione tęsknotą, pięknie opisujące utraconą Ojczyznę, Miasto Semper Fidelis – Lwów, cieszyły tych, którzy także tęsknili za swoimi Kresami.

Zachowaliśmy Ją w pamięci jako osobę zawsze uśmiechniętą, niezwykle ciepłą, pogodną i życzliwą, kochającą i oddaną swoim bliskim, a przede wszystkim jako Lwowiankę i wielką artystkę.

Hanna Dobias-Telesińska

Krystyna Ciesielska-Zawadzka

Marzenie o mieście rodzinnym

Pojawiasz się często
W marzeniach sennych...
Miasto rodzinne
Znane z opowieści...

Studiuje książki, sztychy,
Stare fotografie,
Rysuję z uwielbieniem
Fragmenty historii...

Zdaje się, że znam Ciebie,
Lecz coś może
Pamiętać dziecko,
Tak brutalnie
Ze snu zerwane
W tamtą noc lutową
Roku czterdziestego,

Z Matką wziętą
W bydlęcym wagonie,
Z tłumem wygnanców
Gdzieś, na kraj świata
W płowe niegościnne
Azjatyckie stępy?

Przeznaczenie pozwoliło
Przeżyć piekło
Tam, gdzieś w Kazachstanie
I wrócić do Polski...

Miasto moje zostało
Daleko – po drugiej stronie,
Bo tak zdecydowali
Wielcy tego świata.

W gościnnym Poznaniu
Znalazłam nowy dom
Lecz korzenie moje
I serca cząsteczka
Są tam we Lwowie...

Wiem, że niedługo
Spełni się
Moje największe
Marzenie
I zobaczę kochany Lwów,

Będzie to pielgrzymka
Do krainy przodków,
Cudownego miasta
Do mej Ziemi Świętej...

Autorka wiersz napisała w 1994 roku marząc o wyjeździe do Lwowa.

Jadwiga Sibiga

Wspomnienie o Adamie Lewickim

Pan Adam Lewicki? – „tak, a o co chodzi?”.

Zadaję pytanie siedzącemu naprzeciw mnie przewodniczącemu zebrania makroregionu pld.-wsch. odbywającego się w Tarnowie.

Jest marzec 1994 rok. Przyjechaliśmy tu po raz pierwszy, inicjatorem powstania makroregionu i koordynatorem jest inż. Adam Lewicki, prezes Tarnowskiego Oddziału TMLiKPW.

Moje pytanie nie było przypadkowe. Z nazwiskiem tym wiązało się jakieś wspomnienie i kiedy w mieszka-

niu państwa Lewickich, gdzie odbywało się zebranie, zobaczyłam na ścianie zdjęcie młodego chłopca, byłam pewna, że się nie mylę. Wprawdzie zdjęcie to przedstawiało syna państwa Lewickich, ale podobieństwo było niesamowite.

Skojarzenie zakodowanego obrazu z nazwiskiem dało natychmiastowy efekt, nie miałam najmniejszych wątpliwości, że to ten sam człowiek, którego kiedyś znałam. Moment wyjaśniania zdumionemu panu Lewickiemu, że „my się przecież znamy”, wzbudził zrozumia-



łe zainteresowanie obecnych osób, które „domagały” się opowiedzenia tej historii.

Ażebym wszystko było jasne do końca, opowiedziałam krótko wydarzenie sprzed lat. W trakcie mojego opowiadania myślami byłam tak blisko tamtych wydarzeń, że okres minionych 50 lat wydał mi się chwilą.

Rozpoczęcie zebrania nieco się opóźniło...

Był rok 1943, sytuacja na froncie niemiecko-sowieckim gwałtownie się pogarszała. Niemcy tracili grunt pod nogami, ale ich buta narodowa nie pozwalała godzić się z myślą o klęsce. Widzieliśmy całe transporty rannych i kalekich żołnierzy, którymi zapelnione były szpitale, tego nie dało się ukryć. Wniosek był oczywisty, ale zadawaliśmy sobie pytanie – kiedy to się wreszcie skończy i dla nas przyjdzie zmiana i wyzwolenie z okupacji. Prasa konspiracyjna nie dla wszystkich była dostępna, ale wiadomości były rzetelne i rozchodziły się błyskawicznie wśród Polaków.

W tym czasie do miasta docierały niepokojące wiadomości o napadach i mordach dokonywanych na Polakach przez bandy UPA. W dużych miastach było względnie bezpiecznie i trudno było uwierzyć, że jest to możliwe. Niemcy patrzyli na to pobłażliwie, gdyż na rękę była im taka sytuacja, ułatwiająca ich plan zagłady narodów. Pradoksalnie do swoich brutalnych poczynań Niemcy za wszelką cenę w opinii światowej chcieli uchodzić za nadludzi, którzy zaprowadzają nowy ład w Europie.

Jedną z takich „wizytówek”, przed Międzynarodową Organizacją Czerwonego Krzyża, było otwarcie sanatorium dla chorych na płuca w Wygodzie.



Lwowskie lekarze natychmiast wykorzystali tę okazję, aby wysłać tam młodzież, która najbardziej była narażona na choroby z powodu niedożywienia.

Od samego początku byłam tam jako jedna z kuracjuszek, zawdzięczałam to dr. Tadeuszowi Kielanowskiemu, po wojnie profesorowi, założycielowi Akademii Medycznej w Białymstoku. Jemu i wielu innym lekarzom, działającym w konspiracji, młodzież lwowska zawdzięczała opiekę w różnych sytuacjach życiowych.

Wygodą to miejscowość położona nad Świcą (dopływ Dniestru) w kotlinie gór Beskidu Wschodniego, blisko granicy węgierskiej.

Warunki w sanatorium wręcz doskonałe, do których na początku podchodziliśmy z obawą i nieodwierzaniem, zmiana klimatu sprawiała cuda.

Idealne miejsce na odpoczynek i powrót do zdrowia, idealne też miejsce dla ukraińskich grup dywersyjnych wysłanych ze Lwowa w roli emisariuszy.

W soboty i niedziele osoby te znikwały w terenie pod jakimś pozorem, ale trudno było udowodnić im cokolwiek.

W tym czasie w okolicy coraz częściej zdarzały się napady na ludzi polskiego pochodzenia.

W Wygodzie było jeszcze względnie bezpiecznie, ale widok wędrujących przed nocą polskich rodzin w bezpieczniejsze miejsca niepokoił i dawał do myślenia.

Frekwencja kuracjuszy zaczęła spadać, pozostający tam jeszcze zaczęli opuszczać Wygodę.

Wyjeżdżałam z Wygody zareczona z kierownikiem sanatorium, wkrótce miałam tu powrócić jako żona.

Po ślubie, który odbył się we Lwowie, jechaliśmy na swoje miejsce przeznaczenia, by rozpocząć nowe życie.

W pociągu zaskoczyło mnie to, że pasażerów jest niewielu, najczęściej to mężczyźni mówiący po ukraińsku, zachowujący się wulgarnie, którym „źle patrzyło z oczu”. Mój mąż poprosił, żebyśmy nie rozmawiali, tak będzie najlepiej, bo po co drażnić tych ludzi, nie podo- bało mi się to, ale milczałam.

Do Wygody dojechaliśmy bez większych problemów, na miejsce dowiozła nas wąskotorówka. Myśl, że nie powinnam tu zamieszkać nie dawała mi spokoju od pierwszego dnia.

Każdy dzień przynosił dramatyczne wiadomości o porwaniu Polaków, ot tak po prostu, w biały dzień na ulicy. Przemieszczanie polskiej ludności w miejsca bezpieczniejsze, przedwieczorne zgromadzenia pod cerkwią, to wszystko nie dawało spokoju. Noce nieprzespane, na ciągłym czuwaniu, stawały się koszmarem. Byłam zdecydowana wrócić do Lwowa do rodziny, ale mąż nie mógł opuścić miejsca pracy. Kiedy mój niepokój stawał się obsesją, mąż zgodził się na mój wyjazd pod opieką jednego z kuracjuszy, powracającego do Lwowa.

Ostatni dzień października, chłodny wczesny poranek, lekki przymrozek dawał znać, że w górach nieuchronnie zbliżała się zima.

Konie parskwały niespokojnie, wypoczęte rwały się do drogi. Stałam obok i pytam, gdzie jest ten „pan”, z którym mam jechać do Lwowa. W półkoszku wysiedzieliśmy sianem siedział jakiś chłopiec, popatrzył na mnie tak znaczącym wzrokiem, że od razu zrozumiałam swój nietakt.

Dowieziono nas do Doliny, miasteczka oddalonego od Wygody o 10 km. Siedziałam obok tego „pana” trochę speszona swoim odezwaniem, on całą drogę milczał, pewnie się obraził. Jeśli tak będzie wyglądała podróż, to nie wytrzymam. Ta myśl uparcie powracała. Pożegnałam męża i od tej chwili byłam zdana na łaskę mojego opiekuna. Słyszałam jak zapewniał, że odwiezie mnie do samego domu bezpiecznie. Wyznałem, że wydało mi się to trochę dziwne, chłopiec wyglądał zbyt młodo, a ja mimo 19 lat czułam się wobec niego starsza, choćby dlatego, że byłam mężatką: czy aby role nasze nie powinny się zamienić?

Nie pamiętam, jaka odległość dzieliła Dolinę od Stryja, chłopiec milczał, jakby mnie w ogóle nie było, na pewno się obraził, trudno. Próbowałam nawiązać rozmowę, na moje pytania odpowiadał grzecznie, ale krótko.

W Stryju przesiadka do Lwowa, przykra niespodzianka i zaskoczenie, pociąg do Lwowa odwołany w związku z wykolejeniem na trasie.

Jestem zdecydowana wracać do Wygody, ale mój opiekun głosem stanowczym oświadcza, że on dał słowo i dotrzyma go odwołując mnie do Lwowa.

Ogarnęła mnie złość, ten chłopiec po prostu mi rozkazywał, co mam robić, spojrzałam na niego, aby mu to powiedzieć i rozumiałam, że to ja muszę ustąpić. Zresztą, czy miałam inne wyjście, na pociąg powrotny musiałabym czekać parę godzin.

Malutka poczekalnia zatłoczona, pełna ludzkich wyziewów, atmosfera niepokoju i zniecierpliwienia, w każdej chwili służba kolejowa mogła zamknąć drzwi i prze-

prowadzić rewizję (wiadomo, że w tym czasie nie jechało się w celach turystycznych).

Zrezygnowana siedziałam w tym ciasnym i brudnym pomieszczeniu, żalując, że zdecydowałam się wyjechać z Wygody. Mój towarzysz podróży, aczkolwiek mało rozmowny, widząc moją rozterkę i niezadowolony, starał się być uprzedzająco grzeczny i usłużny w stosunku do mnie, może dawał mi do zrozumienia, że wie, co do niego należy.

Byłam już bardzo zmęczona, kiedy zapowiedziano pociąg do Sambora i, chociaż to jeszcze nie Lwów, to jednak cel podróży zbliżał się coraz bardziej.

Znowu stacja w Samborze i oczekiwanie w podobnych warunkach, wokół coraz więcej osobników o nieokreślonej profesji i przynależności społecznej, głęboko na oczy nasunięte czapy baranie, spod których wyzierały spojrzenia dzikie i nienawistne. Kim byli ci ludzie zachowujący się tak prowokująco w stosunku do innych?

Prześladował mnie lęk przed czymś nowym, nieznanym, przed czymś, co nieuchronnie wisiało w powietrzu, pełzało po ziemi, czaiło się na każdym kroku, aby ogarnąć tę ziemię pożogą i morzem krwi.

Z przykrego zamyślenia wyrwał mnie bardzo spokojny głos mojego opiekuna, że zamiast oczekiwać na pociąg w poczekalni dworcowej możemy odwiedzić jego krewnych w Samborze. Przyjęłam tę propozycję z radością.

Kuzynka chłopca przyjęła nas gorącą kawą z „ersatzu”, bo taką się wówczas piło. To przywróciło mi trochę siły i lepsze samopoczucie.

Nie wypadło przeciągać tej niespodziewanej wizyty, zdumiewające wprost jak w tych niezwykłych warunkach, w jakich przyszło nam żyć, zwracało się uwagę na zasady dobrego wychowania.

Okazało się, że czas oczekiwania na pociąg do Lwowa jest jeszcze dość długi, mój towarzysz zaproponował teraz zwiedzanie Sambora, może w innych warunkach byłoby to oczywiste, teraz jednak wydawało mi się to nienormalne. Tylko przez krótki czas chodziliśmy ulicami tego miasta, on wyprzedzał mnie o kilka kroków, co chwilę stawał i coś objaśniał. Zapamiętałam tę charakterystyczną sylwetkę o szczupłej budowie, z głową przechyloną na bok, kiedy coś mówił. W Samborze zachowywał się w naturalny sposób, rozmawiał swobodnie, bez zachowania ostrożności. Od strony Dniestru wiało chłodem, byliśmy zbyt lekko ubrani jak na tę porę roku, zwłaszcza w letnim ubraniu.

Zapadał szary jesienny wieczór, kiedy wchodziliśmy do pociągu, miał to być ostatni etap tej przeciągającej się podróży. Pustki w pociągu, ludzie coraz rzadziej podróżowali, zwłaszcza w te strony. Wagony brudne, rozbite szyby w oknach i drzwiach robiły niesamowite wrażenie, jakieś strzępy dawnych firanek powiewały w oknach, i to, że nie było światła, to było naturalne. Te wszystkie niedogodności nie miały znaczenia, ważne było, ażeby znaleźć się wreszcie we Lwowie.

Obok naszego przedziału przechodziło kilku mężczyzn, widać że byli pijani, mieli ze sobą butelki, „leciały” słowa tak niewybredne, że nie wiedziałam, jak się zachować. Weszli do sąsiedniego przedziału, rzucali butelkami o ścianę i wśród potwornych przekleństw powtarzane w kółko „rizat lachiw” doprowadzało mnie do

szaleństwa. Z minuty na minutę moje przerażenie potęgowało się, to co mówili tam, dawało mi pewność, że za chwilę wejdą do naszego przedziału. Biegałam od drzwi do okna i na powrót, mówiłam coś bez sensu, całą winą obarczałam tego chłopca, patrzyłam mu prosto w twarz i czekałam, że co powie na swoje usprawiedliwienie. Był bardzo blady, rysy twarzy napięte, wzrok skierowany na drzwi z wyrazem determinacji. Jakiś czas znosił to moje zachowanie, kiedy powiedziałam, że wyskoczę przez okno, kiedy zajdzie potrzeba, błyskawicznie zareagował. Krzyknął na mnie z taką energią, że skutek był natychmiastowy. „Jeśli się pani nie uspokoi, to oni na pewno tu wejdą – dla czego się pani boi – przecież ja tu jestem”. Teraz, kiedy o tym myślę, to jestem pewna, że przed tymi bandytami nie było możliwości obronić się. Tam za ścianą nic się nie zmieniło, to ja się zmieniłam. Chwilę patrzyłam na tego chłopca zupełnie innymi oczyma; „przecież ja tu jestem”, zrozumiałam, jest ze mną mężczyzna, który mnie obroni.

Chociaż wewnątrz byłam wciąż spięta, zachowywałam się normalnie i tamte sprawy widziałam już w innym świetle.

Na jednej ze stacji banda z hukiem i przekleństwami opuściła pociąg. Jakaś niewiasta weszła do naszego przedziału, było już prawie ciemno, a ja zalewałam się łzami, płakałam, płakałam jak chyba nigdy w życiu, były to łzy ulgi i radości.

Mój młody bohater mówił coś do mnie głosem zupełnie spokojnym, łagodnie, tak jak się mówi do małego dziecka. Uspokoiłam się i wszystko wydało się teraz łatwe i niepotrzebne.

Młody człowiek uważał, że nadeszła wreszcie chwila, że powinien powiedzieć coś o sobie – „pani pozwoli, że się przedstawię – nie zrobiłem tego wcześniej, bo była pani taka zdenerwowana”. To takie niebanalne, że w tej sytuacji ktoś pamiętał o zachowaniu formy grzecznościowej. Zapamiętałam imię i nazwisko na całe życie ze zrozumiałych powodów, wiedziałam, że mieszka gdzieś na Łyczakowie. Nic więcej o sobie nie mówił.

Po wielu latach dowiedziałam się, że jesteśmy rówieśnikami, że w tamtym pamiętnym czasie był już zaprzysiężonym członkiem Narodowej Organizacji Wojskowej.

Nasz przyjazd do Lwowa tuż przed godzin policyjną, to jeszcze jedna chwila emocji. Ostatnią „złapaną dziwiątką”, pustą o tej godzinie, jechaliśmy w kierunku ulicy Nabelaka, przystanek, zaledwie kilkadziesiąt kroków do domu. mogłam więc wejść sama. Żegnam się z Adamem, ale on stanowczym ruchem odbiera mi moją torbę i wysiada razem. Staram się tłumaczyć, że to ostatni tramwaj, że zawiezie go bliżej Łyczakowa, nic nie pomaga, obsługa wozu patrzy na nas, umiechają się zagadkowo.

Jestem teraz niespokojna, noc ciemna, już prawie listopadowa, na ulicach żadnych świateł, obowiązywało zaciemnienie, mało kto o tej godzinie ma odwagę wyjść na ulicę, jak on dojedzie na Łyczaków?

Jestem już w domu, co za ulga, ktoś otwiera mi bramę, smuga światła pada na chłopca stojącego przy ogrodzeniu, drobnej budowy i chyba mojego wzrostu. Znowu wygląda po chłopięcemu, uśmiecha się promien-

nie, jest zadowolony z siebie, zachował się rycersko i dotrzymał danego słowa.

Raz jeszcze spojrzałam i pomyślałam, że mógłby być moim młodszym bratem i po raz pierwszy powiedziałam do niego po imieniu – do widzenia Adasiu.

Jakiś czas później spotkaliśmy go z mężem na placu Mariackim we Lwowie, była okazja raz jeszcze podziękować Adamowi za opiekę w tamtej podróży, był zdziwiony, traktował to jak normalną sprawę.

Był zbyt poważny jak na tak młody wiek, w zachowaniu cechował go pewien odruch pośpiechu i taki był do końca.

POŻEGNANIE

„Niech Aniołowie zabiorą Cię do Raju”

Adasiu, żegnaliśmy Cię modlitwą, były kwiaty i cicho płynące łzy,

pochylone sztandary nad Twoim grobem, słowa pożegnań.

Było też coś, kiedy serca nasze zabiły mocniej, to szmer spadającej ziemi przywiezionej z Cmentarza Orłąt.

To pożegnanie Ziemi Lwowskiej z Tobą i ostatnie wyzwanie dla Ciebie.

Zanim wejdiesz na drogę Wiekuistej Światłości za- trzymaj się na chwilę,

„ w błękicie lwowskiego nieba
i spójrz na Kochane Miasto
jak smutne jest, bo nie ma Ciebie
jakby ostatnia Nadzieja zgasła...”

Jarosław, luty 2000 r.

Śp. inż. Adam Lewicki (8.03.1924 – 8.02.2000) – syn Lwowa, b. prezes Oddziału TMLiKPW w Tarnowie i b. członek Zarządu Głównego TMLiKPW. Serdeczny Przyjaciel i Człowiek Wielkiego Serca, który był bodźcem moich poczynań i działał w Towarzystwie. Zabra- kło mi go. Dziękuję pani Jadwidze za to wspomnienie.

Andrzej Kaminski

Panu

Andrzejowi Przewoźnikowi

Sekretarzowi Rady Ochrony

Pamięci Walk i Męczeństwa

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

ś p

Ojca

składa

Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich

Informacja

Zapraszamy na wycieczkę do Lwowa, Sambora, Rudek i Żółkwi w terminie: 01.05-05.05.2002 (week-end majowy). Dla członków TMLiKPW przewidujemy 5% zniżki – koszt 379 zł.

Wyjeżdżamy z Wrocławia; można dosiąść się na trasie: Olawa-Brzeg-Opole-Katowice-Kraków-Tarnów-Rzeszów-Przemyśl.

Informacje: Biuro Usług Turystycznych „AMIGO”, tel: (071) 372 45 36, kom: 0601 53 60 60

Errata do Nr. 6 (65) 2001 r.

str. 6, lewa szpalta, w. 24 od dołu. Powinno być: Kierownictwo nad pracami powierzone zostało Ministerstwu Spraw Wojskowych. Pobojeństwo lwowskie 4 kwietnia 1925 roku wylosowane zostało – spośród 15 wytypowanych – jako miejsce, z którego mają być wzięte prochy poległego żołnierza polskiego, by złożyć je w mauzoleum w Warszawie.

Str. 8 – Zdjęcie Fot. 3 powinno być na miejscu Fot. 2, a zdjęcie Fot. 2 na miejscu Fot. 3.

Poszukiwania

Do pracy naukowej poszukuję danych o rodzinie lwowskich księgarzy – antykwariuszy BODEK. Było ich dwóch, w latach 30-tych:

Leon Bodek przy ul. Ormiańskiej 3 i

dr Maksymilian Bodek przy ul. Batorego 12.

Był też senator Jakub Bodek.

Chodzi tu o historię księgarni-antykwariatu i ew. rolę polityczną senatora.

Poszukuję też danych o pianistce lwowskiej i nauczycielce muzyki Ewelinie – Linie ROSENBUSCH.

Będę wdzięczny za wszelkie informacje na ten temat, które może zachowały się u lwowian, pamiętających czasy przedwojenne i zbierających pamiątki o Lwowie.

mgr Adam Rosenbusch, ul. Zgoda 9/36,
00-018 Warszawa

Lista Ofiarodawców za miesiące XII 2001 r. i I 2002 r.

1. Janina Blum, Wrocław	60.-	31. Barbara i Maria Piwko, Sandomierz	50.-
2. Bronisław Więckowski, Kobyłka	250.-	32. Janina Hrycekowa, Katowice	30.-
3. Zofia Soldak, Zakopane	64.-	33. TMLiKPW Wałbrzych, pomoc na Wschód	500.-
4. Kazimierz Spendowski, Lubań	50.-	34. Aleksander Majewski, USA	412.- (100 \$)
5. Stanisław Ferenc, Kamienna Góra	64.-	35. TMLiKPW Gniezno, Cm. Orl. Lw.	628.-
6. Magdalena Mazińska, Warszawa, paczki dla dzieci ze Lwowa	100.-	36. Joanna Zbyszewska, Wrocław, pomoc świąt.	100.-
7. Aleksander Rachoń, Elbląg	24.-	37. Emilia Skiba, Wrocław, pomoc świąt.	10.-
8. Józefa Nowicka, Koźuchów	15.-	38. Kazimierz Trypka, Wrocław	40.-
9. Tadeusz Pusiarski, Szprotawa	25.-	39. Irena Komperta, Wrocław	110.-
10. Artur Hutnikiewicz, Toruń	530.-	40. Felicja Łukasik, Wrocław	150.-
11. Jerzy Wolańczyk, Rokietnica	114.-	41. Elżbieta Palacz, Wrocław	50.-
12. Stanisław Kędzior, Łódź	24.-	42. Zbigniew Kwaśny, Wrocław	200.-
13. Przeds. Produkcji Ogrodniczej Siechnice Spółka z o. o.	1200.-	43. Edward Flajszer, Wrocław	50.-
14. A. B. SA Wrocław, dla Polaków na Ukrainie	3000.-	44. Marcin Letki, Wrocław	50.-
15. Ewa Wojtyczka, Rybnik, fundusz charytat.	64.-	45. Edward Zgud, Wrocław	80.-
16. Władysław Hapoński, Lublin	110.-	46. Maria Kurdzielewska, Wrocław	20.-
17. Izabela Piekarska, Warszawa, dla Polaków na Kresach	300.-	47. Mieczysław Dromont, Wrocław	100.-
18. Mieczysław Stepkowski, Hrubieszów	40.-	48. Julia Kiszakiewicz, Wrocław	50.-
19. Zbigniew Bończyk, Warszawa	100.-	49. Danuta Mantke, Wrocław	100.-
20. Danuta Czyżowska, Szwecja	100.-	50. Halina Pollak, Anglia	576.- (100 funtów)
21. Wanda Dutkowska, Wrocław	500.-	51. Teresa Mandat, Wrocław	50.-
22. Zdzisław Szell, Szprotawa	32.-	52. Mieczysław Miziur, Wrocław	100.-
23. Eugeniusz Ćwikło, Lublin, dla Polaków na Kresach	50.-	53. TMLiKPW Koło Stanisławów, Wrocław	300.-
24. Zbigniew Kubas, Wrocław	34.-	54. Ewa Dziurzycka, Wrocław	30.-
25. Izabella Kulczyńska, Warszawa	90.-	55. Szkoła Podstawowa nr 91 im. Orl. Lw., Wrocław	150.-
26. Józef Czech, Gniezno	34.-	56. Dom Pogodnej Jesieni, Wrocław	60.-
27. Halina Jakubiak, Wrocław	10.-	57. Władysław Bednarski, Szczawno Zdrój	50.-
28. Marian Herman, Krynica, Cm. Orl. Lw.	64.-	58. Lesław Sochański, Wrocław	100.-
29. Andrzej Hanuszewski, Pyskowice, Cm. Orl. Lw.	30.-	59. TMLiKPW Gorzów Wlkp., Cm. Orl. Lw.	4707.-
30. Janina Wolnicka, Sandomierz	50.-	60. TMLiKPW Sulików, Cm. Łyczakowski	651.-
		61. Zdzisław Piwko, Wrocław, pomoc świąt.	347.-
		62. Felicja Pęcherska, Wrocław, Cm. Obr. Lw.	50.-
		63. TMLiKPW Kłodzko, Cm. Łyczakowski	1000.-

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Contents

"Before 2003" – a reprint from "Nowa Myśl Polska" of 6-13 January 2002	1
Z. Umański – Borderland Diary	3
R. Ryszka – Rally of Lower Silesian Scout Troop instructors to Lwów on 8-11 November 2001	7
W. Richter – Lwów remembrance mosaic	9
J. Masior – How long? – a poem in commemoration of the author's school friend	11
An interview with Mrs Anna Damm, the Wrocław singer coming from Lwów	12
J. Masior – War-time reminiscences of 1945	14
T. Cieszyński – Unveiling of the Lublin memorial to Lwów professors murdered by the Nazis in 1941	16
K. Dominas – Tenth anniversary of the Lwów and South-East Borderland Lovers Society at Milicz	18
B. Romaniewska, S. Golanka – Handfuls of earth from the Lwów Defenders Cemetery, Katyń and Monte Cassino placed in the plinth of monument in commemoration of Polish Legion at Limanowa	18
K. Olszewski – From the life of St. John Sanctuary	20
H. Bogucka – The Lwów poetry and songs in Koszalin	21
M. Zaleska-Czajkowska – The children from Boryslaw on a summer camp at Sucha Beskidzka	22
M. Kostur – The VIIIth Competition in Lwów Poetry and Songs at Świdwin	23
R. Węgrzynowicz, B. Nagay – Borderland Diary at Szczecin	24
T. Solecka – On occasional Meeting of Riflemen at Sulików	25
M. Wiszniewski – Borderlander as a Personality of 2001	26
J. Oparowska – An unusual Jubilee	27
J. Oparowska – For the Jubilee – a poem	28
A. Janicki – New Year meeting of Borderlanders	28
Z. Zieliński – The author's photographic exposition of the Defence of Lwów	32
W. Wilgusiewicz – Lwowers at the Silesian Technical University	33
J. Zmarz – A Ukrainian Roman in Lwów	36
T. Ciupryk – Rescued from the Lwów prison "Brygidki"	38
B. Oziębłowska – The village Tuligłowy near Lwów	39
K. Kulas – Tadeusz Hnatów's recollections of Monasterzyska, the town of his childhood	42
K. Kulas – Something there has been left – a poem	43
Z. Żółkiewicz – St Sophie little church, an unappreciated relic of Lwów	44
B. Bryła-Czerna – Explanation concerning the bust on the house in Potocki st. No 33.	46
W. Richter – A letter of thanks for aid in tracing his lost family	46
A. Janicki – My Mother's tales	47
J. Duda – A guide-book to the Tarnopol Land	48
J. Szocki – The book by Henryka Kramarz on Tadeusz Rutowski, Galician positivist and democrat	48
OBITUARY COLUMN	
Danuta Maria Krupska (1932-2002)	51
Walenty Bal	52
Henryk Kogus (1921-2001)	54
Marian Macieboch (1910-2001)	54
Roman Koba (1916-2001)	54
Bogdan Pacewicz	55
Krystyna Ciesielska-Zawadzka (1938-2001)	55
K. Ciesielska-Zawadzka – A dream of my native city – a poem	56
J. Sibiga – A recollection of the late Adam Lewicki	56

Od Wydawcy

W ostatnim numerze „Semper Fidelis” informowaliśmy o przygotowywanej przez Fundację świątecznej pomocy charytatywnej dla naszych Rodaków na Kresach.

Otóż w dn. 15-17 grudnia 2001 przedstawiciele Fundacji: Zbigniew Berling – prezes TMLiKPW „Pokucie”, Zdzisław Piwko – prezes Głównego Sądu Koleżeńskiego TML, Jerzy Tandecki – sekretarz Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” wraz z Telewizją Regionalną Wrocław odwiedzili Lwów, Stanisławów, Kołomyję, Sąsiadowice i Łanowice przekazując pomoc finansową prezesom oddziałów Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej bądź proboszczom parafii rzymsko-katolickich w tych miejscowościach.

Dzięki staraniom prezesa Towarzystwa Miłośników Stanisławowa p. Mariana Ziobrowskiego dzieci otrzymały słodkie ofiarowane przez „Cadbury-Wedel”, a od naszej Fundacji – książeczki z kołędami.

W styczniu br. podczas pobytu we Wrocławiu chóru „Echo” Towarzystwu Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej przekazaliśmy fundusze na bieżące potrzeby związane z działalnością koncertową. Zorganizowaliśmy także spotkanie noworoczne z polską młodzieżą z Ukrainy studiującą we Wrocławiu, której przekazaliśmy skromne upominki oraz poinformowaliśmy o możliwości pomocy studentom nie otrzymującym stypendium państwowego.

W ostatnim okresie czasu Zarządowi Fundacji udało się pozyskać za symboliczną złotówkę 212 szt. odzieży ze sklepu „C&A Polska Sp. z o.o.” w Galerii Dominikańskiej we Wrocławiu, którą przekazemy najbardziej potrzebującym Polakom przy najbliższym wyjeździe do Lwowa.

Równocześnie pragnę poinformować, że Rada Fundatorów oraz Zarząd Fundacji podjęli uchwałę o bezpośrednim przekazywaniu pomocy charytatywnej Towarzystwu Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, które znając lepiej potrzeby Polaków, wspólnie z prezesami podległych im Oddziałów będzie tę pomoc sprawiedliwie rozdzielać wśród najbardziej potrzebujących.

Szanowni Czytelnicy!

Zbliżają się Święta Wielkanocne, które są kolejną okazją do okazania naszego serca i serdecznych myśli naszym Rodakom na Kresach.

Mam nadzieję, że nie zabraknie także Państwa wsparcia finansowego. Liczymy także na pomoc Klubów i Oddziałów naszego Towarzystwa.

Przypominamy konto Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” w **PKO BP IV O/Wrocław nr 10205255-10012-270-1-111**. Mieszkańcy Wrocławia mogą wpłacać bezpośrednio w biurze Fundacji w godz. 10-15⁰⁰

Dyrektor Fundacji
Krystyna Karbownik

Wydawca:

Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” 50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33, tel. (071) 344 88 93. Zarząd: KRYSTYNA KARBOWNIK – dyrektor, MAŁGORZATA ORZEŁ – z-ca dyrektora, JERZY TANDECKI – sekretarz, ZBIGNIEW UMAŃSKI, TADEUSZ SZCZYRBAK

Rada Fundatorów:

JAN ZIEMBICKI – prezes, ANDRZEJ KAMINSKI – v-ce prezes, DANUTA NESPIAK, WIESŁAWA JELEŃSKA-HOMBEK, DANUTA TABIŃSKA-JUHASZ, JAN AKIELASZEK, HENRYK STANIUK, LESZEK SAWICKI

Konto bankowe Fundacji Kresowej „SF”:

PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-10012-270-1-111.

**Naturalna woda źródłana
z bezpłatną dostawą do KLIENTA !**

*Krystalicznie
czysta i zdrowa*

**WODA
BONART**

*W Twojej firmie
i w domu !*

tel. (0-71) 354 04 49, 354 28 83, tel./fax 354 28 86

DYSRTYBUTOR, ciepła-zimna woda

COMPACT BAREK, ciepła-zimna woda

ZBIORNIK Z KRANIKIEM, 22l wody

**PIERWSZA WODA
GRATIS**

Woda posiada
ocenę PZH
nr HU/71/99

